

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Mamo, ślubu z dziewczyną
nie będzie • Biedni boomerzy
patrzą na LGBT • Patologia
i wiedza – młodzież w sieci
• Ukraina chce wrócić do życia



Wysokie Obcasy
Pająkowska-Rożen:
coming out matki
Zmęczone Polki:
87 proc. w ciągłym stresie



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

JUTRO
W POLSCE
2042

ANDRZEJ SEWERYN

Każdy ma prawo do ślubu

► 2

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, POSTPRODUKCJA MULLENLOWE WARSZAW

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Mit Cedyni
O 1000-leciu zwycięskiej
bitwy Mieszka przypominały
obywatelom PRL-u nawet
etykietyki pudełek z zapalnikami

Ciągła wojna
Czy to na pewno spór
cywilizacji? Czy konflikt
polsko-rosyjski ma
charakter niemal odwieczny

Marcin Matczak
poszedł na kolację
z największym
wrogiem lewicy ► 9

Nasza akcja **Jutro w Polsce**

Chcemy kochać i nie bać się przemocy



Aleksandra Sobczak

W dniu Parady Równości w Warszawie Wyborcza.pl, Gazeta.pl i Wysokieobcasy.pl publikują artykuły pokazujące, jak za 20 lat może wyglądać Polska przyjazna społeczności LGBTQ+. Stąd na okładce Andrzej Seweryn, który przemawia do nas z przyszłości. Czy za 20 lat w Polsce naprawdę będzie można powiedzieć, że prawo do miłości, bez krępującej ideologii i opresji, będzie tak naturalne jak prawo do oddychania?

Na razie to fantazja, ale dla nas, osób należących do tęczy społecznej, bardzo ważna. Musimy wierzyć, że zmiana nastąpi, żeby wytrzymać codzienność we własnym kraju.

Dziś Polska jest dla nas najgorszym miejscem do życia w Europie, a nienawiść płynie ze szczytów władzy państwowej i kościelnej. Obie postępują wbrew innym europejskim krajom katolickim, które po kolei wdrażają prawną równość. Nasza władza woli w tym naśladować Putina.

Chcemy niewiele – równości małżeńskiej, tranżycji bez upokarzania oraz zwalczania przestępstw z nienawiści. Jak każdy



FOT. ADRIANNA BOCHENIA/AGENCJA WYBORCZA.PL

człowiek potrzebujemy też bezpieczeństwa: chcemy móc wziąć ukochaną osobę za rękę i nie bać się przemocy.

Dziś przez stolicę idzie Parada Równości, a w niej całe rodziny, którym nie mieści się w głowie, że miłość czy płeć mogą być powodem do państwowej pogardy.

Gdy jako nastolatka szłam w pierwszej paradzie, było nas może półtora tysiąca. Rok temu, mimo pandemii – już kilkadziesiąt tysięcy. Ta zmiana jest nie do zatrzymania. Przyjdzie do Polski, jak przyszła do całej zachodniej Europy. ●

Jutro w Polsce

Księża na czele parady LGBTQ

1 Czerwiec 2042 r. Proboszczowie i księża przyjechali na marsz LGBTQ do Warszawy. To już kolejna parada, gdy przedstawiciele Kościoła katolickiego z billboardami z hasłami z Biblii, np. „Umiłujcie czystym sercem jedni drugich gorąco”, przeszli ulicami wielu polskich miast.

Oddychamy już swobodnie

2 Czerwiec 2042 r. To pierwszy rok, gdy Polskie Towarzystwo Chorób Płuc ogłosiło w Polsce brak zgonów spowodowanych zanieczyszczeniem powietrza. A jeszcze 20 lat temu z powodu smogu umierało w kraju 40 tys. osób.

Gender studies u Rydzyka

3 Czerwiec 2042 r. Wczoraj w Wyższej Szkole Mediów i Komunikacji Społecznej założonej pół wieku temu przez redemptorystę ojca Tadeusza Rydzyka otwarto wydział gender studies, na którym studenci dowiedzą się o wpływie kultury na postrzeganie własnej tożsamości. Autorzy programu nauczania dzięki transzom z Unii Europejskiej otworzą kolejny kierunek oprócz istniejących religioznawstwa, ochrony środowiska i walki ze zmianami klimatu.

To już pięć lat, gdy szkoła redemptorysty przechodzi na kierunki związane z realnymi problemami społecznymi. Została wtedy przejęta przez Ministerstwo Edukacji i Szkolnictwa Wyższego. Doszło do

tego po rozłamie w zakonie redemptorystów, któremu podlegała placówka naukowa. Proces zmian rozpoczął się w 2036 r., gdy pojawiły się tam takie przedmioty jak egzorcyzmy, a z wydziału biologii usunięto teorie darwinizmu, zastępując je ewolucjonizmem. Sami studenci uznali wtedy, że to podważa pozycję naukową ich uczelni na świecie, tym bardziej że rok 2036 zasłynął z kolonizacji Marsa.

„Czas, gdy na naszym uniwersytecie goszczono antysemitów, a z mediów powiązanych z naszą uczelnią płynęły nienawistne komentarze, to już historia. Nasza placówka znajduje się dzisiaj na liście 500 najbardziej prestiżowych, a chcemy awansować do pierwszej setki” – brzmi komunikat uczelni. ●

JUTRO W POLSCE

• Akcję „Jutro w Polsce” według pomysłu agencji MullenLowe Warsaw wsparło kilkadziesiąt znanych osób, m.in. Andrzej Seweryn, Magdalena Cielecka, Anna Mucha. Partnerem jest stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza, które od lat wspiera społeczność LGBTQ+.

• **Więcej na Jutrowpolsce.pl**

Andrzej rysuje



Kod dostępu do Wyborcza.pl



W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Moich rodziców zabija kredyt

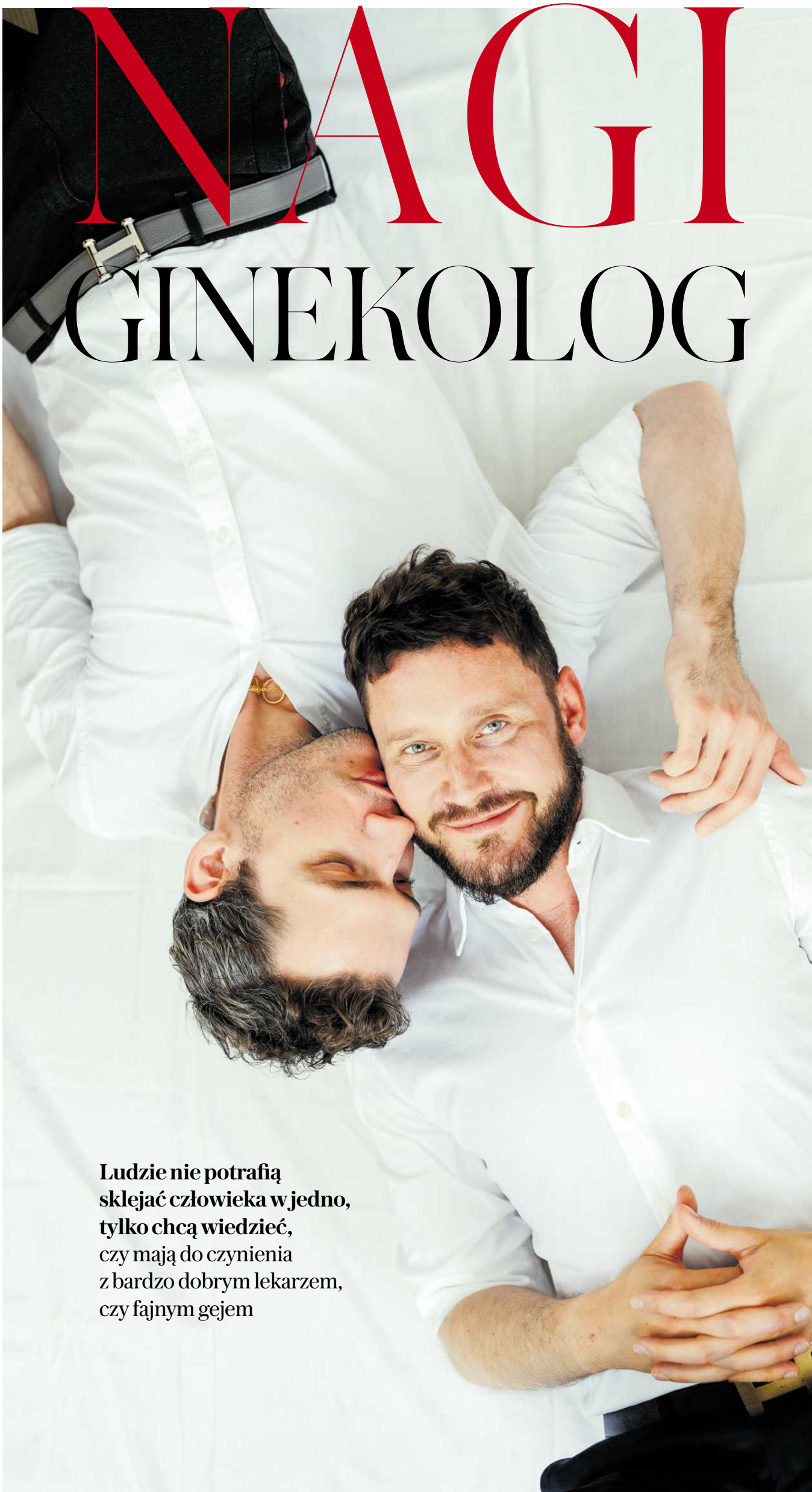
Dwa i pół miesiąca w domu. – Tata mówi, że mu dobrze u siebie. Że nie potrzebuje latać nie wiadomo gdzie, żeby potem za leżenie plackiem przez dwa tygodnie spłacać pożyczkę przez rok. **Reportaż Zuzanny Buktały**



Ekonomia+

Wyboista droga na wakacje

W tym roku na wakacje kierowcy nie dostaną wielu nowych dróg, choć prace na sporej liczbie odcinków już dobiegają końca. Jednak finalizacja inwestycji drogowych staje się coraz większym wyzwaniem.



Ludzie nie potrafią
sklejać człowieka w jedno,
tylko chcą wiedzieć,
czy mają do czynienia
z bardzo dobrym lekarzem,
czy fajnym gejem

• Lekarskie małżeństwo Maciej Socha i Mateusz Wartęga. „Myślę o nim, dbam o niego, jestem przy nim tu i teraz oraz jestem gotowy spędzić z nim życie. I chciałbym go trzymać za rękę, gdy będę umierał”. FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z DOKTOREM **MACIEJEM SOCHĄ***
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

– Dzień dobry. Przepraszam, muszę to zobaczyć. Kolega mi właśnie przysłał. To mój dzisiejszy komentarz dla TVN w sprawie rejestru ciąży. Strasznie wyglądam, jak sterany życiem.

Może widzowie pomyślą, że jak na lekarza przystało, jest pan sterany po dyżurze.

– Jako szef nie muszę dyżurować. Teoretycznie, jako lekarz, mógłbym, ale źle znoszę depriację snu. Kiedy się w nocy nie wyśpię, to jestem zły, nie miły i nie chce mi się żyć. Poza tym ciężko byłoby dyżurować i kierować oddziałem. Wiedziałem, jakie będą plusy i minusy przyjęcia stanowiska ordynatora, i to, że nie będę dyżurował, poaktowałem jako plus.

A minus?

– Rzadziej praktykuję. Marzę czasami, by przyjść do pracy, porozmawiać z pacjentkami, zebrać od nich zgody na operacje, zoperować, wypić kawę...

Co przeważało, że pan z tych marzeń zrezygnował?

– To, że mam świetne pomysły na funkcjonowanie oddziału i na pomoc kobietom, i wiem, jak je zrealizować.

Czym się różni pana oddział od oddziału w moim mieście?

– Z dużą dozą prawdopodobieństwa zakładam, że u pani jest totalny syf i kobiety traktuje się przemocowo.

Nie powiedziałam panu, skąd jestem.

– Niestety, taka jest reguła. Lekarze nie pracują z aktualnymi wytycznymi, tylko kierują się doświadczeniem i praktyką pokoleń, a to jest podejście sprzed stu lat. Rodziła pani po ludzku?

Nie, ale ja rodziłam sto lat temu.

– I zapewniam panią, że niewiele się zmieniło. Dziś miałem wykład o tym, że nie wolno nacinać krocza podczas porodu. W Polsce odsetek nacięć w zależności od szpitala waha się między 40 a 80 procent, a na świecie przyjmuje się, że krocze powinno się naciąć w mniej niż dwóch procentach porodów. Czemu? Choćby dlatego, że rany szarpane zawsze goją się lepiej niż rany cięte.

Dlaczego u nas jest, jak jest?

– W Polsce uważano, że po nacięciu nie dojdzie do tak zwanego niekontrolowanego pęknięcia krocza, w domyśle dużego i szkodliwego, ale to przekonanie nie miało żadnego poparcia w wynikach badań naukowych. Ale lekarze tak się nauczyli i nie potrafili inaczej pracować. Mnie też kazano naciąć krocza, byłem przekonany, że tak trzeba. Ale w szpitalu w Grudziądzu, dokąd trafiłem, położna nie chciała słuchać o żadnych nacinaniach i powiedziała mi: dziecko, nic się nie martw, ja urodzę tego dzieciaka. Myślałem, że jak zaraz to krocze pęknie, to będzie dramat.

I?

– I nic takiego się nie stało i to był punkt zwrotny, w którym zacząłem interesować się urazami krocza podczas porodu. Swoją drogą, prowadzę teraz ciążę córki tamtej położnej.

W 2011 roku Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników wydało rekomendację, że przekonanie o tym, że nacięcia krocza zapobiegają pęknięciom 3. i 4. stopnia, nie jest oparte na wiedzy naukowej.

To było 11 lat temu, a pan wciąż o tym ma wykład?

– Bo dalej tną. Znajomy przesłał mi formularz zgody konsultanta wojewódzkiego w dziedzinie położnictwa, ginekologii oraz perinatologii w jego jednostce w Bydgoszczy, w którym wypisuje bzdury, że brak zgody kobiety na nacięcie krocza zwiększa ryzyko wystąpienia u niej poważnych urazów i niedotlenienia dziecka. Pod presją takiej informacji kobiety podpisują zgody na nacięcie. Na wszystko by podpisały.

Konsultant wojewódzki wydaje rekomendacje niezgodne z wiedzą medyczną?

– A to Polska właśnie. I nie on jeden. Kiedy cztery lata temu zostałem kierownikiem oddziału w Gdańsku, wprowadziliśmy restrykcyjny model

podejścia do tej kwestii. Komentarze w Trójmieście były jednoznaczne, cytuję: „Socha nienawidzi kobiet i każe im pękać”. Położne opowiadały, że przez moją decyzję kobiety mają rozciągnięte pochwy. Minęły cztery lata i mamy na oddziale 4 procent nacięć. A w polskich szpitalach albo nacinają krocza, albo robią cięcia cesarskie. Pewnie pani miała.

Nie.

– To dobrze. W Norwegii jakiś czas temu wdrożyli program naprawczy, bo okazało się, że odsetek cięć cesarskich wzrósł im do 18 procent. W Polsce wynosi ok. 50, ale są ośrodki, gdzie osiągają odsetek nawet ponad 70. U mnie na oddziale to ostatnio 23 procent, ale za ostatnie półrocze to poniżej 30 procent, czyli... co czwarta kobieta jest operowana po to, by urodzić dziecko. W życiu nie zrobiłem cięcia, jeśli nie było ku temu wskazań medycznych, ale są lekarze, którzy uznają, że przeciwwskazaniem jest zwyczajnie strach przed porodem.

Co?

– Strach przed porodem. Po prostu pacjentka się boi, a umówmy się, trzeba być nienormalnym, żeby się nie cykać. Ale w Polsce nie ma edukacji i kobiety myślą, że najlepiej dać się pokroić, i trafiają do szpitala ze skierowaniami, na których widnieje wpis „tokofobia”, choć z realnym schorzeniem psychiatrycznym nieczęsto ma to coś wspólnego.

A wtedy wchodzi pan i wyjaśnia im, dlaczego to nie jest najlepszy pomysł.

– Żeby pani wiedziała. Ale ja jestem znowu w mniejszości. Podobnie jak ze zwolnieniami. Polka jeszcze drży po seksie, a już biegnie do lekarza, żeby wypisał jej zwolnienie z pracy, fikcyjne oczywiście. Ja nie daję zwolnień lekarskich „na życzenie” tylko dlatego, że się jest w ciąży. Uważam, że to największe zło. Bo potem taka kobieta statystycznie częściej po prostu siedzi w domu, nie ma aktywności fizycznej, nie bzyka się, tyje 35 kilogramów, a potem ktoś jej mówi przy porodzie: przykucnij? Ja doskonale rozumiem taką kobietę, że nie ma siły zarzucić nóg na siebie, przeci i być aktywną. To często stracony poród przez niedostatek odpowiedniej opieki i edukacji ciężarnej.

Przypomnę panu, że to lekarze wypisują te zwolnienia.

– Tak! Ja biję się w nasze piersi! Bo muszą wyrobić kontrakty w tych wszystkich niewielkich oddziałach. Dlatego kierują kobiety do siebie na oddział z rozpoznaniem poronienia zagrażające czy poród przedwczesny, bo... pojawiły się bóle podbrzusza. To, jakie pacjentki są hospitalizowane w Polsce, mocno różni nas od innych krajów. Kobieta położy trzy dni, szczęśliwa, że lekarz zrobił jej badania, a on ma podkładkę, by wypisywać jej dalej zwolnienia. Oddział zarobił punkty, lekarz jest tym najlepszym, ciężarna siedzi w domu i wszystko jest świetnie. Teoretycznie, bo to swoista choroba z informacji. Kiedy ona dostaje wypis ze szpitala – poronienie zagrażające, to leży, bo przecież słyszy od wszystkich, że „musi się oszczędzać”. I je, bo w 2022 roku pacjentki wciąż słyszą „musisz jeść za dwoje”. Słodczy i ogórki, na przemian, bo mają takie wahania glikemii, że chwilami czują wilczy głód. Bo nikt im nie powiedział, co robić w ciąży i jak żyć.

Mówi pan z taką pasją, jakby rzeczywiście nienawidził pan kobiet.

– Z pasją, bo mnie to denerwuje! Chcę, żeby pani poczuła emocje. Ale nie denerwuję mnie ciężarne, tylko nienawidzę tego modelu opieki i polskiego traktowania kobiet w ciąży. Pod przykrywką miłości i opieki mamy represyjny i przemocowy sposób traktowania kobiet. Żadna z moich pacjentek nie ma żądz jedzeniowych. Pani pewnie miała.

Miałam.

– Nie miałaby pani, gdyby była pani moją pacjentką. Zawieram z ciężarną pewien kontrakt w relacji lekarz-pacjent i ona wie,

jak ma trenować, co jeść. Wie, ile przytyje i co osiągniemy dzięki takiemu modelowi opieki. Nie obrażamy się na siebie, tylko jeśli złamiemy zasady współpracy, to dalsza opieka nie ma sensu. Kiedy pacjentka i lekarz się nie dogadują, to warto zmienić lekarza. Ale muszę przyznać, że moje pacjentki nie przepisują się, tylko stosują się do zaleceń.

I co im pan mówi?

– W uproszczeniu, że dziecko matki, która nie stosowała się do zaleceń, może stracić swoją szansę na bycie mądrym i może

Jeden z lekarzy napisał, że gdyby 10 lat temu wiedział, że można być lekarzem i oficjalnie powiedzieć, że się jest gejem, toby dziś nie myślał o śmierci

gorzej rozwijać się od swoich rówieśników. Rysuję im wykres zależności spożywania cukrów prostych od wydzielania insuliny i jej wpływu na przyszadkę. Proszę dać kartkę, narysuję i pani, to łatwiej będzie zrozumieć, skąd te emocje.

Ja już w ciążę się raczej nie wybieram.

– A współżyła pani w ciąży?

Proszę?

– Czyli nie. W przeciwnym razie wyzywaliby panią od zboczonych i głupich, prawda?

Swoją drogą, kto miałby mnie wyzywać?

– Choćby lekarz prowadzący ciążę. Zniechęcanie ciężarnej do współżycia to chyba jedno z częstszych zaleceń lekarskich w Polsce. Serce mi pęka, kiedy słyszę od ciężarnej, że lekarz zabronił. Apogeuem było stwierdzenie jednej z koleżanek lekarek, że „trzeba być zboczonym i głupim”, żeby uprawiać seks w ciąży. Swoją drogą, kilka ostatnich dekad to prymat medykalizacji ciąży. Ukochane przez nas badanie długości szyjki macicy, które wiele zmieniło w perinatologii, nie brało kiedyś pod uwagę, że szyjka ma swoją strukturę, trzy wymiary, jest miękka, twarda. I jeśli długość była niewystarczająca według nas lub po prostu uległa skróceniu, co jest z reguły fizjologią, to często zabraniano ciężarnym współżycia i normalnego życia z typową aktywnością. Jest jedno przepiękne według mnie badanie, w którym okazało się, że pacjentki z ryzykiem przedwczesnego porodu zdefiniowanym na podstawie arbitralnie przyjętej długości szyjki macicy, które współżyły w czasie ciąży, urodziły później. I tak, miały krótszą szyjkę, ale dzięki prostaglandynom z nasienia miały strukturę tej szyjki, która pozwoliła im dwa tygodnie dłużej być w ciąży niż tym żyjącym bez seksu. Cytologię jak często pani robi?

Co roku.

– Strasznie mi pani szkoda.

Co znowu nie tak?

– Badanie cytologiczne ma swoją czułość i jak przy każdym badaniu godzimy się na pewien odsetek wyników, gdzie nie znajdziemy zmiany przedrakowej, chociaż ona tam jest. Narodowy program walki z rakiem szyjki macicy zakłada, że cytologię pobieramy co trzy lata, jeśli dwa kolejne wyniki były prawidłowe. A zageszczenie dawki poobrań nie zwiększa czułości, ale zwiększa odsetek wyników fałszywie dodatnich. I mamy problem, bo albo odsetek odpowiedzi na zaproszenia na cytologię jest beznadziejnie niski, albo nie mając skoordynowanej opieki,

pacjentka ma robioną cytologię co pół roku czy co rok. Overdiagnosis, czyli przesadzenie z diagnostyką (niepotrzebna!), to takie przekombinowanie, które wprost prowadzi do overtreatment. A później się dziwić, że Polska jest jednym z niewielu krajów, gdzie pacjentka przychodzi z zaawansowanym rakiem i mówi: przysięgam, że robiłam cytologię co roku. Dalej trafiają do mnie pacjentki po zabiegach kriodestrukcji, zabiegu, który ma bardzo ograniczone wskazania, jeśli w ogóle jakieś. I to pacjentki od tego samego lekarza, który nieuczciwie zarabia na niewiedzy kobiet. To przykre. A jesz-

cze na forach przekazują sobie informację, że to ten jedyny wspaniały, który to robi. Skandalem jest to, że np. pani tego nie wie. Że nie wiedzą tego inne kobiety. Edukacja w Polsce leży, a kobiety czerpią wiedzę z Instagrama.

Co pan opowiada? Płacę podatki po to, by lekarz z NFZ wiedział o tym, jak często mam robić cytologię.

– A co powiedziałem na początku?

Właściwie to dlaczego chciał pan zostać ginekologiem?

– Kręci mnie mechanizm funkcjonowania ludzkiego organizmu, ta magia napędzania mnie w nauce i działaniu. Na studiach podobalo mi się na każdym oddziale, z wyjątkiem dermy, ale też mógłbym być świetnym dermatologiem. Byłem w stanie tak się nakręcić, że po każdej klinice rozważałem, czy nie zająć się tą częścią medycyny.

To czemu ta ginekologia?

– A czyj samochód na parkingu szpitalnym jest najładniejszy? Żartuję oczywiście, ale ginekolodzy akurat dobrze zarabiają. A tak serio, to nie ma trudniejszej i bardziej wymagającej dyscypliny. Bo obejmuje położnictwo i ginekologię, na którą składa się ginekologia onkologiczna, operacyjna z całą działką interwencyjną, plastyczną rekonstrukcyjną, endokrynologia, rozrodczość z in vitro i andrologią, perinatologia z diagnostyką i terapią płodu. Piękne! Moja mama opowiadała, że kiedy miałem około sześciu lat, mówilem, że będę doktorem, który pomaga ludziom mieć dzieci. Więc jestem ginekologiem-poloźnikiem, ginekologiem onkologiem, perinatologiem i właśnie skończyłem specjalizację z seksuologii.

Bycie lekarzem pozwala się ukryć?

– Pyta mnie pani, czy łatwiej jest być gejem w zawodzie lekarza, czy np. ślusarza? Czuję jakoś podskórnie, że lekarzowi jest łatwiej, ale nie wybrałem medycyny po to, by ukrywać się za, powiedzmy, prestiżem zawodu i liczyć, że wykształcenie i inteligencja pójda w parze z mądrością życiową. To się stało przy okazji. Swoją drogą, ludzie nie potrafią sklejać człowieka w jedno, tylko chcą wiedzieć, czy mają do czynienia z bardzo dobrym lekarzem, czy fajnym gejem, a może po prostu z ciekawym gościem. Potrzebują dookreślić, kim jestem. Włożyć w szufladkę.

Często to czuję, że nie składam im się w jedną całość, bo opowiadam o nacinaniu krocza albo o raku szyjki macicy, a potem biorę udział w aktywistycznym zdarzeniu dotyczącym praw gejów i lesbijek albo

na Instagramie, jak każdy dzisiaj, wrzucam zdjęcia jedzenia ze szpanerskiej restauracji.

Albo rzuca pan jajami w homofobiczny baner fundacji pro-life.

– Pseudopro-life. No ale to dobry przykład, choć to akurat była spontaniczna akcja, a nie zaplanowane działanie. Jechaliśmy z Mateuszem samochodem, kiedy zobaczyłem ludzi z banerami. Wiadomo, zdjęcia rozkawalkowanych ciał martwych płodów i narracja, że ginekolodzy mordują dzieci w siódmym miesiącu ciąży, a osoby LGBT chcą uczyć 4-latki masturbacji i zgody na seks. Więc poczułem, że muszę. Zadziałałem. I dumny jestem z tego. Swoją drogą, dobrze, że nie było o tym, że geje chcą adoptować dzieci, bo to by dopełniło polskiego obrazu stereotypu. Ja, szczerze mówiąc, nie znam żadnego geja, który chciałby adoptować dziecko.

Pan by nie chciał mieć dzieci?

– Do niedawna chciałem być tatą i czułem chęć, taką biologiczną, posiadania dziecka. Zapisaliśmy się nawet do kliniki surogacji na Cyprze, ale zrezygnowałem. Mati mnie męczy, że może jednak powinniśmy o tym jeszcze pomyśleć, cztery lata temu pewnie bym się zgodził, teraz nie dalbym chyba rady. Przyznaję, że chcę wygodnego życia, spokoju, nie byłbym w stanie się poświęcić w stu procentach, a nie chcę być ojcem na pół gwizdka. W mojej głowie chyba jestem już za tym etapem, żeby być ojcem na pełny etat. Nie przy tym dzisiejszym zaangażowaniu w pracę i naukę.

Papież Franciszek powiedział, że młodzi ludzie zamiast dzieci wolą mieć zwierzęta.

– Franciszek to niech spyła po tych swoich ostatnich wypowiedziach na temat wojny w Ukrainie. Ale mamy za to kota (*śmiech*). Ma na imię Skrotek, co budzi jakieś oburzenie u niektórych osób. Wie pani, co to jest scrotum?

Powinnam wiedzieć?

– Moszna. Kiedy go pierwszy raz wzięłem na ręce, był taki gładki i miły w dotyku jak moja ogolona moszna. Wyglądzi to pani jakoś i pójdzie. Albo „się wytnie”, żeby nie ujęło to pięknemu obrazkowi rozmowy. Nienawidzę tych fikcyjnych obrazków, pomnikowego obrazu lekarzy i nieprawdziwej idealności. Ale cóż, takie życie.

Nie przypominam sobie, by ktoś bez pruderii rozprawiał w gazecie o gładkiej mosznie albo o tym, że na pierwszej randce poszedł do łóżka, co znalazłam w jakimś wywiadzie z panem.

– Po pierwsze, żyję tak intensywnie, że gdybym zamiast mówić prawdę, wymyślał niestworzone historie, to na pewno bym zapomniał, co komu powiedziałem, i w końcu się zakręcił.

Po drugie, szczęśliwie jestem na tyle dorosły, że nie wierzę, że chłopak z dziewczyną, chłopak z chłopakiem czy dziewczyna z dziewczyną zawsze na pierwszym spotkaniu głaszczą się tylko po rękach i patrzą sobie w oczy. Nie udawajmy. W liceum, kiedy para się poznaje, odkrywa swoje ciało i bliskość, to okej, ale nie dorośli ludzie. Pani zdaniem mieliśmy z Mateuszem grać w bierki?

Po trzecie, co jest mniejszym lub większym złem? To, że poznaje pani kogoś, zachynacie się dogadywać, budujecie więź, jest fajnie i w końcu się okazuje, że wasz seks jest do niczego. Tragedia, prawda? A jeśli po świetnym seksie okaże się, że jednak trudno wam zbudować więź, to przynajmniej pozostaje wspomnienie fajnego zbliżenia.

Wiele osób twierdzi, że takie podejście do związku jest niegodne człowieczeństwa, ale ja uważam, że first sex dobrze się sprawdziło w moim życiu. Żyjmy tak, byśmy byli szczęśliwi, i darujmy sobie slutsheaming. Ja zresztą zakochałem się w Mateuszu od pierwszego wejrzenia, choć on nie chciał być wtedy z facetem. Był zaangażowany w jakąś relację, i to z kobietą.

Nie ogarniam.

– Nie był pogodzony ze swoją seksualnością. Myślał, że będzie miał żonę, dziecko. Znam takie historie i często widzę je jakby powielone przez kalkę. Prawie siedem lat byłem w związku i zostałem porzucony, a mój partner powiedział mi, że założy z kobietą rodzinę, bo bycie gejem nie jest normalne.

Też chodziłem z dziewczynami, bo nie wiedziałem, że to, że chcę się całować z facetem i dotykać go, jest równoznaczne z niebyciem z kobietą. Z tym typowym modelem rodziny i pary. Tak było, że trzeba mieć dziewczynę. Miałem z nią relację emocjonalną, odczuwaliśmy wobec siebie bliskość, ale mówimy o czasach wczesnego liceum.

Kiedy poznaliśmy się z Mateuszem, stałem się dla niego akceleratorem wyoutowania się przed samym sobą. A kiedy już tego dokonał, powiedział swojemu ojcu, że ma chłopaka. Nie było mu lekko to przyjąć, mówił o grzechu i o tym, że trzeba się modlić, ale nie wchodząc w szczegóły, chrzestna Matiego, psycholożka, pomogła tacie zrozumieć i zaakceptować naszą miłość.

Jest lekarzem, jak pan.

– Mati? Tak, ale robi specjalizację z chirurgii i dodatkowo studiuje i zajmuje się medycyną estetyczną, co jak już gdzieś powiedziałem, daje nam szansę na to, że będziemy się pięknie starzeć (*śmiech*).

Czy pan czuje, że za każdą publiczną rozmową dokonujecie coming outu?

– Tak. To prawda, że my wszyscy, niewpisujący się w ogólną większość i stereotyp, wyoutowujemy się wielokrotnie. Żyjąc w heteromatriksie, jako gej robię to bardzo często, ale nie kosztuje mnie to, nie jest to wydatek dużych emocji, bo ja się już nie outuję przed sobą. Ten etap szczęśliwie jest za mną.

Przeprowadzając się do Gdańska, spodziewałem się, że moi współpracownicy na pewno będą mnie uważali za hetero, i oczekiwałem przeprawy. Ale jedna z lekarek wyciągnęła jakieś moje zdjęcie z plaży, na którym mam 20 parę lat, i obwieściła na oddziale: popatrzcie, to jest nasz przyszły szef. Miało być ono potwierdzeniem informacji, że jestem gejem. Najzabawniejsze, że to superwyzwalające. Fajnie, że to ona wykonała tę pracę za mnie. Nie musiałem się już zastanawiać, czy i jak im powiedzieć, że jestem z Matim.

Koledzy młodszy ode mnie o 10 lat mają w nosie, czy ja jestem gejem, czy hetero. Są jak moja siostra, która wzruszyła ramionami, kiedy na studiach powiedziałem jej, że się zakochałem. Dopytywałem ją

czy nie chce wiedzieć, jak moja miłość ma na imię, a kiedy już powiedziałem, że Andrzej, to skwitowała, że fajnie. Dla niej to nie był temat, tak jak nie jest tematem dla młodych lekarzy. Starsi też przystosowują się do realiów społecznych. Świat się zmienia i normalnie. Choć pamiętam, jeden z lekarzy powiedział mi kiedyś: ja was akceptuję. Wściekłem się. Zapytałem: panie doktorze, kim pan jest, żeby sobie dawać prawo do akceptacji mnie i pozwalać mi być tym, kim jestem.

Nie rozumiem pana.

– Czy kiedy pani poznaje osobę heteroseksualną, to mówi jej, że akceptuje jej związek? Może miałem go w rękę cmoknąć jeszcze? Wiem, że on to powiedział w dobrej wierze, ale dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane. Edukacja równościowa u nas jeszcze raczkuje i jesteśmy na etapie wspaniałomyślnej akceptacji.

W moim środowisku chryja zrobiła się dopiero dwa lata temu, po moim wywiadzie i naszym zdjęciu z Mateuszem dla kalendarza „Repliki”. Nikt nie wspominał o tym, że ja, kierownik katedry, kierownik oddziału, i specjalista, występuję w kalendarzu „Repliki” ze swoim ówczesnym narzeczonym, tylko że jesteśmy na nim nago. I brukamy etykę lekarską, bo pokazywanie się nago nie jest godne lekarza.

A jest?

– Jeśli się to robi w ważnym celu, to odpowiedź jest oczywista. Po tej zadymie założyłem na Instagramie profil nagi_ginekolog. Pokazuję na nim, co zjadłem na śniadanie, trochę nagości, trochę kota, trochę naukowych rzeczy.

Nie jestem „instalekarzem”, który próbuje zarobić pod przykrywką edukacji, ani znanym influencerem. Niektórzy namawiają mnie, bym wykorzystał swoją popularność, założył oficjalne konto i zaczął mówić, jak inni mają żyć, tylko że w sztucznych kontaktach na Instagramie nie ma żadnej prawdy o człowieku, a jeśli już, to jest jej niewiele. Budowanie nieprawdziwego obrazu lekarza, niejako półboga, wynika według mnie z kompleksów, a ja ich nie mam. Żyjemy w społeczeństwie egalitarnym i lekarz też robi zakupy w Biedronce. Od zawsze chciałem walczyć z rozdmuchanym wizerunkiem lekarza i jego poczuciem wyższości wobec pacjenta. Już kiedy pierwszy raz poszedłem do pracy i założyłem krótkie spodenki, nagle się okazało, że dla pacjentek wyglądam jak dzieciak, więc co ja mogę umieć, i prawie wszystkie, które czekały w poczekalni, zrezygnowały z wizyty. Została jedna. Miałem dla niej mnóstwo cza-

su, była zadowolona i przyprowadziła swoją koleżankę z kółka parafialnego. Dzięki temu osiągnąłem pierwszy sukces w łamaniu stereotypów, ale też skruszałem trochę i zdałem sobie sprawę, że w tej relacji liczy się sukces medyczny i żyjemy w społeczeństwie. Też się trochę dostosowałem i zacząłem przychodzić do przychodni w długich spodniach.

Sądzi pan, że pana pacjentów w ogóle obchodzi, że jest pan gejem?

– Sporadycznie słyszę o parach, które z tego powodu nie chcą, bym prowadził ich ciążę. Tym się nie przejmuję, ale bardziej dotknął mnie kiedyś komentarz, że jak na geja to świetnie operuję. Dla kogoś to nic, ot, zwykłe zdanie, ale ono urażało moją godności, bo chciało mnie definiować przez pryzmat mojej seksualności. Wtedy też poczułem, jak kobiety czują się w pracy. Jak seksoistowskie uwagi mogą być niszczące. Zdarzyło mi się też być potraktowanym w pracy jako obiekt seksualny. O molestowaniu faceta przez kobietę, i to ginekologa przez pacjentkę, trudno mówić. Przez kilka lat nikomu o tym w ogóle nie opowiedziałem, bo odczuwałem jakiś taki niesmak.

Na fotelu ginekologicznym?

– Tak. Podczas badania pacjentka zaczęła jęczeć. Przerwałem badanie, a ona usiadła i złapała mnie za krocze. Czulem się jak... szmata. To było też odkrycie dla mnie, bo pierwszy raz zostałem potraktowany przez kogoś tak instrumentalnie. Dopiero wtedy zrozumiałem, co czują napastowane seksualnie kobiety, łapane za biust, za pośladki albo kiedy muszą mierzyć się ze słowną napacją. Zdjąłem rękawiczki, podałem jej rękę i powiedziałem: pani Alino, ta wizyta dobiegła końca. Po tygodniu mnie przeprosiła, ja, szczerze to wbrew badanie, zdecydowałem, że może pozostać moją pacjentką, ale nie szło już nam i zrezygnowała. Moim niektórym kumplom wydaje się, że to ekscytujące, kiedy kobieta napastuje mężczyznę, i znam tekst o tym, że gwałt kobiety na mężczyznę nie istnieje. A to jest ten sam level, kiedy facet przekracza granice seksualne i gwałci kobietę. Tę lekcję edukacji seksualnej też musimy odrobić.

A mówią panu: jaka szkoda, że pan jest gejem?

– Gratuluję im dobrego samopoczucia, bo najwyraźniej są przekonane, że gdybym nie był gejem, tobym się nimi zainteresował. Mam znajomych facetów, którzy czasami mówią: jesteś taki przystojny, że pomimo że jestem hetero, to nawet mógłbym się z tobą pocałować. To jest przejaw typowego my-

ślenia polskiego faceta, któremu się wydaje, że każdy gej nie marzy o niczym innym jak o seksie z każdym facetem, tym heteroseksualnym mężczyzną też. Zwykle odpowiadam: ale ty mi się nie podobasz, co przyjmowane jest z grubym zdziwieniem.

Właściwie nie zapytałam o pana pierwszy coming out.

– I dobrze, bo nie miałbym do opowiedzenia żadnej historii. W moim życiu wszelkie zmiany miały przebieg ewolucyjny, a nie rewolucyjny. Podejrzewam, że moja matka wiedziała wcześniej niż ja. Czasami podpytywałem ją, czy wolałaby, żebym był gejem, czy narkomanem, na co odpowiadała, że uzależnienie jest dramatem człowieka w przeciwieństwie do miłości. I nikogo nie powinno obchodzić, kogo kochamy.

Oboje z tatą mieli do mnie mnóstwo szcunku i nie naciskali na moje wyznanie. I mimo rozmowy, która się nigdy nie odbyła, na ślub siostry zostałem zaproszony ze swoim ówczesnym facetem. Teraz to już pół Polski wie, że jestem gejem. Ostatnio wszedłem na jakąś aplikację randkową i jeden facet mnie zhejtował. Jak to? Co ty tu robisz, masz męża! W ogóle nie dał mi dojść do słowa, po co i dlaczego tam jestem.

Mąż nie jest dla pana przeszkodą w randkowaniu?

– No zaraz się wścieknę! Ale ja tam nie wszedłem z myślą o randkach i przygodnym seksie. Zresztą, jak już mówiłem, dajmy sobie slutsheaming, bo może ktoś ma otwarty związek, a może uprawia seks w trójkącie. Seks za zgodą wszystkich w nim uczestniczących nie jest naszą sprawą ani tematem do oceny. Ale wracając do tej aplikacji, chciałem z kumplem pooglądać koleśków z okolicy, bo dla niego to było ważne, i... nie to jest ważne tutaj. Ludzie chcą mnie idealizować, a ja chcę to ich pragnienie i myślenie o mnie przełamywać. Po naszym ślubie niektórzy chcieli widzieć we mnie bohatera gejowskiego i jakąś ikonę. Dla środowiska gejowskiego stałem się argumentem przeciw homofobii, że otóż popatrzcie, gej może być zdolny, mądry i wypowiadać się publicznie na ważne społecznie tematy, i nie mieć piór w dupie. Powinniśmy zostać z Mateuszem power couple, żyjącą idealnie i świetnie prezentującą się publicznie, ale poza tym, że Mateusz nie przepada za publicznymi występami, ja nie zamierzam udawać, że jestem kimś, kim nie jestem. Nie znaczy to, że nie szanuję konsekwencji swojego publicznego wyoutowania się. Bardzo je szanuję, ale na ich kanwie chcę głośno mówić, że czas zaakceptować też tych „z piórami w dupie”! Po zdjęciach w kalen-

- PRYZNANIE NAGRODY LITERACKIEJ ZAKOPANEGO •
- SPOTKANIA AUTORSKIE •
- PROMOCJE KSIĄŻEK •
- WYSTAWY • KONCERTY •
- TARGI KSIĄŻKI •
- WARSZTATY LITERACKO-PLASTYCZNE •

WWW.FESTIWALE.ZAKOPANE.PL



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego



ZAKOPIAŃSKI FESTIWAL LITERACKI



ZAKOPANE



ZAKOPANE



koalicja letnich festiwali literackich



7. ZAKOPIAŃSKI FESTIWAL LITERACKI

8–10 LIPCA 2022
PLAC NIEPODLEGŁOŚCI

NA TATRZAŃSKIM SZLAKU LITERATURY

darzu i artykule w „Replce” dostawałem setki maili dziennie. Nie, nie przesadzam. Najczęściej od osób między dwudziestką a trzydziestką. Szanuję tę swoją rolę i rozumiałem, jak to ważne, kiedy jeden z lekarzy napisał, że gdyby 10 lat temu wiedział, że można być lekarzem i oficjalnie powiedzieć, że się jest gejem, toby dziś nie myślał o śmierci. To strasznie smutne. Ja akurat nigdy nie myślałem o śmierci, a już na pewno nie z tego powodu, że jestem gejem.

Co z dziećciakami, które się wieszają?

– Nie jestem dla nich dobrym przykładem, jak sobie poradzić z hejtem i bullyingiem. Niestety. Ale moje życie może być przykładem dla ich rodziców, bo miałem chroniących mnie i tolerancyjnych rodziców, i to mnie ukształtowało, plus moja osobowość i osiągnięte sukcesy złożyły się na to, gdzie i kim obecnie jestem. Gdybym nie był po prostu tym, kim jestem, i był bardziej kruchy i mniej wzmocniony przez bliskich, niechby moja matka była wierzącą katoliczką i dwa razy mi powiedziała, że ciężko grzeszę, niechby w małym miasteczku miał prostactach kolegów, to nie wiem, jak wyglądałoby moje życie dzisiaj. Możliwe, że bym się powiesił.

Kiedy kolega powiedział swojemu ojcu, że jest gejem, ten rzucił nim o kaloryfer. Jakim trzeba być ojcem czy matką, żeby nie akceptować swojego dziecka? Krwi ze swojej krwi? Ciała ze swego ciała? Dla mnie jako rodzica największą obelgą byłoby, gdybym nie wiedział, kim jest moje dziecko, a ono bałoby mi się powiedzieć o tym.

To jak pomóc takim dziećciakom?

– Akceptacja jest odpowiedzią. Akceptacja różnorodności i szacunek do drugiej osoby. To wymaga edukacji seksualnej, a pod jej nazwą kryje się edukacja społeczna, równościowa, nauka o ciele, dojrzewaniu, seksualności i seksie, o życiu, rodzinie, i sama chyba pani czuje, o czym mówię. Tak boleśnie nam tego teraz brakuje, że nagi akt lekarza wywołuje dyskusje całego środowiska lekarskiego. Wyznanie miłości dwóch facetów komentowane jest przez członka rządu RP. Dzieci dwóch matek nie dostają polskiego obywatelstwa, a za bycie nieheteronormatywnym i/lub niecisplciowym można zostać pobitym na ulicy.

Po waszym ślubie i towarzyszącej mu uroczystości w Polsce wiceminister sprawiedliwości napisał, że to skandal, że wiceprezydent Bydgoszczy złożył wam gratulacje, bo „polskie prawo jasno określa małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny”. I że ta „błazenada” jest „prowokacją osób o skrajnie lewicowych poglądach, które próbując zalegalizować swoje roszczenia, uderzają w rodzinę i prospołeczne wartości oraz tradycję”, na co nie ma zgody.

– No i?

Nie zbrukał wam tym wpisem waszego święta?

– Nawet go nie tknął. Nie chcę wyjść na aż tak nadętego dupka, ale poczułem, jak bardzo jestem ponad to, co on wypisuje. Odpowiadając mu, starałem się delikatnie ubrać w słowa to, co powiem pani wprost: sorry, ale kim w ogóle jest ten ziomek, który śmie mi się wpierdalać między wódkę a zakąskę. Ja się czuję pełnoprawnym obywatelem, pracuję, pomagam ludziom, płacę podatki, i to niemałe, a on, opłacany z moich pieniędzy, wypisuje takie bzdury. Nie czytałem komentarzy pod tekstami o naszym ślubie, bo nie chciałem, by mi zatruły naszą rodzinną przestrzeń. Ale Mateusz je czytał i zgłosił do Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, który założył dwie czy trzy sprawy. Dopiero podczas przesłuchania na policji dowiedziałem się, co niektórzy mężowie i ojcowie wypisywali. Że „zajebać”, „kula w łeb”, „do piachu”, „zasypać wapnem”. Musiałem wyglądać nietęgo, bo sierżant przerwał odczytywanie zebrań materiałów dowodowych i zapytał, co mi się stało. To o mnie, panie sierżan-

cie? Przecież ja nawet nie znam tego pana, powiedziałem. Koszmar jakiś. Zdaje się, że dostał już wyrok za nawoływanie do zabicia nas.

Czy boi się pan, że ktoś zrobi wam krzywdę?

– Nie wszędzie chodzimy z Mateuszem za rękę na spacerze, a jeśli się zdarzy, to nerwowo się rozglądam, czy nikt nam nie przywali albo nie nazwie „jebanymi ciotami”. Powiesiłem w oknie tęczową flagę, ale obnoszę się bez obaw, że mi je ktoś wybiję, bo wysoko mam mieszkanie. Ale już w kamienicy w Sopocie nie wywieszę, bo pragmatycznie szkoda mi okna.

Ja wiem, że mnie i tak łatwo jest akceptować. Często słyszę: a bo ty jesteś fajny i normalny i żeby każdy gej taki był. Bardzo nerwowo reaguję na takie „komplementy”. Bo jak w ogóle ktoś śmie tak mówić? Trzeba akceptować i szanować każdego człowieka. Niech każdy ma prawo być takim, jaki jest.

Sądzi pan, że rodzice są z pana dumni?

– Tato jest po udarze i nasz kontakt jest trudny. A mama zmarła, kiedy miałem 36 lat, była zawsze i teraz też na pewno byłaby ze mnie dumna. Od dziecka mi powtarzała, że jestem mądry i piękny, chociaż gdy trzeba było, nie miała oporów i umiała sprowadzić mnie na ziemię. Była przepięknym przykładem tego, jak wspierać dziecko.

Ma pan jej zdjęcie?

– Jak nie żyje? Mamy razem takie zdjęcie.

Zniechęcanie ciężarnej do współżycia to chyba jedno z częstszych zaleceń lekarskich w Polsce. Serce mi pęka

Jak to, „jak nie żyje”?! Zrobił pan ze zmarłą mamą selfie?

– Zrobiłem. Pożegnałem się z nią wieczorem i zadzwoniłem po ojca. Chciała umrzeć przy nim, bardzo się kochali. Trzy godziny później wróciłem do niej. Ubrałem ją w sukienkę, którą razem wcześniej wybraliśmy, pomalowałem i przytuliłem się do niej na łóżku. Zasnąłem. Byliśmy razem do rana. I wtedy zrobiłem nam ostatnie zdjęcie.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic. Kiedyś mój ultrakatolicki student powiedział mi, że chce robić zdjęcia martwym płodom. Pomyślałem, no, grubo, ale poczytałem na ten temat i zrozumiałem, że to, o czym mówię, jest potrzebne. Zorganizowałem fotografię i fotografa, którzy robili zdjęcia martwym noworodkom. W hospicjum perinatalnym w Bydgoszczy, gdzie pracuję, konsultuję pacjentki, robi się nadal zdjęcia zmarłym dziećciakom.

Dla ich rodziców?

– Tak. Po zmarłym partnerze zostają zapachy, ciuchy, zdjęcia, a rodzicom takich niedonoszonych dzieci często nie zostaje nic. Jak mają przeżyć po nich żalobę, skoro nigdy ich nie widzieli ani nie mieli możliwości, by się z nimi pożegnać.

Pod opieką hospicjów, z którymi współpracuję, są kobiety, które wiedzą, że ich dziecko umrze, ale decydują się donosić ciążę. Po porodzie neonatolog nie zabiera im dziecka i nie podłącza do miliona rurek, tylko dostają osobny pokój, w którym mogą tego dziećciaka włożyć do ciepłarki i być przy jego śmierci. Albo wziąć go na ręce i pozwolić, by umarł na tych rękach. W krótkim czasie musza z nim „przeżyć” całe życie. Urodzić, pokochać, przytu-

lić i pożegnać. A potem zostaje im chociaż to zdjęcie.

Ja jestem dumny z siebie, że byłem z mamą w jej ostatnich chwilach. Że nie uciekłem, a ona nagle po śmierci nie zniknęła zabrana przez zakład pogrzebowy. Nie mam teraz w sobie jakiejś pustki i podejrzwam, że ci rodzice czują podobnie.

Ale wspieram też tych, którzy chcą zakończyć ciążę. Nie znam pary, która by się zdecydowała na terminację ciąży dziecka z wadą letalną z innych przyczyn niż miłość. Widzę, jak jest im ciężko, ale nie chcą, by dziecko cierpiało. Nic nie jest czarne i białe, życie ludziom się różnie plecie.

Pan jest zwolennikiem aborcji, ale przeciwnikiem „aborcji na życzenie”. Aktywistki z Aborcyjnego Dream Teamu zarzuciły panu i innym lekarzom cieszącym się mianem lekarzy pro-choice i sojuszników kobiet, że „tkwicie w płodocentryzmie i stygmatyzujecie osoby potrzebujące aborcji, opowiadając się za dostępem do niej jedynie do 12. tygodnia ciąży”. I że niczym innym jak wzmocnianiem swojej władzy jest wasze oczekiwanie od kobiet „wystarczających powodów” do dokonania aborcji po 12. tygodniu.

– Parokroć odpierałem te absurdalne zarzuty. Po pierwsze, granica 12 tygodni została ustalona na podstawie embriogenezy płodu i ma ścisły związek z rozwojem anatomicznym i funkcją struktur układu nerwowego. Przyjmuje się, że przed 12. tygodniem ciąży nie jest możliwe istnienie świadomo-

ści, a zatem z filozoficznego punktu widzenia istoty, która jeszcze nie uzyskała świadomości, nie można ani skrzywdzić, ani obdarzyć korzyścią. I z tego powodu datę 12 tygodni uważa się za graniczną na wykonanie aborcji. Oczywiście zdarza się, że ciężkie i nieodwracalne uszkodzenia płodu, które są wadami nieuleczalnymi i letalnymi, są wykrywane później i wtedy również wskazana jest aborcją przed 24. tygodniem. Natomiast terminacja ciąży po 24. tygodniu ze zdrowym płodem, bez istotnych przesłanek poza życzeniem ciężarnej nie jest dla mnie jako lekarza i człowieka akceptowalna. Miałbym uśmiercić płód, który mógłby się urodzić i żyć? Musimy ponownie zwrócić się ku edukacji i zamiast jakichś wielkich kwantyfikatorów czy pustych frazesów zdefiniować konkretnie, o czym mówimy. Feticide, czyli uśmiercenie zdrowego płodu, np. w 36. tygodniu ciąży, na prośbę ciężarnej, jest czymś, czego ja jako lekarz i człowiek nie potrafiłbym zrobić.

Ale dlaczego nie chce pan pozostawić tego wyboru kobietom?

– Ależ zostawiam! Chciałbym, żeby każdy z nas miał wolność do życia i realizacji siebie w takim zakresie, który pozwoli mu na pełne wyrażenie siebie – tak, być szczęśliwym, ale z zachowaniem autonomii innych jednostek i uwzględnieniem życia społecznego.

Powiedział pan, że kocha swojego męża. Co to znaczy?

– Myślę o nim, dbam o niego, jestem przy nim tu i teraz oraz jestem gotowy spędzić z nim życie. I chciałbym go trzymać za rękę, gdy będę umierał. Bez filozofowania, czym jest szczęście albo na jakiej zasadzie ludzie winni się ze sobą dobierać, my jesteśmy po prostu szczęśliwi.

Dwa lata temu w urzędzie w Edynburgu wzięliście ślub. Co sobie przysięgaliście?

– Klasyka gatunku. Ja, Maciej, biorę sobie ciebie, Mateuszu, za męża i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci.

Wykorzystaliście katolicką przysięgę w świeckiej uroczystości?

– To jest przysięga o bliskości i jej zrealizowanie byłoby dla mnie spełnieniem. Powtórzyliśmy ją później przed naszymi przyjaciółmi, których chcieliśmy wziąć na świadków naszej miłości w trakcie wesela. W czasie uroczystości znajomi odczytali nam „Hymn o miłości”. Jeden z moich walujących znajomych LGBT zapytał mnie: jak mogłeś, przecież to jest katolicki tekst. Ale ja uważam, że jest piękny i mam prawo się do niego odwoływać, mimo że do Kościoła mi daleko.

Ale uczył się pan w katolickim liceum, prawda?

– Nie oficjalnie katolickim, ale bliskim Kościoła. Tak, bo było najlepszym liceum we Włocławku. Codziennie chodziliśmy do kościoła przed lekcjami. Modliłem się, by dostawać szóstki albo piątki, i jeśli tak się stanie, obiecywałem się za nie odwzajemnić, co staram się robić. Mój siostrzeniec też wybiera się do katolickiej szkoły. Takiej prawdziwej. Próbowałem wybić siostrze ten pomysł z głowy, bo przecież on się nawet nie umie przeżegnać, ale ona załatwiła od księdza zaświadczenie, że jej syn jest „wierzącym i praktykującym katolikiem”. Czuje pani? Zaświadczenie o sześciolatnim dziecku, że jest wierzącym i praktykującym katolikiem? Zapytałem go na spacerze, czy wie, że codziennie będzie musiał się tam żegnać, i wie pani, co odpowiedział?

Że nie potrafi?

– Wiem, wujku, codziennie się będę z kolegami i witał, i żegnał, normalnie, jak zawsze. Po chwili konsternacji zacząłem się śmiać jak szalony. Byłem w szoku, że on w ogóle tego nie ogarnia, ale potem pomyślałem: jakie to wspaniałe, że on jest wolny do katolickiego pocucia winy, strachu, wstydu i całego tego balastu będącego kulą u naszych nóg. Mateusz jest ode mnie młodszy o 14 lat i dla niego temat Kościoła, Boga i religii jest również abstrakcyjny.

Mimo konkordatowej treści przysięgi małżeńskiej ani ślub w Edynburgu, ani ta późniejsza przysięga złożona w gronie przyjaciół nie jest dla polskiego państwa wiążąca.

– Dla państwa polskiego nie jesteśmy małżeństwem, ale gdybym na przykład chciał się ożenić w Polsce, to nie mogę, dlatego że w innym państwie mam męża. To nie jest jedyny absurd, jaki toczy polskie prawodawstwo. Jestem pewien, że niedługo prawo się zmieni i w Polsce będzie musiało się akceptować wszystkie związki Polaków zawarte za granicą. ●



FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dr n. med. Maciej W. Socha

• ur. 1978 r., ordynator Oddziału Położniczo-Ginekologicznego Szpitala św. Wojciecha w Gdańsku. Adiunkt, kierownik Katedry Perinatologii, Ginekologii i Ginekologii Onkologicznej z Zakładem Medycyny Rozrodu i Andrologii UMK Collegium Medicum w Bydgoszczy. Dyrektor medyczny kliniki LEKARZE, Mostowa 4, w Bydgoszczy

BIEDNI BOOMERZY PATRZĄ NA LGBT

Jak miliony obywateli chowanych na Matejce i Sienkiewiczu byłem homofobem, a kto wie, czy nie i rasistą

WITOLD BEREŚ*

Oto ona kocha tylko kobiety. On kocha tylko mężczyzn. On i ona są bi (biseksualni). On/ona/ono jest trans. Wariantów innych do tego mnóstwo. Ale sens, sens zawsze jeden – ktoś się czuje źle w swej skórze, tak źle, że gotów jest zrobić wszystko, by z niej wyjść. Ktoś inny kocha kogoś tak mocno, że gotów jest zrobić wszystko, by z nim być, choćby najbliżsi mówili mu „nie”. I najważniejsze – nikt nikogo nie zmusza do złego, nikt nie wymusza na osobach innej konstrukcji zmiany ich upodobań. A jednak przeciętniactwo i prostactwo zwalcza ich z wszelkich sił...

Wydawałoby się, że średnio rozgarnięty odbiorca, o empatii leżącej nawet na poziomie Żuław Wiślanych, powinien się przerazić, czytając o poziomie agresji wobec Innych, których jedyną przewiną jest to, że szukają siebie. Wydawałoby się, że nie można nie poczuć współczucia, gdy czyta się, jak to rodzona matka drwi, ojciec tłucze, w szkole zaszczuwają, a państwo podkręca atmosferę nienawiści.

Wydawałoby się.

W ięc najpierw: jak to było w przedszkolu? „Nie interesowałem się samochodzikami. Zyskałem status »Odmieńca«, bo byłem sobą. Jedynym, w czym prześcigałem moich rówieśników, było to, ile przezwisk potrafię wziąć na klatę i nie zapłakać. Po kilku latach w ogóle przestałem płakać, jakbym za młodu wyplakał wszystkie łzy” (Michał Głaska, ur. w 1998 r., cis mężczyzna, gej, urodził się i mieszka w Warszawie).

A co w szkole?

„Pamiętam, jak w pierwszych tygodniach dwóch śledziło mnie w drodze do domu. Gdy w końcu dotarłem pod mój blok i szybko zacząłem wstukiwać kod otwierający drzwi, mając nadzieję na koniec prześladowania, pojawili się obok, torując mi tym samym wejście. Spytały, czy mogą wpaść. Chciałem od razu zatrzasknąć drzwi, lecz zaczęły we dwójkę ciągnąć za klamkę. Mój strach był już jednak na takim po-

gólnie” (Doma, ur. w 1996 r. w Gdańsku, cis kobieta, lesbijka, mieszka w małym mieście w województwie pomorskim).

Więc może pomoże Ojciec? Surowy, lecz sprawiedliwy?

„Tata wylał na mnie więcej nienawiści niż cała homofobia, jakiej doświadczyłem w życiu. »Jak ci nie wstyd, pedale, grzebać komuś w dupie i w gównie!«” (Facet dumnie homoseksualny, ur. w 1988 r., cis mężczy-

otworzyłem się, wiedziałem, że to jedynie, co mogę zrobić. Nie chciała nawet do końca wysłuchać. Ciągłe na mnie krzyczała. Pokazałem jej w sieci forum osób trans, a w nim »dział dla rodziców«, w którym wszystko było wyjaśnione. Mówiła, że ja »taki« nie jestem, a tamci są »pojebani«. Że »mogę być sobie lesbą, ale resztę mam sobie wybić z głowy!«” (Tomasz Janota, ur. w 1993 r. w Sosnowcu, osoba transmęska i panseksualna, mieszka w Zabrzu).

Kurcze, więc państwo, państwo stanowi na pewno oparcie dla tych, którzy są szykanowani i są w mniejszości, prawda? Jak w dobrym filmie – policjant pomoże, a polityk obroni?

Tak, kiedy przez Polskę roku 2019 szły pokojowe manifestacje osób LGBT, a przeciwko nim wychodziły na ulice watahy bandytów z kijami w ręku – policja nie zawałała się wkroczyć. Jak później przyznał policjant zeznający w procesie wytoczonym przez jedną z osób zatrzymanych: „Otrzymałem polecenie zatrzymania wszystkich osób oznakowanych barwami LGBT, niezależnie od tego, w jaki sposób się zachowywały”.

W tym samym roku niejaki Przemysław Czarnek zauważył, gdzie stoją konfitury – włączył się w kampanię prezydencką p. Dudy i orzekł: „Skończmy dyskusję o tych obrzydliwostwach LGBT, homoseksualizmie, biseksualizmie, paradach równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy z tą dyskusją”.

Cztery miesiące później w nagrodę został ministrem edukacji...

*Od uchwalenia konstytucji, która „chroni małżeństwo jako trwały związek kobiety i mężczyzny”,
minie ukrótce trzydzieści lat*

– co stanęło na przeszkodzie, by coś zmienić na lepsze?

ziomie, że zebrałem wszystkie obecne we mnie siły i szarpnąłem drzwi najmocniej, jak potrafiłem. Udało mi się je domknąć. Wbiegając po schodach, usłyszałem tylko, że mają zamiar jutro tu wrócić” (ur. w 2003 r., gej, mieszka w małym mieście do 50 tys. mieszkańców w woj. łódzkim).

Bo że ulica nie utuli, to jasne?

„(...) jeden typek nawet sugerował gwałt naprawczy, jakiś inny gadał obelśne rzeczy i bez zgody tykał mnie po kolanach, ktoś tam darł na mnie mordę: »LGBT KURWA!«, a jeszcze inny krzyczał, że robię z siebie potwora z bagien, że jak mogę mieć takie włosy, to trochę się cykam mężczyzn tak

zna, gej, pochodzi z małej miejscowości w województwie podkarpackim, mieszka w Warszawie).

To może Mama, ukochana Mama?

„Miałem 19 lat, gdy wyoutowałem się przed mamą. Nie planowałem tego. Wróciłem właśnie z przychodni z mojego pierwszego zastrzyku hormonów. Wyjątkowy to dzień dla takiej osoby. Pierwszy krok na milowym szlaku! Zostawiłem torbę, poszedłem wyprowadzić psa. Gdy wróciłem, mama stała w przedpokoju, wściekła, trzymając hormony wyjęte z torby. Ręce zaczęły mi się trząść, nogi zmiękły tak, jakby miał we mnie wjechać samochód. Powiedziałem jej prawdę,

Kraków

Kultura wybrana dla Ciebie

JUŻ JEST LETNIE WYDANIE

krakowculture.pl

ORGANIZATOR:
Instytucja Kultury Miasta Krakowa

kbf:
operator programu Kraków Culture

PATRONI MEDIALNI:
Radio Kraków

onet

Newsweek



1 RP

REKLAMA 34187371

eprasa.pl 1502a6553e

Nic dziwnego, że młoda kobieta pisze tak oto:

„A w morzu krzywd dodać trzeba jeszcze jeden ważny wątek: jeśli wyłączyć z rachunków ludzi złych i ich nastawienie do osób nieheteronormatywnych, to po stronie tych, którzy ich nie rozumieją, będą i ci, którzy też cierpią”.

„Oto żona dowiaduje się, że przykładowy mąż (dziesięć lat w związku) kocha mężczyznę. Szok: »Jak to? Nie rozumiem«. Szeroko otwarte i mokre już oczy mojej żony zadawały dziesiątki pytań. Jej sparaliżowane usta próbowały znaleźć słowa, które umiałyby wyrazić jej kotłujące się myśli. Gdy ją dogoniłem, płakała. Miała zaciśnięte pięści. Uderzała mnie nimi w klatkę piersiową. Odpychała mnie, a jednocześnie – czulem to – chciała się do mnie przytulić. »Teraz? – wykrztusiła. – Teraz, gdy nauczyłam się, jak cię kochać?!«., (Michał Safianik, ur. w 1978 r. w Przemyślu, cis mężczyzna, gej, mieszka w Brukseli).

Słowem – życie LGBTQ+ to (poza miłością) naddatek morza cierpienia.

Poza Naturą, Losem, Historią i diabli wiedzą czym, jest jeszcze jeden cichy, a mroczny bohater tych opowieści: Kościół.

Bo Kościół katolicki w Polsce, ten pojmowany jako struktura wypełniająca życie wiernych, nakręca ich poczucie winy, niszczy psychikę, stymuluje nagonkę na osoby, z którymi mu nie po drodze. Spektakularne inwektywy miotane przez abp. Jędra-

twierdzi, że geje nie są represjonowani, bo po prostu nie istnieją? Niech nikt się nie pociesza – gdy przez Polskę maszerowały fale bojówek bijących młodych ludzi tylko za to, że szli z tęczowymi flagami, Joachim Brudziński, wpływowy europoseł PiS, ogłosił: „Polska bez LGBT jest najpiękniejsza”...

Ta książka wyrasta z ważnego nurtu polskiej socjologii – pamiętników uwrażliwiających. To bodaj Florian Znaniecki w latach 20. ubiegłego wieku wpadł na pomysł, aby do wykluczonych dotrzeć poprzez osobiste dokumenty (listy, relacje z procesów), a przede wszystkim – pamiętniki.

I zaczęło się – na konkursy wspomnienia nadsyłali chłopci, emigranci, nauczyciele... Potem był Ludwik Krzywicki i Instytut Gospodarstwa Społecznego, gdzie przeprowadzono jeden z najciekawszych projektów – „Pamiętniki bezrobotnych”. Krzywicki uważał bowiem, że nagłaśnianie relacji pamiętnikarskich powinno też budzić sumienia (bezrobocie sięgało wówczas 43 procent).

Ten dzisiejszy tom o LGBT (siedemdziesiąt dziewięć relacji autobiograficznych) jest efektem tego typu konkursu, tyle że ogłoszonego w 2020 r. przez Pracownię Badań nad Historią i Tożsamościami LGBTQ+ na UW.

Owszem, główną rolę w tym projekcie odgrywa wola uświadamiania wspólnego losu osobom LGBTQ+.

i wolna miłość, choć, jak wiadomo, w domach z betonu jej nie było. Seks wyrafinowany to był seks oralny. Kobieta z kobietą – zjawisko dla przyjemności mężczyzn. Mężczyzna z mężczyzną – sprawa dopuszczalna, ale wstydliva. Ocieplenie klimatu – każdego roku w lipcu. Żarówki wyłącznie tradycyjne, żarowe, a nie żadne świetlówki (jak z rozżaleniem wspominał pan A. Duda). Był serial, niedzielny rosół po mszy, bicie żony, żeby się nie zepsuła, i dzieci, żeby je wychować. A 1 maja wszyscy radośnie spotykali się w pochodzie, podobnie jak 24 grudnia na pasterce.

Do tego dochodziła kromaniońska edukacja seksualna: młodzi z rumieńcami oglądali kserokopie zamazanych rysunków kilkunastu pozycji seksualnych w bogobojnej książeczce dr Wisłockiej.

A ja, jak miliony obywateli chowanych w kulturowym polactwie (od Matejki po Sienkiewicza), źle reagowałem na Innych: byłem homofobem, a kto wie, czy nie i rasistą. Szczęściem ominął mnie antysemityzm – może dlatego, że z istnienia mniejszości żydowskiej zdałem sobie sprawę dopiero w czasach pierwszej „Solidarności” (tu tłumaczę młodszym: obowiązywała wykładnia, że w Oświęcimiu zginęło trzy miliony obywateli Polski, ZSRR i wielu państw zachodnich).

Czy wokół byli homoseksualiści? Byli, ale nie szokowali. Mówiło się o nich delikatnie – „pedzie”. Był więc miły pan, który mieszkał w bocznej klatce i którego odwiedzali inni panowie. Rodzice równie mocno

(bez uczuć zbliżenie jest niemożliwe – na prawdę? Trudno oprzeć się wrażeniu, że pod tą nazwą kryje się zjawisko dobrze znane). Do tego jakaś demiromantyczność, heteroromantyzm czy litromantyzm (choć to podejście do związku, a nie upodobania łóżkowe). Zdaje się, że ważna jest cisplciowość, a ludzie cisgender to ci, którzy nie mają problemu z tożsamością płciową. Ale, ale – biseksualiści również mogą być cisplciowi, podobnie jak panseksualiści (czujący pociąg do konkretnej osoby, niezależnie od jej płci). A jeszcze jest coś zwane bicurious – co ma być nie tyle konkretną tożsamością seksualną, ile samym jej odkrywaniem.

Uff... Jasne – wraz z większą świadomością i swobodą poruszania tematów, które w czasach mej młodości były tabu, musi iść świat pojęć. Ale...

Czasami nadal pojawia się we mnie ta dziwna, jakby archetypiczna niechęć do Innych. Wiem – głupie to. I skutecznie to zwalczam. Na szczęście – wszak substancja szara służy temu, by z niej korzystać. Mam tylko nadzieję, że to po prostu są te atawistyczne deficyty naszego starego, boomer-skiego pokolenia – i że edukacja to zmieni.

Rozumiem już, że nie powinno się mówić: „Pięknie panie wyglądają” (choć mówię). A „całuję rączki” – nie mówiąc już o faktycznym całowaniu – to dowód mentalnego zramolenia. Oczywiście, że zwroty utrwalające negatywny stereotyp kobiety („męska decyzja”, za to „babska logika”) dyskryminują. A już rzucane w towarzystwie podteksty seksualne nie tylko nie są dowodem męskiego dowcipu (jako drzewiej bywało), ale molestowania i kwalifikują się do prokuratora („Pałę, bo jak nie ma pań, to czymś trzeba zająć ręce”).

I wiem, że nie ma co się użalać nad starym, niknącym światem, kiedy to lata były gorętsze, zimy bardziej śnieżne, kobiety plus mężczyzna było wariantem, którego jedyną komplikacją (czasami pożądaną) było dziecko, zniewieściali chłopcy jadalni kremówki, prawdziwi macho palili tanie szlugi, a dziewczynki nosiły różowe sukienki i wiedziały, co przed ślubem jest dobre, a co złe.

Nie, tamten świat nie był prawdziwy, ani tym bardziej – lepszy. Ale żeby to zrozumieć, ze strony nowego świata powinny iść sygnały co najmniej niewykluczające.

Tymczasem jest jeden aspekt świata współczesnego, który nie tylko zniechęca, ale nastawia wrogo do wszelkich przemian – język.

Sprawa jedna to feminatywy. Owszem, można i należy mówić „szefowa” zamiast „szef”. Ale historyczne kreowanie nowego języka przy upieraniu się np. przy „powstankach” – zamiast kobietach powstańcach – czy robenie z kobiety kierującej ciężarówką TIR tirówki jest głupawe, zanieczyszcza język i niszczy sens walki o nowy świat wartości uwzględniający rolę kobiet.

A co dopiero powiedzieć o stosowanym w omawianej książce zapisie upłciowionych form czasowników i zaimków... („Mimo starań aktywistów_ek”). Zdaniem autorów książki (naprawdę tak można napisać, a nie koniecznie „autorów_ek”!) obejmuje on „zarówno osoby identyfikujące się z płcią definiowaną w binarnym układzie, jak i te, których tożsamość mieści się w symbolizowanej przez podkreślnik przestrzeni poza/pomiędzy binarnym podziałem”.

Wiem – trzeba przeciwdziałać słownej agresji. Trzeba budować nowy język odpowiadający nowym czasom. Ale nie można tego robić pałką i majzłem.

Bo kiedy słyszę, że już nie można powiedzieć „środowiska LGBT” (bo tę frazę przejął PiS), że nie mówimy „mniejszości seksualne” (bo nie tylko o seksualności chodzi), że powiedzieć „geje” to za mało (bo to tylko jedna z grup tworzących społeczność LGBT), to myślę, że oczekiwanie od języka, że używany w konkretny sposób naprawi krzywdy, zapobiegnie lajdactwu i wychowa człowieka, jest rewolucyjną, szkodliwą naiwnością.

Oczekiwanie od języka, iż używany w konkretny sposób naprawi krzywdy, zapobiegnie lajdactwu i wychowa człowieka, jest rewolucyjną, szkodliwą naiwnością

szewskiego są ledwie wierzchołkiem góry lodowej, z którą zderzają się ci szukający z innością.

„Zaczęłam powoli godzić się ze swoją orientacją, zaczęłam rozumieć, że bycie lesbijką to nic złego, że nie mam na to wpływu, że nie jestem chora, że tak po prostu jest. Nie było to dla mnie łatwe, bo cały czas uczęszczałam do kościoła, co wiązało się z wysłuchiwaniami rozmaitych bzdur na temat »cywilizacji śmierci«, »ideologii gender« i »homolobby«. Balam się chodząc do spowiedzi, było mi wstyd, że to ja jestem tym całym złem zesłanym przez szatan, aby zgładzić świat. Czułam się winna” (Justyna, ur. w 1995 r., cisplciowa kobieta, lesbijka, wychowała się w Nowym Sączu, mieszka w Krakowie).

Widząc winę płynącą z Kościoła hierarchicznego, nie można zapominać o przyzwoleniu państwa. Oczywiście, zrozumiałe praprzyczyny leżą we wspólnej walce z komunizmem opozycji demokratycznej i Jana Pawła II. Stąd zgoda nowych elit tylko na taką konstytucję, która „chroni małżeństwo jako trwały związek kobiety i mężczyzny”. Jednak od uchwalenia konstytucji minie wkrótce trzydzieści lat – co stanęło na przeszkodzie, by coś zmienić na lepsze?

Ano skrajnie prawicowe rządy, najpierw Lecha i Jarosława Kaczyńskich (przypomnieć należy ówczesną postawę Romana Giertycha), a potem konformizm koalicji PO-PSL. W ten sposób przygotowano grunt pod nagonkę prowadzoną dzisiaj tak skutecznie przez PiS.

Dlatego jeszcze długo homofobia i transfobia, sprawnie zarządzane przez władze i Kościół, będą w Polsce paliwem przeciwko demokracji i prawom człowieka.

Że nie jest nad Wisłą tak jak w Czeczenii, gdzie kremlowski watażka Kadyrow

To jednak także okazja do poczytania o świecie współczesnym dla boomerów, który wielu spraw nie łapie. A jeśli ktoś jest aż takim boomerem, że jeszcze nie wie, dlaczego nim jest – wyjaśnienie. Owo mało sympatyczne słowo (wykluczające, tak!) używane jest na określenie osoby urodzonej pomiędzy latami 1945-65, w czasie powojennego „baby boom” (wzrostu liczby urodzeń). Ale przede wszystkim oznacza staromodnego dziadzia, który opowiada kawały jak suchary, wie, że kiedyś to było lepiej, i na wszystko ma jedną, przemądrzałą odpowiedź.

Zatem: czy boomer może zrozumieć świat? Ja, boomer z daty urodzenia, staram się, ile mogę. A ta książka na pewno w tym pomaga.

Wiem jednak, że najpierw trzeba uczciwie odpowiedzieć na swoje uprzedzenia, a także podkreślić uproszczenia tych, którzy grzeszą ageizmem i za grosz mojego świata nie rozumieją.

Znajomy, niezbyt bliski, wbił mnie w fotel, przyznając kiedyś, że będzie głosować na p. Dudę. – Bo on coś robi z tym LGBT panoszącym się na gejparadach! – syknął. Kiedy próbowałem się czegoś więcej dowiedzieć, on, wykształcony lekarz, plótł jak Piekarski na mękach. Myliło mu się wszystko – pedofilia z homoseksualnością, geje z transwestytami, a queer z queen.

Skreśliłem go, ale przyznam – rozumiem go po trochu: świat przyspieszył w sposób niepojęty. A zwykły zjadacz informacji nie jest w stanie tego objąć.

Jeszcze wczoraj było u nas jak w miętynym sklepie za PRL – na wszystko kartki i ciesz się z tego, co ci rzucą. Seks? Przedmażeński, małżeński – niech będzie. Może

zabraniali się z nich śmiać, jak i utrzymywać z nimi jakiegokolwiek kontakty.

Ale Inni byli też w szkole... Dlaczego Stasiu N., trzynastolatek, uczeń podstawówki, miły, delikatny, może i nadmiernie, skoczył pod pociąg? Mówiło się „pedzio”, tak. Lecz to się kiepsko rymowało. Leciąco więc zatem po klasie: – Stasio pedał, majtki sprzedał.

Nie, tak nie wykrzykiwałem, bo go lubiłem. Ale żeby pierś w jego obronie wystawić?

Wychowawczyni nawet interweniowała, łapała winnych i tłukła ich linijką (aż Z. jej oddał z kiści i wezwano Milicję Obywatelską). I co z tego? Stasiu płakał, płakał, aż wypłakał – jest pierwszym z wielkiej listy kolegów, którzy odeszli w Nicość.

A ja, przez swoją obojętność, na pewno miałem w tym udział.

Potem jednak ni z tego, ni z owego przysła wolność. Nagle się okazało, że jest efekt cieplarniany, ale i nie ma już homoseksualistów – tylko LGBT. Czyli les, gay, bisex i trans. Ale teraz i ten akronim już nie jest aktualny. Teraz jest i Q, i „plus”, i coś tam. Tak czy siak – dziś w sumie odgrywa on rolę symbolu grupy ludzi, którzy nie są heteroseksualni.

Lecz, jak przeczytałem, w tych czasach katalogowania wszystkiego randkowa aplikacja Tinder wprowadziła rozróżnienie na 37 płci i orientacji seksualnych. Ciężko mi to ocenić, bo Tindera nie mam – dostatecznie trudno mi opanować zramolałego fejsa i YouTube’a, nie mówiąc o Twitterze i insta.

Ponoć istnieje orientacja heteroseksualna, homoseksualna, biseksualna i aseksualna, zaś transplciowość to pojęcie określające osoby, których tożsamość płciowa różni się od płci nadanej przy urodzeniu. Ale jak słyszę, jest i demiseksualność

A najgorsze, że odrzucanie tych rewolucyjnych postaw przez nas, boomerów starających się zrozumieć Innych, kończy się zwykle agresywną drwiną (co najmniej) przekreślającą sens tych zmian i poszerzającą pole ludzi wykluczanych – mimo starań aktywistów i aktywistek.

OK, boomer?

Na szczęście tak jak pokolenie boomerów nie nadaża za milenialsami (urodzonymi w latach 1980-95), tak milenialsi, a więc dzisiejsi trzydziestoparolatkowie, są w oczach pokolenia Z urodzonego gdzieś w początkach wieku XXI – smutasami i dziadorami.

To jednak niczego nie musi zmieniać w naszym myśleniu.

Bo walka o prawa obywatelskie osób deklarujących swoją Inność (seksualną, rasową, obyczajową) to element wielkiego projektu na cały wiek XXI. I to nie tylko dla zramolalej lewicy czy kawiarnianego lewactwa, ale i dla nas, zakłamanych liberałów, jak czytam w jednym z pamiętników.

Po prostu dla wszystkich przyzwoitych ludzi – choćby tego nie rozumieli.

A nawet przede wszystkim wtedy, jeśli tego nie będą rozumieli. ●



FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Witold Beres

• ur. w 1960 r., pisarz, producent filmowy, redaktor naczelny miesięcznika „Kraków i Świat”

„Cała siła, jaką czerpię na życie. Świadectwa, relacje, pamiętniki osób LGBTQ+” (redakcja zbiorowa), Karakter, Kraków 2022



Ale fajny dysonans

Czytam i podziwiam człowieka, który wśród przeciwników PiS ma renomę nazisty, transfoba i taliba.

Marcin Matczak*



W dniu, w którym na Narodowym grali Guns N' Roses, poszedłem na spotkanie z człowiekiem, który jest postrzegany jako większy skandalista niż Axl Rose, Slash i Duff McKagan razem wzięci. Polski wydawca zorganizował kolację z Jordanem Petersonem, kanadyjskim psychologiem, o którym „New York Times” pisze, że jest najbardziej wpływowym publicznym intelektualistą świata Zachodu, a „Financial Times”, że nienawidzą go po równo skrajna prawica i skrajna lewica. U nas przewagę ma nienawiść lewicowa, bo skrajna prawica Petersona nie czyta, a umiarkowana uważa za guru. To jej reprezentanci spotkali się tłumnie o 20 w hali Expo, by go posłuchać, płacąc za tę możliwość więcej niż fani Gunsów za swoje bilety.

Zaproszono mnie na tę kolację pewnie dlatego, że po latach krytykowania PiS, gdy już wszyscy uznali mnie za lewaka (taki stereotyp – jeśli krytykujesz konserwatywny rząd, z pewnością jesteś marksistą i ateistą), ogłosiłem, że Petersona czytam i podziwiam. Wśród przeciwników PiS Peterson ma renomę nazisty, transfoba i taliba, więc spowodowało to dysonans, który mnie ucieszył. Klasyfikowanie ludzi według plemion jest zmołą naszego świata, a ponieważ żaden człowiek nie jest czarno-biały, przed otągowaniem należy uciekać.

Peterson jest publicznym wrogiem lewicy, ponieważ sprzeciwił się obowiązkowi używania neutralnych płciowo zaim-

ków i krytykował ideę „równości efektów” (lepiej wersja równości szans), wskazując, że w krajach, które ją wprowadziły (np. w Skandynawii), naturalnie różne predyspozycje kobiet i mężczyzn dotyczące życia zawodowego nie zostały przezwyciężone. Sprzeciwił się temu, by transkobiety występowały w kobiecych dyscyplinach sportowych, zostawiając w tyle konkurentki, których ciała nigdy nie były wystawione na działanie męskich hormonów. Ostatnio zareagował ostro wobec chirurga, który publicznie chwalił się wykonaniem 3000 podwójnych mastektomii u młodych kobiet, które poddały się operacji zmiany płci. Uznał, że ludzi, którzy reklamują tak swoje usługi, między innymi na skierowanym do dzieci TikToku, należy aresztować.

To nie te wypowiedzi Petersona powodują jednak, że warto go czytać. Ludziom trudno zrozumieć, że ktoś może w jednej sprawie mówić głupio (jak Peterson w sprawie szczepień przeciwko COVID), a w innej mądrze. A Peterson mówi mądrze, gdy przekonuje, że zapomnieliśmy o znaczeniu starych opowieści, które są skondensowaną ludzką mądrością. Jego wykłady na YouTube o psychologicznej doniosłości historii biblijnych odkrywają zapomniane pokłady ludzkich doświadczeń: szkodliwość pychy, jak w opowieści o wieży Babel, obowiązek wyjścia poza to, co znane, i eksplorowania nowych obszarów, jak w historii Abrahama, czy konieczność buntu, który jest drogą do zrozumienia, jak w opowieści Jakuba, który walczył z aniołem.

Ta mądrość pojawiła się w czasie poniedziałkowej kolacji. Rozmawialiśmy o tym, że społeczeństwa potrzebują różnorodności – i lewicy, i prawicy – by w zderzeniu argumentów nie popadać w skrajności. Że ryzykiem dla Unii Europejskiej, widocznym w brexicie, jest zbyt duża odległość między lokalnymi problemami i wspólnotami a centrum zarządzania w Brukseli i że jeśli Unia ma trwać, trzeba tę trudność przezwyciężyć. Że polaryzacja społeczeństwa jest niebezpieczeństwem, dlatego trzeba robić wszystko, aby rozmawiać, i że wykluczanie z rozmowy to najgorsze, co może się zdarzyć. Że nasze relacje przenika agresywna, nietzscheańska wola mocy – chęć zdominowania, zmasakrowania drugiego argumentem. Że szukanie prawdy utożsamia się z narzucaniem jej innym i że w relacji z drugim człowiekiem widzimy za mało szansy na wsparcie wobec „tragedii życia”, a za dużo ryzyka wyzysku i opresji.

Dyskutowaliśmy, jak szukać porozumienia ponad podziałami. Dzisiaj, gdy

atakujesz ideę, jesteś odbierany jako atakujący człowieka. Dlatego trzeba być bardziej czułym. Gdy skupiasz się na intelektualnej racji, a zapominasz o wrażliwości, przestajesz być rozmówcą, a stajesz się wrogiem. Dotyczy to i Petersona, i wielu z nas – krytykując ideę, zapominamy, że ci, dla których jest ona ważna, traktują to jak atak na swoją wrażliwość. Tak zachowują się i konserwatywni katolicy, i liberalni przedstawiciele społeczności LGBT.

Do kolacji zostałem symbolicznie posadzony obok znanego profesora wspierającego PiS. Nie pobiliśmy się, nie dosypaliśmy sobie niczego do herbaty, choć spieraliśmy się mocno o to, czy współczesne społeczeństwa są gotowe na pełną otwartość wobec siebie. Doszliśmy do wniosku, że – jak w każdej sprawie – potrzebny jest balans. Naturalna bliskość „swoich” jest ważna, ale nie można zamknąć się na „innych”, bo to pewna droga do katastrofy.

Czy te myśli mają dziś jakieś znaczenie? Apel o otwartość na inny punkt widzenia wydaje się anachronizmem w czasach, w których każdy – od polityka do twitterowicza – chce wzbudzić jak najwięcej jak najgorszych emocji. A te zapewniają polaryzacja i wybranie z tego, co mówi drugi człowiek, cytatu, który go ośmieszy, bez względu na to, czy to cytat dotyczący prawa do identyfikacji płciowej, czy oporu przed kimś, który zachęca, by nastoletnie dziewczyny przechodziły nieodwracalną operację zmiany płci, na którą mogą być niegotowe i której mogą później żałować.

Spodziewam się, że ten felieton, mimo moich wysiłków, by był zbalansowany, i tak spotka się z hejtem. Może jednak w czasach, w których ten, kto krzyczy głośniej i oburza się bardziej, zawsze wydaje się mieć rację, znajdziemy czas na refleksję, że po drugiej stronie także może być jakaś racja. Jak Lucy Kellaway, która w recenzji ostatniej książki Petersona napisała o jego doświadczeniach z chorobą i uzależnieniem, o tym, że cierpiał więcej niż większość z nas i widział otchłań. I że wyszedł z niej jako zaangażowany, wyrafinowany i cieszący się zasłużonym powodzeniem nauczyciel, który mówi, że powinniśmy być wdzięczni mimo naszych cierpień, bo wdzięczność to antidotum na tę otchłań.

I oczywiście można mówić, że to banał, i można się z tego cynicznie śmiać. Pytanie jednak, czy ten, kto się z tego śmieje, ma inną propozycję. ●

*Marcin Matczak – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

Nominacje.

Literacka Podróż Hestii
literackapodrozhestii.pl

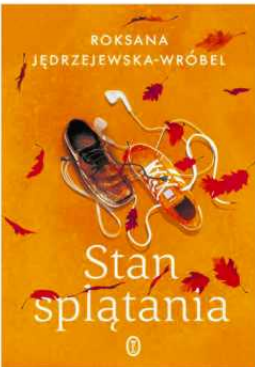
Mecenas

ERGO
HESTIA

Organizatorzy



Sasza Hady
Zefiryna i księga uroków



Roksana Jędrzejewska-Wróbel
Stan splątania



Marcin Przewoźniak
Mama w occie. Zabójcze pierogi



Katarzyna Wasilkowska
Już, już!



Agnieszka Wolny-Hamkało
Po śladach

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



MAMMO, ŚLUBU Z DZIEWCZYNĄ NIE BĘDZIE

Pokazałem zdjęcia osób, za śmierć których odpowiada, i prezydent Duda przestał się uśmiechać

Z **BARTEM STASZEWSKIM***, AKTYWISTĄ RUCHÓW LGBT, ROZMAWIA **MARCIN WÓJCIK**

Siedzimy w kawiarni na Żoliborzu, gdzie mieszka, niedaleko domu Jarosława Kaczyńskiego.

Ludzie się nam przyglądają. Jesteś rozpoznawalny.
– Przez obecność w TVP mogłem się opatrzyć.

Często bywasz w TVP?

– Ja tam nie chodzę. To jednak nie przeszkadza im produkować na mój temat paszkwile. Najwięcej w 2020 r., kiedy wyszła sprawa „stref wolnych od LGBT”. Moi prawnicy właśnie kończą pozew. Telewizja publiczna przedstawiała mnie jako pieniacza, przez którego Polska będzie miała problemy na forum międzynarodowym. Zamówiłem raport medialny, by sprawdzić, w jaki sposób mówiono o mnie w TVP. Tylko we wrześniu 2020 r. były 134 materiały, gdzie o mnie mówili. Aż 89 procent miało wydźwięk negatywny, a 11 neutralny. Nie było ani jednej pozytywnej wzmianki. Do tego żaden z pracowników medialnych TVP nie skontaktował się ze mną, aby przedstawić moją wersję. Do rozpoznawalności przyczyniły się także prawicowe tygodniki: „Do Rzeczy”, „wSieci”, które na okładkę dawały moją twarz. I wypowiedzi polityków, choćby premiera Mateusza Morawieckiego, który powiedział, że jestem odpowiedzialny za prowokację szkalującą Polskę. Po każdym takim materiale zalewały mnie nienawistne wiadomości na Facebooku i Twitterze, przychodziły maile. Pisali, że mnie pobiją czy zabiją. O, takiego maila dostałem:

„Barcie Staszewski, zamorduj cię skurwielu.
Rozjebię ci leśb siekierą.
Wiem gdzie mieszkasz i obserwuję twoją drogę do domu.
Nie będzie zgody na promowanie naszym dzieciom pedałstwa i transowanie ich.

Dlatego rozjebię ci leśb, odbył i zwieracze.
Zamorduję cię brutalnie.
Zostałeś skazany na śmierć.
Wyrok wydano w imieniu Polski Podziemnej”.

Jak to znosiłeś?

– Nie widać? Nie spływało to po mnie jak po kacze. Przytyłem. Zjadałem stres jedzeniem. Chodzę teraz regularnie na siłownię. Poprosiłem policję o ochronę, ale mimo że na początku coś się z tym działo, to w końcu jednak odmówili. A Krystyna Pawłowicz jeździ z ochroniarzami na zakupy.

Akcji wymierzonych we mnie było więcej i wciąż się pojawiają. Tej wiosny, w Wielkanoc, pojechałem do mamy do Lublina. Siedzimy sobie wieczorem w domu, a tu natrętnie ktoś do mnie wydzwaniał. Po którymś razie odebrałem wściekły i słyszę: „Dzień dobry, tu policja”. Okazało się, że ktoś się podszył pod mój numer. I ten ktoś zadzwonił na komendę, przedstawiając się moim nazwiskiem, z informacją, że zabiłem matkę. Powiedziałem, że matka siedzi obok mnie. Policjant był zorientowany, wiedział, że to spoofing, ale powiedział, że i tak musi przysłać patrol. Mówię do mamy: „Mamo, za chwilę będzie tu policja sprawdzić, czy żyjesz”. No i przyjeżdża dwóch roslących policjantów, świecą mi w oczy, sprawdzają, czy ubranie we krwi. Mama do nich: „Panowie sobie usiądą”. Nie minęła godzina, a do innej komendy dzwonię niby-ja z informacją, że podłożyłem gdzieś bombę. Policji nie udało się wykryć, kto mi takie numery robi.

A po kawie z Andrzejem Dudą też miałeś nieprzyjemne wpisy i telefony?

– Nie, wtedy jeszcze było spokojnie.

Jak doszło do spotkania?

– To było podczas jego drugiej kampanii wyborczej. Przyjechał do Lublina. Akurat niedługo po tym, jak powiedział, że LGBT to nie ludzie, ale ideologia. Chciałem mu wykrzyczeć w twarz, że nie jestem ideologią, ale trudno się było przedrzeć przez ochronę. Próbowałem, odpędzali. Prezydent zbliżył się na moje zawołanie: „Panie prezydencie, panie prezydencie, zdjęcie, zdjęcie!”. Myślał, że jestem jego fanem i chcę sobie z nim pstryknąć fotkę. Zapytałem: „Panie prezydencie, dlaczego

pan szczuje na osoby LGBT?”. I czy będzie się miał odwagę spotkać ze mną w Pałacu Prezydenckim. Zobaczyłem, jak przebiegła mu przez głowę myśl, że spotkanie ze mną będzie opłacalne, zwłaszcza po fali krytyki za odczłowieczenie LGBT. Zgodził się. Natychmiast poinformowałem o tym w swoich social mediach, by nie mógł się wycofać.

Po co chciałeś się spotkać?

– Chciałem wykorzystać to spotkanie, aby głośno mówić o tym, co spotyka osoby LGBT pod rządami PiS.

I co się działo po publicznym zaproszeniu czy też wprośzeniu się do prezydenta?

– W Lublinie wziąłem kontakt do człowieka prezydenta i z nim ustalałem termin. Kilka dni później ubrałem garnitur i pojechałem na Krakowskie Przedmieście. Zabrałem ze sobą książkę o różowych trójkątach i zdjęcia młodych osób LGBT, które w ostatnich latach popełniły samobójstwo. Zdjęcia włożyłem do książki, żeby je wyciągnąć i użyć w stosownej chwili. Wszedłem do kancelarii. Odebrali ode mnie wszystkie urządzenia elektroniczne, nawet zegarek, i bardzo dokładnie przeszukali – co, jak się dowiedziałem, nie jest typowe, jeśli ktoś przychodzi do pałacu jako gość. Ale jak widać nie byłem dla nich gościem. Po przeszukaniu czekałem jeszcze z pół godziny, aż zaprowadzili mnie do kolejnej sali, tam już czekał prezydent, kawa, ciastka. Był mocno opalony, uśmiechał się, siedział w kącie. Odsunąłem poślaczane filiżanki, położyłem książkę na złotym stole, wyjąłem zdjęcia, powiedziałem, że nie jesteśmy u cioci na imieninach, że to są osoby LGBT, które nie wytrzymały i popełniły samobójstwo z powodu polskiej homofobii, którą on i cały PiS nakręcają.

I?

– Przestał się uśmiechać. Nie wiedział, co odpowiedzieć, brał kolejne łyki kawy. Kiedy skończyłem mówić, opowiedział historię jakichś jego sąsiadów, którzy byli parą, a nikt o nich nie wiedział, i to jest idealny model. Odpowiedziałem, że my nie chcemy się ukrywać, tylko mieć swoje prawa, żyć pełnią życia. Spoważniał i zaczął coś mówić o tym, że my niby chcemy w Polsce wprowadzić cenzurę. Nie potrafię powtórzyć tego belkotu. Straciłem cierpliwość, bo ga-

dał głupoty na poziomie gorszym niż Czarnek. Powiedziałem na koniec, że osoby LGBT to nie ideologia, ale konkretni ludzie, jak ja. A on noga na nogę: „No to się nie dogadamy, panie Bartoszu”.

I to był koniec spotkania?

– Właściwie tak.

Poczęstowałeś się choć kawą i ciastkiem?

– Coś ty, nie spróbowałem, bo to nie było spotkanie przy kawusi. Postanowiłem też, że nie dam się wciągnąć w familiarne gadki i uśmiechy do zdjęć. Nie podałem mu ręki na pożegnanie, choć on wyciągnął. Aha, i powiedziałem na odchodne, że życzę mu, żeby mu się te wszystkie martwe dzieciaki ze zdjęć przyśniły. Tacy politycy jak Duda odpowiadają za ich przesrane dzieciństwo i dojrzewanie.

Grozili mi śmiercią, policja odmówiła ochrony, a Krystyna Pawłowicz jeździ z ochroną na zakupy

A jakie były twoje dzieciństwo i dojrzewanie?

– Na lekcjach wuefu zrozumiałem, że podobają mi się mężczyźni. Ale nie akceptowałem swojej orientacji. Ukrywałem się. Stałem się religijny, bo potrzebowałem boskiego wsparcia w walce z grzesznymi pragnieniami. Modliłem się, biegałem do kościoła. Zainteresowałem się nawet ruchami nacjonalistycznymi. Kibicowałem ONR, choć nigdy oficjalnie nie należałem do organizacji, bo byłem zbyt nieśmiały, by pójść na spotkanie i działać. Z czasem zacząłem wchodzić na portale randkowe. Korespondowałem z chłopakami, raz nawet się zakochałem przez internet. To właśnie ci znajomi z internetu uświadamiali mnie, że ukrywanie się przed rodziną jest na dłuższą metę szkodliwe.

Wychowywałeś się w Lublinie.

– Głównie w Lublinie, trochę w Szwecji.

X edycja Nagrody imienia Wisławy Szymborskiej
2022

NOMINOWANI ZA KSIĄŻKĘ WYDANĄ W 2021 ROKU
ZUZANNA BARTOSZEK • *Klucz wisi na Słońcu* | WYDAWNICTWO WBPIKAK
JERZY JARNIEWICZ • *Mondo cane* | BIURO LITERACKIE
MAŁGORZATA LEBDA • *Mer de Glace* | WARSTWY
KRZYSZTOF SIWCZYK • *Krematoria I. Krematoria II* | AUSTERIA
DARIUSZ SOŚNICKI • *Po domu* | BIURO LITERACKIE
Ogłoszenie laureata lub laureatki 9 lipca 2022 r.
LAUREAT ZA NAJLEPSZE TŁUMACZENIE NA JĘZYK POLSKI
WOJCIECH CHARCHALIS za przekład wierszy
FERNANDA PESSOI *Heteronimy. Utwory wybrane* | LOKATOR

ORGANIZATOR

DOFINANSOWANIE

WSPÓLFUNDATOR NAGRODY

PARTNER STRATEGICZNY

PARTNERZY MEDIALNI

PARTNERZY

Co robiłeś w Szwecji?

– Wkurzyłem się na mamę i pojechałem do ojca, rodzice są po rozwodzie. Nie pamiętam już nawet, o co mi chodziło, chyba byłem dojrzewającym dzieciakiem, który się buntował, potrzebował też ojca. Więc na fali tego młodzieńczego buntu wyjechałem pomieszkać z ojcem, poszedłem na kursy przygotowawcze, żeby móc wejść do szwedzkiego systemu edukacji. Ojciec miał dziwny dom. Ciągłe ktoś u niego nocował, pomagał Polakom, którzy przyjeżdżali za chlebem. Też ciężko pracował, na budowach. Próbował sprowadzać do Polski podpaski i lalki – takie z wielkimi zamykanymi oczami. Biznes upadł, bo ojciec nie miał głowy do tabelk.

Nakręciłeś film dokumentalny o ojcu.

– „Tableciarze”. O lekomanach. W roli głównej mój ojciec. Miał wypadek samochodowy, brał leki przeciwbólowe i się uzależnił. Nagrywałem go, kiedy dostawał amoku, biegał po domu i kazał mi wypierdalać. Po jednej takiej akcji, po półtora roku, spakowałem się i wróciłem do mamy.

Kiedy jej powiedziałaś, kim jesteś?

– Dopiero przed osiemnastką nabrałem odwagi. Pomyślałem: Skoro matki potrafią wysyłać synom paczki do więzień, to w czym jestem gorszy, co takiego zrobiłem, żeby miała mnie odrzucić. Albo mnie zaakceptuje, albo wyprowadzę się pod most. Dosłownie tak myślałem, most był alternatywą. Jako introwertyk nie miałem przyjaciół, do których mógłbym się wyprowadzić. Powiedziałem jej na raty. Oglądaliśmy wspólnie program Ewy Drzyzgi „Rozmowy w toku”. Było o gejowskim coming outcie. Mówię mamie: „A co by było, gdybym miał jak ten pan w programie?”. Mama na to całkiem obojętnie. „Co ty gadasz, co ty gadasz”. Jakiś czas później odbyła się już poważna, pełna rozmowa. Zacząłem tak: „Mamo, wiesz, że pieniądze, które odkładasz na mój ślub, to na pewno nie będzie ślub z dziewczyną”. Po trudnej, szczerzej rozmowie mama po konsultacji z infolinią Lambdy umówiła mnie na rozmowę z terapeutą, który pomógł mi poukładać sobie te kwestie. Chciała, żebym mógł się wygadać. Bała się, że lata blokady mogły na mnie źle wpłynąć.

Co się stało z pieniędzmi, które zbierała na twój ślub?

– Nadal zbiera. Na ślub z chłopakiem.

A tata jak się dowiedział?

– Miał do mnie pretensje, że to nie on, ale matka dowiedziała się pierwsza. No to mu przypomniałem, jak powiedział kiedyś, że gejów powinno się wieszać za zebro na latarni. Tłumaczył, że to nie było poważne, a na pewno nie dotyczyło rodziny. Przeprosił mnie.

Cieszę się, że mam takich rodziców. Mama mogła mnie przecież odesłać do terapeuty, który „leczy z homo”, tata nadal uważać, że gejów trzeba wieszać. Gros dzieciaków ma takich rodziców. Mnie zaakceptowała nawet babcia. Uśmiechnęła i przykazała, że mam być szczęśliwy.

Mój wujek z żoną byli mocno za PiS, oglądali TVP Info. Podczas każdych świąt pytali, czy znalazłem sobie dziewczynę i jak mi się podoba w Warszawie. Pytali również wtedy, kiedy było już o mnie głośno i na pewno wiedzieli, że jestem gejem. W końcu im powiedziałem, że nie mam dziewczyny, tylko chłopaka. Nie wyglądali na zszokowanych, a potem nie było tematu. Zmarli niedawno. Golilem wujka w szpitalu. Mama do niego: „Widzisz, tak narzekałeś na pedałów, a pedał cię teraz goli”.

Co robiłeś po maturze?

– Studiowałem prawo na uniwersytecie w Lublinie. Po roku zrezygnowałem i wyjechałem do Warszawy. Bo zakochałem się w chłopaku ze stolicy i dostałem się na filologię szwedzką. Związek był toksyczny i musiałem go zakończyć, a filologii nie

skończyłem. Marzyła mi się reżyseria na łódzkiej Filmówce. Doszedłem nawet do etapu rozmowy z komisją egzaminacyjną, ale okazało się, że za mało wiem o historii filmu, i się nie udało. Poszedłem wtedy do pracy w korporacji. Potrzebowali kogoś, kto mówi po szwedzku. A Filmówkę już sobie odpuściłem.

Mateusz Morawiecki
powiedział,
że skałują Polskę.
I zalewały mnie nienawistne
wiadomości

Wyreżyserowałeś dokument „Artykuł osiemnasty”. Przypomnij, czego dotyczy.

– Nieudanych prób wprowadzenia w Polsce związków partnerskich. Oparty jest na rozmowach. Na przykład profesor Ewa Łętowska mówi, że w artykule 18 konstytucji nie ma ani słowa o tym, że małżeństwo musi być zawarte między osobami dwóch różnych płci. A Agnieszka Graff słusznie zauważyła, że w zamian za głosy polska klasa polityczna sprzedała Kościołowi część wolności, którą uzyskaliśmy po 1989 r. Sprzedała ją również lewica, premier Leszek Miller, bo potrzebował poparcia Kościoła, by Polska mogła wejść do Unii Europejskiej. A wtedy niewiele brakowało do wprowadzenia związków partnerskich, projekt ustawy przygotowała senator Maria Szydzkowska. Niestety, umarł Jan Paweł II i projekt pogrzebano wraz z papieżem. Politycy uznali, że to nie jest czas, aby wprowadzać tak odważne rozwiązanie, kiedy kraj cierpi po śmierci papieża Polaka. Już wiele razy mówiłem, że politycy dzisiejszej opozycji nie byli – łagodnie to ujmując – naszymi sojusznikami. Bronisław Komorowski przypominał co rusz, że nie zgodzi się na związki partnerskie, i chyba mu to zostało, bo ostatnio znowu coś takiego bredził. Donald Tusk tylko czarował środowisko LGBT, a realnie nic nie zrobił w naszej sprawie.

A teraz jest jakaś siła polityczna, która mogłaby wprowadzić związki partnerskie?

– Trudno powiedzieć. Za chwilę może znowu uznają, że potrzebują poparcia Kościoła, by pokonać PiS. Trudno mi wskazać na partię. Bardziej wierzę osobom. Ale przede wszystkim my nie walczymy o związki partnerskie, ale o równość małżeńską. Nie o proteżę równości, ale o równe prawa, takie same prawa, jak mają osoby hetero. A do tego jest jeszcze wiele innych bardzo ważnych postulatów, jak kwestie dotyczące tranzytacji dla osób transpłciowych czy zwalczanie przestępstw z nienawiści na tle orientacji seksualnej, tożsamości płciowej.

Jesteś w związku?

– Tak, już dziesięcioletnim. Sławka poznałem w stowarzyszeniu Miłość Nie Wyklucza. Ja robiłem tam zdjęcia, on przygotowywał w dziale prawnym ustawę o związkach partnerskich. Ignorował mnie, nie zwracał uwagi, co mnie jeszcze bardziej nakręcało, aby go zdobyć, i tak go omotałem, że nie wypuszczam do dziś. Wreszcie kupujemy wspólne mieszkanie, bo do tej pory mieszkaliśmy w jego kawalerce. Kupujemy na obrzeżach, bo na centrum nas nie stać. Mama powiedziała, że już kupiła nam dwie kołdry – letnią i zimową. To choro, ale musimy się teraz mocno nagimnastykować, aby prawnie wszystko było bez zarzutów, bo wobec polskiego prawa jesteśmy dla siebie zupełnie obcymi osobami. Więc choćby wspólny zakup mebli do kuchni może się skończyć podatkiem od darowizny. Choćby w tym przypadku wychodzi, jak nierówno traktowane są związki nieheteronormatywne. Tylko dlatego,

że na ich formalne istnienie nie zgadzają się Kościół i politycy. Jedni i drudzy obłudni, bo sami nie żyją przykładowie, jak każe dekalog. Do tego ta pogarda wobec inaczej myślących.

Kaja Godek, działaczka pro-life, tobą gardzi.

– Tak, powiedziała na Marszu Równości w Lublinie, że nie będzie ze mną rozmawiała, bo jestem obrzydliwy i wykorzystuję seksualnie dzieci. Wykrzyczała mi to w twarz, z taką wściekłością, że sam byłem w szoku. Wściekłość zalała jej oczy i nie uważała, że nagrywam. Dostała czas na przeproszenie mnie na Facebooku. Nie przeprosiła. Złożyłem prywatny akt oskarżenia o zniesławienie. A teraz przed każdą rozprawą sądową przysyła usprawiedliwienie. Jest w ciąży i nie może brać udziału w rozprawach, choć już zapowiedziała, że nie zamierza rezygnować z konferencji czy wywiadów. Nie odpuszczę jej tej wypowiedzi.

Pozwały cię gminy, w których powiesiłeś tabliczki: „Strefa wolna od LGBT”.

– Gminy przyjęły uchwały, że są wolne od ideologii LGBT. A teraz uważają, że strefy to mój wymysł, i stracili przeze mnie pieniądze z Unii. Trzy gminy mnie pozwały: Tuszów Narodowy, Niebylec, Zakrzówek. Niebylec już jest nieaktualny, bo sąd oddalił powództwo.

Kto to wymyślił?

– Co?

Żeby być wolnym terytorialnie od ideologii LGBT.

– Ojcem chrzestnym jest dzisiejszy minister edukacji, a wtedy wojewoda Przemysław Czarnek: zaangażowany katolik, na YouTube czyta z żoną Biblię. A biologicznym ojcem jest profesor Mieczysław Ryba z KUL. Swoje dorzuciła Elżbieta Kruk. To w gabinecie wojewody Czarnka knuto przeciwko nam, spotykali się tam propagatorzy tych nieludzkich idei.

Jak wpadłeś na pomysł tabliczek?

– Przez wiele lat pracowałem jako filmowiec i fotograf. Wiem, że jedno mocne zdjęcie znaczy więcej niż tysiąc słów. Potrzebne więc było zwizualizowanie tekstu tych uchwał. Jakaś inspiracją były złote wojskowe tabliczki ostrzegające: „Teren wojskowy. Wstęp wzbroniony”. Skoro gminy ogłosiły się strefami wolnymi, to trzeba je odpowiednio oznaczyć. I tak zrodziła się idea mojego znaku, a potem uznałem, aby na zdjęciach były też osoby LGBT, które pochodzą z tych gmin, powiatów. Po tym jak opublikowałem zdjęcia, informacja o haniebnych uchwałach jeszcze bardziej rozeszła się po świecie. Media z całego świata zaczęły o tym pisać i przyjeżdżać robić relacje z Polski. Dało to nam unikalną możliwość, aby mówić o tym na międzynarodowym forum.

Siedzę z matką,
dzwoni policja i mówi,
że matkę zabiłem.
Przysłali patrol,
by sprawdzić, czy żyje

Amerykański magazyn „Time” w 2021 r. umieścił cię na liście 100 najbardziej rokujących ludzi świata, którzy kształtują przyszłość.

– A w uzasadnieniu podkreślili, że o strefach powiedziała w swoim pierwszym przemówieniu nowa przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen; że Europa nie może być podzielona na strefy dyskryminujące ludzi ze względu na orien-

tację ani jakiegokolwiek inne powody. W Polsce jestem na froncie, pomiatą się mną, ciąga się mnie po sądach, zaś na świecie czuję wsparcie.

Byłeś na początku czerwca na spotkaniu młodych liderów w Danii.

– Spotkaniu europejskich liderów Fundacji Baracka Obamy. Przez pięć dni były warsztaty, a na koniec rozmowy z Obamą. Tego dnia był do naszej dyspozycji, każdy z nas miał możliwość porozmawiania z nim w swobodnej atmosferze. Przekazałem mu wojskową naszywkę z wizerunkiem jednożłca, którą noszą żołnierze i żołnierki LGBT+ w Ukrainie, oraz ukraińską flagę. Zostały przywiezione do Warszawy z frontu, abym mógł je przekazać Obamie.

O czym jeszcze rozmawiałeś z Obamą?

– Jedną z zasad fundacji jest reguła Chatham House, więc nie mogę mówić, co powiedział prezydent. Mogę zaznaczyć, że utwierdził mnie w przekonaniu, że walczę w słusznej sprawie i muszę słuchać swojej intuicji. A skoro znaleźliśmy się w tym miejscu, zostaliśmy wybrani jako młodzi liderzy Europy, to znaczy, że mamy dobrą intuicję.

Co teraz?

– Założyłem fundację Basta. Będziemy m.in. monitorować mowę nienawiści i homofobię w mediach. Nie można wobec agresji przejść obojętnie, bo z obojętności rodziło się na świecie dużo zła. Wylapywanie nienawiści w TVP, Polskim Radiu, „Gazecie Polskiej” i im podobnym to krok na przód. Nie byłoby to możliwe bez wsparcia moich patronów i patronek z Patronite.

Wymień jeden moment w twoim życiu, który sprawił, że postanowiłeś walczyć.

– Takim momentem formującym był dla mnie I Marsz Równości w Lublinie. Na własne oczy doświadczyłem, jak wygląda walka o prawa obywatelskie, po tym jak prezydent Lublina zakazał nam marszu. Nie ustąpiliśmy, poszliśmy do sądu. Dostaliśmy duże wsparcie, prawnicy pro bono, organizacje z Warszawy i Adam Bodnar, który jako rzecznik praw obywatelskich włączył się w sprawę i nawet przyjechał na rozprawę, bo rozumiał powagę sytuacji. Że nie chodzi tylko o LGBT, ale w ogóle o wolność zgromadzeń. Pamiętam, że nie mieliśmy się na sali sądowej z powodu zainteresowania mediów i osób, które przyjechały do sądu okazać nam wsparcie. Później już Marsz Równości i agresywny tłum, który ruszył na nas i obrzucał nas kamieniami, a jego zapal powstrzymywały armatki wodne policji. Lata mijają, a ja wciąż mam w głowie obraz z tamtej chwili, kiedy przechodzimy dumnie przez centrum naszego rodzinnego miasta – jako aspirujący do pełnych praw obywatele, z podniesionymi głowami. ●

*Bart Staszewski

• ur. 1990 w Malmö, działacz społeczny, aktywista LGBT. Współzałożyciel stowarzyszeń Marsz Równości w Lublinie oraz Miłość Nie Wyklucza, twórca filmu dokumentalnego „Artykuł osiemnasty”. W 2020 r. wybrany przez Obama Foundation do udziału w programie „Liderzy: Europa 2020” jako jeden z 35 wschodzących liderów działających w sektorze publicznym. W tym samym roku umieszczony przez magazyn „Bloomberg Businessweek” na liście „Ones to Watch” 2020, a w 2021 r. jego nazwisko znalazło się na liście „Time’a” stu najbardziej wpływowych ludzi kształtujących przyszłość

Piosenka dla praw wyborczych obywateli Ukrainy

Jeśli nie będą mogli pójść do wyborów, to będą z nami żyli i mieszkali, ale zostaną postawieni w sytuacji milczenia.

Adam Bodnar*



Kilka dni temu miałem przyjemność zobaczyć przedstawienie w przedszkolu mojego syna. Jeden z przedszkolaków był zachęcany do powiedzenia wierszyka. Ale się wstydził i krępował. Ożywił się dopiero wtedy, gdy wszyscy jego koledzy i koleżanki wspólnie odśpiewali piosenkę w języku ukraińskim. Panie z przedszkola były dumne. A mamie chłopca – uchodźczyni z Ukrainy – polały się łzy.

Polska się zmieniła w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Niebywały wysiłek społeczeństwa obywatelskiego doprowadził do ugoszczenia setek tysięcy uchodźców z Ukrainy. Specustawa uchodźcza pozwoliła na normalne korzystanie, na równych zasadach, z prawa do edukacji, ochrony zdrowia czy pomocy społecznej. Polskie społeczeństwo coraz bardziej zrasta się ze społecznością ukraińskich migrantów i uchodźców, co widzimy w autobusach, teatrach, kinach, szkołach, a także w przedszkolach. Warto postawić kropkę nad „i”.

Zbliżają się wybory samorządowe. Pod koniec 2023 r. obywatele polscy pójda do urn, aby wybrać swoich przedstawicieli do rad gmin, miast, powiatów oraz sejmików województw. Będą także wybierali wójtów, burmistrzów i prezydentów. W wyborach tych oprócz obywateli RP mogą uczestniczyć także obywatele Unii Europejskiej zamieszkujący stale Polskę, czyli obywatele innych państw członkowskich UE. Jednakże ich udział w wyborach jest ograniczony tylko do rad gmin i miast – mogą zarówno wybierać swoich przedstawicieli, jak i być wybieranymi.

Tymczasem w Polsce mieszka już co najmniej 1,5-2 mln uchodźców

z Ukrainy. Do tego należy doliczyć co najmniej 1 mln migrantów, którzy mieszkali już wcześniej. Postulat przyznania praw wyborczych na poziomie lokalnym pojawiał się już przy okazji poprzednich wyborów samorządowych. Pamiętam, jak uczestniczyłem w debacie na ten temat zorganizowanej przez Myroslawę Keryk w Domu Ukraińskim. Jednak wtedy ten pomysł nie padł na podatny grunt.

Teraz wszystko się zmieniło. Obywatele Ukrainy uczestniczą w życiu społeczności lokalnej, pracują, płacą podatki, wychowują dzieci. Nie ma powodu, by nie mieliby mieć wpływu na wybór władz lokalnych. Powinno być naturalne, aby mieli także w lokalnych radach swoich przedstawicieli. Faktycznie ich status w żaden sposób się nie różni od statusu Włocha prowadzącego lokalną pizzerię na południu Polski czy Holendra uprawiającego ziemię na Kujawach. Pod względem prawnym różni się diametralnie.

Konstytucja nie stoi na przeszkodzie przyznania praw wyborczych na poziomie lokalnym obywatelom innych państw. Już kilkanaście lat temu Trybunał Konstytucyjny przesądził, że art. 62 konstytucji, mówiący o prawach wyborczych dla obywateli polskich, nie wyklucza przyznania takich praw innym osobom. Decydujący powinien być status stałego zamieszkania, bo jednostka samorządu terytorialnego to wspólnota wszystkich mieszkańców, niezależnie od ich obywatelstwa.

Przy okazji dokonywania tych zmian można się także zastanowić nad poszerzeniem praw wyborczych na szczeblu lokalnym. Obecnie obywatele UE nie mogą głosować w wyborach do rad powiatu oraz sejmiku województwa. Trudno znaleźć racjonalny powód. Podobnie obywatele UE nie mogą być kandydatami na wójta, burmistrza i prezydenta. Państwa członkowskie UE są zobowiązane tylko do zapewnienia praw wyborczych na najniższym szczeblu samorządowym. W pozostałym zakresie wyborów lokalnych mają swobodę decyzyjną. W 2020 r. burmistrzem rumuńskiej Timișoary został Dominic Fritz, który jest obywatelem Niemiec. Przez wiele lat był związany z tym miastem oraz działał w ruchach obywatelskich. Na stałe zamieszkał w Timișoarze kilka

lat przed wyborami. Obywatelstwa niemieckiego nie zamienił na rumuńskie.

Dyskutowany jest pomysł przesunięcia wyborów samorządowych na 2024 r. Osobiście jestem temu przeciwny, z przywiązania do matematyki: 2018 + 5 to dla mnie 2023, a nie 2024. Nie widzę rzeczywistych powodów, aby to zmieniać. Znacznie ważniejsze jest upodmiotowienie 2,5-3 mln naszych współmieszkańców, obywateli Ukrainy, poprzez uznanie ich za pełnoprawnych wyborców na szczeblu lokalnym.

Aktualny pozostaje także apel mój i Jacka Żakowskiego, aby obywatele Ukrainy „przyjąć” do Unii Europejskiej, zanim Ukraina stanie się państwem członkowskim. Uważamy, że powinniśmy dążyć do przyznania statusu obywatelstwa UE wszystkim obywatelom Ukrainy. Ale w tym przypadku decydować muszą wszystkie państwa członkowskie. W przypadku praw wyborczych na szczeblu lokalnym decyzyję podejmujemy wyłącznie my.

W niedawnym raporcie Unii Metropolii Polskich o uchodźcach z Ukrainy w największych polskich miastach „Miejska gościnność. Wielki wzrost, wyzwania i szanse” wskazuje się, że te miasta zamieszkuje od 15 proc. do nawet 50 proc. obywateli Ukrainy. Jeśli nie będą oni mogli pójść do wyborów, to będą jak ten przedszkolak na przedstawieniu. Niby będą z nami żyli i mieszkali, ale zostaną postawieni w sytuacji milczenia – decyzje o ich prawach i obowiązkach na szczeblu lokalnym będziemy podejmowali za nich. A powinniśmy razem z nimi w czasie wyborów samorządowych wspólnie zaśpiewać piosenkę.

*Adam Bodnar, dr hab., prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji (wrzesień 2015 – lipiec 2021), autor książki „Nigdy nie odpuszczę” (Wydawnictwo Agora, 2022)



Katolicki nie znaczy powszechny

Lojaliści i progresywiści nigdy się nie dogadają.

Magdalena Czyż

W zeszłym tygodniu skończyłam czytać długo odkładaną książkę. Świetny, a momentami rewelacyjny reportaż Joanny Gierak-Onoszko „27 śmierci Toby’ego Obeda”. Autorka opisuje koszmar z elementami piekła, jakie zafundowali wychowankom szkół z internatem w Kanadzie przedstawiciele Kościoła. Nie tylko katolickiego.

Wychowankami były siłą odbierane dzieci rdzennych mieszkańców. Piszę „szkół” w cudzysłowie, ponieważ niczego tam nie uczono. Księża i siostry zakonne nie mieli kompetencji nauczycielskich, za to mieli wybitne kompetencje sadystyczne i pedofilskie. Gwałty, rażenie prądem i setki innych wymyślnych tortur były na porządku dziennym. Dziś Kanada ze łzami w oczach premiera Justina Trudeau błaga rdzennych mieszkańców o wybaczenie.

Gdy zamknęłam okładki tej książki, pomyślałam: „Bogu dzięki, że w Polsce właściwie nie było katolickich szkół z internatem”. Rządy komunistyczne odebrały Kościołowi prawo prowadzenia szkół i tym samym uratowały zdrowie, a pewnie i życie wielu dzieciom. Paradoksalnie te same komunistyczne rządy ocaliły też „cztery litery” Kościołowi w Polsce, bo nikt chyba nie ma wątpliwości, że gdyby polskie zakonnice i księża prowadzili takie szkoły, to skompromitowaliby Kościół tak samo jak zakonnice z Kanady.

Tymczasem okazuje się, że szkoły z internatem wcale nie są potrzebne. W DPS-ach, a konkretnie w DPS-ie w Jordanowie, też się świetnie wszelkiej maści zboczeńcy w habitach odnajdują.

Zajrzałam natychmiast do prasy katolickiej, żeby znaleźć dokładnie to, czego się spodziewałam, czyli nic. Suchy komunikat w KAI i „Gościu Niedzielnym”, oświadczenie przełożonej zakonu prezentek. I tyle. „Niedziela” nawet na to się nie zdobyła. Gdy w jej wyszukiwarce wklepuję „DPS Jordanów”, pojawia się wielkie nic. O „Gazecie Polskiej” szkoda gadać.

Oczywiście można się oburzać na tę ciszę w tych redakcjach. Na brak choćby elementarnej skruchy. Jednak mnie co innego zastanawia, gdy po raz kolejny wychodzą na jaw aberracje ludzi w sutannach i habitach.

Członków Kościoła, jak każdej innej wspólnoty, dzieli inaczej pojmowana i wyrażana definicja lojalności w stosunku do tejże wspólnoty. Dla części konserwatywnej Kościoła lojalność to niewywlekanie brudów na zewnątrz i zmiatanie śmieci pod dywan. Czego przykładem jest nieszczęsna kuratorka Barbara Nowak, która z wrodzoną sobie delikatnością wlaźła już na katolicki szaniec. Dla części progresywnej lojalność zasadza się na krytyce. Konstrukttywnej, ale niestety permanentnej.

Upraszczam oczywiście i schematyzuję, bo jedna i druga lojalność jest stopniowalna i podlega różnym wpływom. Niemniej gdy spojrzy się na te dwa podejścia do swojej Wspólnoty, widzi się wyraźnie, że spotkanie przedstawicieli tych dwóch definicji jest w zasadzie wykluczone. Nie ma szansy, aby te dwa sposoby myślenia zaczęły się uzupełniać dla dobra wspólnego, bo one się wykluczają. Pozostaje się z tym pogodzić, zwłaszcza że przy zachowaniu proporcji jedna i druga definicja posiada „plusy dodatnie”. ●

W PONIEDZIAŁEK I WTOREK W „WYBORCZEJ” DODATKI SPECJALNE

Letni atlas ptaków

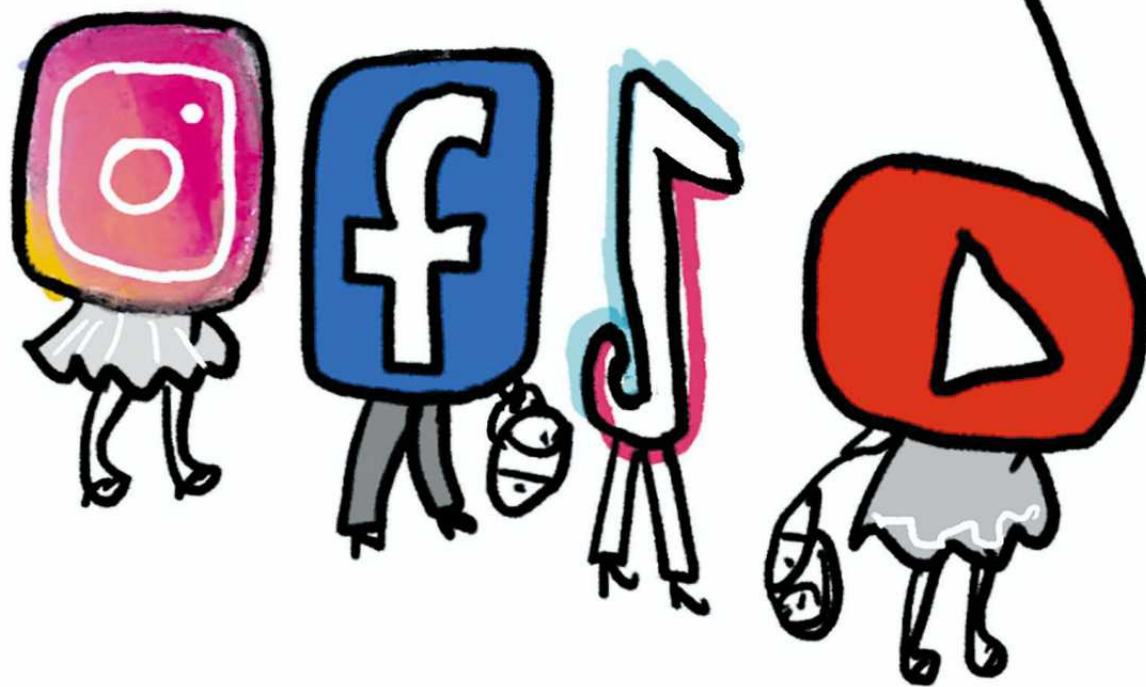
- szczegółowe opisy gatunków
- zwyczaje
- ciekawostki



KLASÓWKA Z FEJMU I HAJSU

**Półowa dziewczynek w wieku
10-15 lat chciałaby zostać
instagramerką lub tiktokerką.
Jest się czym martwić?**

TEKST **AGNIESZKA JUCEWICZ**
ILUSTRACJE **PATRYK SROCYŃSKI**



Szkoła w dużym mieście, podsumowanie w ostatnich klasach. Dyrektor: „Proszę państwa, jest gorzej, niż było”. Wymienia: brak szacunku dla nauczycieli, w ogóle dla reguł życia społecznego, wulgaryzmy, agresja. Wszechobecne telefony, nawet w toalecie.

Pocieszenie? „Tak jest nie tylko w naszej szkole”.

Diagnoza? „Nauczanie zdalne nie przysłużyło się uczniom”, poza tym – „za dużo internetu”, „za dużo złych wzorców”.

Co konkretnie oglądają uczniowie? Dlaczego wydaje się im to tak atrakcyjne? O to specjalnie nikt nie pyta. Grono pedagogiczne jest bezradne. Kary nic nie dają, kamery nic nie dają. „Może państwo mają jakieś pomysły?”, pyta dyrektor. Część rodziców jest zaskoczona: „To na pewno nie moje dziecko”, „Coś tam ogląda, ale bez przesady”, „A kto dziś nie ogląda?”. Odważniejsi proponują: „A może więcej kar?”, „Więcej kamer!”, „Najważniejsze są konsekwencje!”. Głos, żeby zaprosić do dialogu samorząd uczniowski, zostaje doceniony, ale niespecjalnie coś z tego wynika. Wszyscy rozchodzą się w poczuciu zadumy. Ale słychać też odgłosy spuszcanych właśnie szlabanów – na telefon, komputer, internet. „Może się wreszcie gówniarz ogarnie” – puentuje jeden z ojców.

Gdyby w tym zebraniu uczestniczyła psycholożka Agnieszka Stein, powiedziałaaby: „Może warto zamiast paniki lub złości uruchomić ciekawość? Poznać nie tylko świat internetu, ale w ogóle młodych ludzi? Łatwiej się skupić na tym, jakie to dzieci są »straszne«, czy jaki internet jest straszny, niż na tym, co my, dorośli, moglibyśmy zrobić inaczej”.

Ewa Dziemidowicz, terapeutka z fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, pewnie dodałaby: „Kary sprawiają, że dzieci schodzą do podziemia”.

POŁOWA DO SIECI

*Zaebyście, robię siano, robię biznes, zaebyście
Zaebyście, chore stawki, chore wizje, mam precyzję
Zaebyście, to nie żarty, to nie bajki, to nie Disney
Zaebyście, parę planów jeszcze jest na mojej liście*
Z zeszłorocznych badań przeprowadzonych na zlecenie organizacji Inspiring Girls Polska wynika, że prawie połowa dziewczynek w wieku 10-15 lat chciałaby zostać w przyszłości youtuberką, instagra-

merką lub tiktokerką. Co ciekawe, wybór ten popiera 12 proc. matek, choć 26 proc. z nich wolaloby, żeby ich córki zostały graficzkami komputerowymi albo projektantkami stron WWW. 12 proc. widzi się w przyszłości jako zawodowe gamerki albo e-sportowczynie, czyli w sumie 60 proc. chciałoby robić karierę w internecie. 58 proc. myśli o studiach wyższych (39 proc. nie wie, czy warto). Analogicznych badań na chłopcach niestety nie mamy. Za to te przeprowadzone na zlecenie firmy Lego w USA i Wielkiej Brytanii dają podobny obraz. Co trzecie amerykańskie i brytyjskie dziecko w wieku lat 8-12 chciałoby zostać youtuberem/vlogerem, youtuberką/vlogerką.

Można nad tymi wynikami ubolewać, ale można też zapytać: co się kryje pod tymi marzeniami? Dlaczego influencerzy tak fascynują dzieci i nastolatków? Co to za świat? Kto jest na niego podatny?

I czy rzeczywiście jest się czym martwić?

WIEDZA I HAJS

Zaczynaliśmy od zera, dziś robimy melanz

W chacie Justina Biebera

Kto by pomyślał, życie tak szybko się zmienia

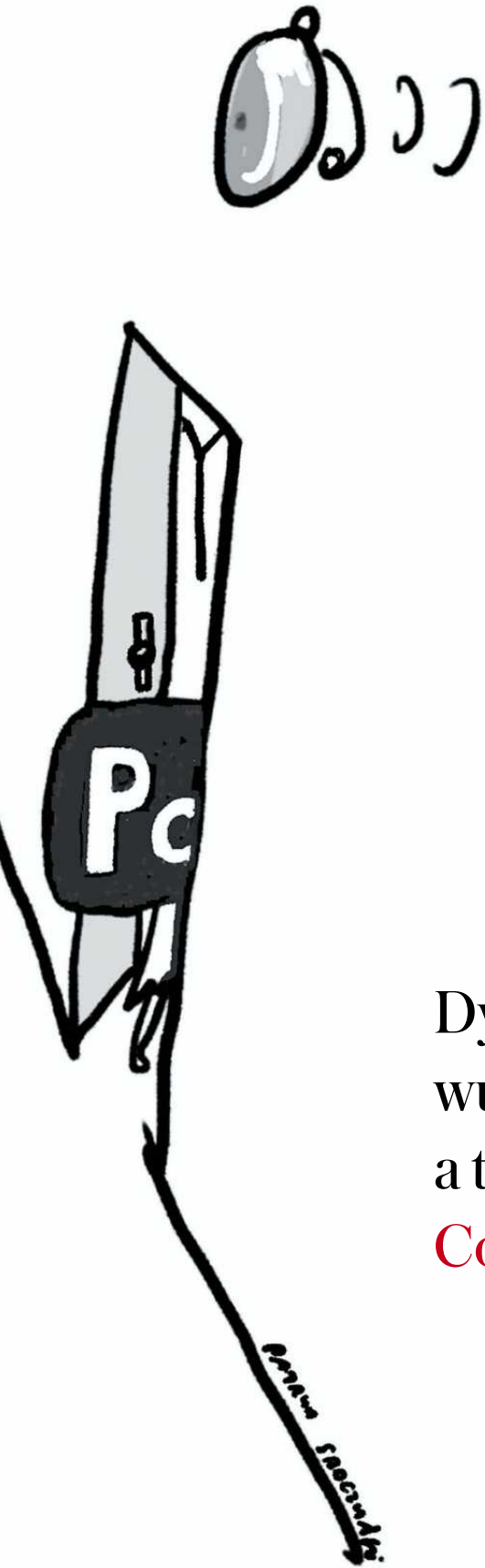
Sezon trzeci się zamyka, za to czwarty się otwiera

Cała ekipa leci za ocean, to dzieje się tu i teraz

Oczywiście ten świat nie jest jednorodny. Jest w nim miejsce dla Hani Sywuli (w sieci znana jako Hania Es), studentki psychologii, która podobnie jak Angelika Friedrich z „Nastoletniego Azylu” szerzy wiedzę na temat zdrowia psychicznego. Jest w nim Martyna Kaczmarek, która opowiada o ciele, siostrzeństwie i równouprawnieniu – w związku i w przyszłej pracy. Jest Kasia Gandor – biotechnolożka, popularyzatorka wiedzy na temat środowiska, zdrowia i technologii (zdobywczyni nagrody głównej na tegorocznym wydarzeniu Infulencers Live Wrocław). 15-let-

nia Maja Sołtysik, autorka bloga „Maja czyta”, pięknie pisze o książkach i dzieli się swoimi rysunkami, a 16-letnia Kira Sukhoboiczenko, aktywistka, założycielka Międzynarodowego Ruchu Latających Plecaczków, zwraca uwagę, jak ważny jest głos uczniów w szkole. Kopalnią wiedzy na temat społecznie zaangażowanych treści tworzonych przez nastolatków jest platforma „Zwolnieni z teorii”. Na TikToku produkuje się paru fajnych stand-uperów, jak ZetKacper, który stworzył postać nauczycielki Pani Bożenki i odgrywa parodie typowych szkolnych scenek.

Jednak oczekiwanie dorosłych, że treści edukacyjne, inteligentne, rozwojowe zdobędą taką samą popularność wśród młodych jak czysto rozrywkowe, jest nie tyle oderwane od rzeczywistości, co niesprawiedliwe. Bo ilu z nas ogląda tylko refleksyjne filmy i serie? Śledzi konta osób twórczych? Wyłącznie opiniotwórcze portale? Czy to dziwne, że wśród youtuberów i influencerów, którzy najbardziej przyciągają dzieci i nastolatków, nadrzędnymi wartościami są „fejm” – sława, „hajs” – pieniądze oraz „fun” – dobra zabawa? Kto stworzył rzeczywistość, w której liczy się głównie sukces rozumiany jako mariaż atrakcyjnej „marki osobistej” z odpowiednio atrakcyjnym stanem konta? Kto zbudował modele biznesowe opierające się głównie na liczbie followersów, lajków i klików? Kto wykreował na półbogów i półboginie celebrytki i celebrytów, którzy niespecjalnie mają talent, za to chętnie dzielą się najintymniejszymi szczegółami z życia? Przecież kiedy w Polsce pojawił się pierwszy odcinek „Big Brother’a”, dzisiejszych nastolatków nie było na świecie. Kto w końcu zgodził się na to, żeby najbardziej widoczni stali się ci, którzy krzyczą najgłośniej i nieustannie „kręcą dymy”? Wzorców nie trzeba szukać w internecie. Wystarczy posłuchać debat sejmowych.



od „Minecrafta”. Karol „Friz” Wiśniewski (4,58 mln subskrybentów) – od „Pokemon Go”. Gracze zawsze mieli najbardziej rozbudowane społeczności fanów, najszybciej budowali zasięgi i docierali do coraz szerszej publiczności. Z czasem na ich kanałach zaczęły się pojawiać nagrania z codziennych wydarzeń, tzw. daily, filmiki z „prankami”, czyli z (czasami niebezpiecznymi) żartami, oraz „czelendże”, czyli wyzwania. Popularnym formatem są „24 godziny” – doba spędzona na rolkach, w basenie, na jedzeniu potraw jednego koloru czy w jednych kajdanach z kolegą. Z kolei najpopularniejsze influencerki zaczynały głównie od tematyki lifestyle’owej i urodowej, tak jak topowa dziś Wersow – 2,25 mln subskrypcji.

Dziś pod własną marką sprzedają nie tylko treści, ale także ubrania, kosmetyki, biżuterię, gadżety. Wydają książki i prowadzą kursy, z których można się dowiedzieć, jak zostać najlepszym influencerem albo influencerką. Mają agentów, asystentów, operatorów, montażystów, kierowników planu, prawników, a nawet psychologów. Są pełnoetatowymi biznesmenami i biznesmenkami. Ich status materialny (większość ma od kilkunastu do dwudziestu kilku lat) imponuje szczególnie młodszym nastolatkom, którzy mają poczucie, że taka kariera znajduje się w zasięgu ich ręki.

Zdarza się, że influencerzy łączą się w grupy. W 2018 roku Karol „Friz” Wiśniewski stworzył Ekipę Friza. Rok później „Stuu” założył Team X. Format sprawdzony na Zachodzie – grupa influencerów wprowadza się do jednego domu (w przypadku Ekipy – willa pod Krakowem, w przypadku Team X – dom pod Warszawą), gdzie nagrywa codzienne wydarzenia, realizuje wyzwania oraz zdaje relacje z zagranicznych podróży i imprez. A także tworzy wspólną muzykę, choć złośliwi wolą nazywać te utwory „wyrobami muzycznopodobnymi”.

Wielu chce powtórzyć ten sukces, a to oznacza więcej niebezpiecznych „czelendżów”, więcej kontrowersyjnych treści, więcej imprez i „dram”. Ma się dziać! Bo nuda to koniec kariery w tej branży – mniej „łapek w górę”, mniej subskrypcji, a w końcu – wirtualny niebyt.

Dyrektor na zebraniu z rodzicami: wulgaryzmy, agresja, a telefony nawet w toalecie. Co oglądają na nich uczniowie?

POTRZEBA BYCIA WIDZIANYM

*Średnio pływam, za to na plaży chcę często bywać
Daj mi drinka, to żaden problem, chyba
Kłopoty – zmiotę pod dywan je
Życie to tylko chwila, zobacz, jak szybko mija
Moje marzenia to osma bila, pokażę ci, jak się ją wbija*

Czy takie autorytety to powód do niepokoju?

Stein: – Kłopot w tym, że dzieciom to się nie wydaje głupie. I że my, dorośli, zbyt często do oceny tego, co robią, używamy kategorii, które nie uwzględniają ich perspektywy. Ale to nic nowego. Alfie Kohn w książce „Mit rozpieszczonego dziecka” pisze, że dorośli od pięciu tysięcy lat narzekają na młodzież, mówiąc: „To pokolenie jest gorsze od naszego”.

Dziemidowicz: – Dla większości dzieci zainteresowanie internetowymi idolami to normalny, rozwojowy etap. My też w ich wieku chcieliśmy być jak ulubiony bohater serialu, aktorka czy sportowiec. Jednak dla dzieci, które spędzają na TikToku wiele godzin dziennie, internetowi twórcy potrafią stać się kimś więcej. Stanowią punkt odniesienia, wzorzec. Badania pokazują, że niektóre czują się bardziej związane z tymi twórcami niż z kolegami. Część twórców buduje zresztą – pozornie – niezwykle intymny kontakt ze swoimi odbiorcami. Jeśli dziecku brakuje poczucia sprawczości, nie czuje swoich zasobów, nie odnajduje się w grupie rówieśniczej, może uciekać w fantazje o byciu „kimś” – znanym influencerem czy influencerką. Za tą fantazją często kryje się potrzeba bycia widzianym, ważnym, docenionym, a także potrzeba kontroli. Co jest naturalne dla dzieci, które z reguły mają niewielki wpływ na swo-

ją rzeczywistość. W ich oczach internetowi twórcy mogą robić, co chcą, przekraczać granice. Są wolni. Dla dzieci, które niemal każdą chwilę offline spędzają pod nadzorem dorosłych, to bardzo atrakcyjne.

ROZŁADOWANIE STRESU

*Fury odstawiam na parking
później napelniamy szklanki
Problemy wyrzucam za drzwi, dziś tylko uber
i taxi odwiezie do domu
Na razie jestem wśród ziomów
dzisiaj nie spuszczamy z tonu, jak
coś się wydarzy, to nie mów nikomu*

Cztery lata temu w polskiej sieci pojawili się pato-youtuberzy i patoinfluencerzy, którzy na YouTube oraz na Instagramie zamieszczali relacje z alkoholowych libacji i bójek, żarty robione kosztem osób niepełnoletnich, z niepełnosprawnościami, w kryzysie bezdomności, nastoletnich dziewczynek. Przekleństwa, przemoc, agresja, seksualizacja to były fundamenty tego świata, w którym królowali m.in. Daniel Magical, Rafonix, Gural, a także Sex Masterka – pod pozorem edukacji seksualnej namawiająca młodych obserwatorów między innymi do wysyłania sobie „nudesów” (nagich zdjęć) – oraz Linki Master, znana z zamieszczania relacji z suto zakrapianych imprez. Na pewno niejeden rodzic słyszał w tamtym okresie o Lordzie Kruszwilu i jego Kamerzyscie. Ich produkcje, w przebraniu świetnej zabawy polegającej głównie na upokarzaniu innych, też przemycaly patotreści i cieszyły się wielomilionową, głównie dziecięcą widownią.

Według raportu fundacji Dajemy Dzieciom Siłę co trzeci nastolatek i nastolatka w wieku 13-15 lat mieli kontakt z takimi treściami, a aż 43 proc. oglądało je co najmniej raz w tygodniu. Dzieci przyznawały, że robią to z ciekawości, z nudów, dla „beki” albo żeby „nie wypaść z obiegu”. I choć dziś dzieki m.in. działaniom fundacji, ale też byłego rzecznika praw obywatelskich, który powołał okrągły stół do walki z tym zjawiskiem, zostało ono zmarginalizowane, a części twórców postawiono zarzuty karne (m.in. za znęcanie się nad osobą z niepełnosprawnością – Kamerzystą), to powidok patotreści wciąż w internecie istnieje i jest równie chętnie oglądany przez dzieci i młodzież. Mowa o organizowanych z ogromnym rozmachem galach walk – Fame MMA z udziałem internetowych celebrytów, youtuberów oraz – a jakże – byłych patoinfluencerów i patoinfluencerek. Takich jak chociażby Seks Masterka, która zerwała z dawnym wizerunkiem i dziś występuje w sieci jako „nowa, silna kobieta” – Lil Masti.

Udział w walce to gwarantowany skok popularności, choć jak tłumaczy mi osoba pracująca w branży – też ryzykowny krok. Bo nie wszystkim markom to się podoba. Niektóre nie chcą być z tym kojarzone i odmawiają potem współpracy z influencerem, który zdecydował się na udział w takiej imprezie.

– Problem w tym, że w tych walkach biorą też udział osoby publiczne, niezwiązane z internetem ani tym bardziej z patotreściami, na przykład Jaś Kapela. Swoją obecnością nobilitują takie przedsięwzięcie – mówi Dziemidowicz. – Dzieci, które często nie mogą sobie pozwolić na wykupienie dostępu do oglądania walk, śledzą na youtube tzw. konferencje, na których przeciwnicy ubliżają sobie, grożą. Dorosły rozpozna w tym konwencję, dziecko – niekoniecznie. Częste obcowanie z takimi treściami oswaja dzieci z przemocą, z wulgarnym językiem, znieczula na krzywdę. Młodsze czasami przenoszą te zachowania do rzeczywistości. Organizują walki Fame MMA albo bawią się w „Squid Game” [popularny brutalny serial]. W ten sposób odreagowują to, co obejrzały. Pytanie, czy ktoś z dorosłych o tym z nimi rozmawia? Jest ciekaw, co jest w tym dla nich fajnego, jakie emocje w nich to wywołuje? Czy tylko się oburza?

Agnieszka Stein: – Nauczyciele skarżą się, że wzrasta poziom agresji wśród dzieci, ale jakbym miała powiedzieć, skąd się ona bierze, to nie wskazałabym w pierwszej kolejności na internet. Od dwóch lat żyjemy w bardzo dużym stresie, a dynamika reakcji stresowej jest taka, że najpierw następuje zamrożenie, a potem napięcie trzeba jakoś rozładować. I wśród dorosłych też widać teraz więcej agresji. Jest nam trudno, bo najpierw pandemia, potem wojna, teraz zawrotna inflacja. Dzieci nasiąkają tym samym napięciem i szukają sposobów, żeby się go pozbyć.

Dziemidowicz: – Podczas lekcji zdalnych wiele dzieci jednocześnie coś oglądało w internecie albo grało. Rodzice mówią, że trudno im przywró-

I TY ZOSTANIESZ TIKTOKERKĄ

*Kiedyś zbieraliśmy poksy, teraz Ekipa SA (essa)
Umiemy robić papier, umiemy robić zasięg
Więc zobacz, jak się kaszle
Największy polski kaszel
Najlepszy prosty patent
Mamy klasę, mamy chatę, a w niej basen*

Najpopularniejsi są więc ci, którzy wpisują się w ramy dorosłego świata. Wielu zaczynało od kanałów o grach. Rezigusz (4,35 mln subskrybentów), Błówek (4,79 mln subskrypcji) i Stuu (4,26 mln subskrypcji, choć nieaktywny od dwóch lat) zaczęli

cić zasady sprzed pandemii. Nauczyciele z kolei opowiadają o problemach dzieci z koncentracją. Ich mózg przyzwyczaił się do natychmiastowej gratyfikacji i trudno im się skupić na treściach, które nie angażują w podobny sposób. Dla innych internet stał się sposobem radzenia sobie ze stresem czy trudnymi emocjami. Zamiast popadać w bezradność, spróbujmy się dowiedzieć: na jakie potrzeby dziecka odpowiada to, co robi w sieci? Może to sposób na poradzenie sobie ze szkolną presją, a może po pandemii nastąpiły przetasowania w grupie rówieśniczej i dziecko czuje się wyobcowane?

LINIJKĄ W ŁAWKĘ

*Ej, ja to tak czuję, choć nie lubię dram
Dawni przyjaciele na skrzynce mi robią spam
Ja mam swoich ludzi, na życie już mamy plan*

W filmie dokumentalnym „Młody Platon” nauczyciel w szkole podstawowej w jednej z najbardziej niebezpiecznych dzielnic Belfastu, który przez filozofię uczy dzieci krytycznego myślenia i porozumienia bez przemocy, zwraca się do rodziców: „Szok i przeżalenie... Macie rozmawiać z waszymi dziećmi! O wszystkim”.

– Pytanie, które potrzebujemy sobie zadać, brzmi: czy chcemy mieć dzieci, czy chcemy być rodzicami? – mówi Ewa Dziezmidowicz. – Na bycie rodzicem trzeba znaleźć czas. Oczywiście jesteśmy zajęci i przemęczeni, ale kto ma być z dzieckiem, jeśli nie my? Influencer? Bezpieczna, bliska relacja, w której dziecko może być sobą i ma poczucie, że może opowiedzieć o tym, co przeżywa, zawsze wygra z internetowym obrazkiem i z fantazjami o milionach. Dziecko, które ma dobre relacje z dorosłymi, z rówieśnikami oraz alternatywę dla świata online, na przykład sport czy inne zainteresowania, będzie mniej podatne na szkodliwe treści i wzorce niż dziecko, które spędza wiele godzin samotnie przed ekranem.

Stein: – Rodzice w większości są autorytetami dla swoich dzieci. Gorzej ze szkołą, w której panuje przekonanie: „Masz usiąść w ławce i słuchać”. Marek Kaczmarzyk, biolog i neurodydaktyk, na jednym z wykładów opowiadał, że specjaliści, którzy tworzą gry wirtualne, pilnie studiują badania nad mózgiem, żeby ich gry były jak najbardziej atrakcyjne dla młodych. Myślę, że gdyby Ministerstwo Edukacji posiadało tę ogólnodostępną wiedzę, to szkoła wyglądałaby inaczej.

Czego jeszcze potrzebują dzieci poza naszą obecnością i zaciekawieniem tym, co robią w sieci?

Dziemidowicz: – Naszego komentarza. Jeśli wiemy, że dziecko omawia z koleżankami operacje plastyczne Wersow, spytajmy, co o tym myśli, wytłumaczmy swój punkt widzenia i wartości, które za nim stoją. Przyglądamy się sobie i temu, jakie wzorce promujemy naszym zachowaniem na co dzień. Jakim posługujemy się językiem? Jak mówimy o innych? Czy ich krytykujemy, hejtujemy? A wreszcie jak sami korzystamy z internetu? Ile czasu spędzamy online, co oglądamy? Czy odkładamy telefon, kiedy dziecko się do nas zwraca? To my przede wszystkim modelujemy zachowania. Nie internet.

RODZINNY BIZNES

*Zaczynaliśmy od podstaw, zobacz jak teraz to lata!
Nasza drużyna jest naprawdę mocna
A ja to przecież tej drużyny tata!
Od losu nikt nic nie dostał, to wszystko to ciężka praca
To nasza banda, pozdrawiam NASA
Zwiedzimy kosmos, jak zabraknie świata*

Olivia Drost reprezentująca agencję Spotlight, która współpracuje z kilkudziesięcioma topowymi twórcami

internetowymi, m.in. z Natsu, Moniką Kociolek, Kamiłem Owczarkiem i Julią Kosterą, dobrze wie, jak wygląda codzienność influencerów. I ile stereotypów krąży na ich temat.

Drost: – Nie mówi się o tym, jak ważna jest rola rodziców także po tej stronie ekranu. Zaangażowany, twardo stąpający po ziemi rodzic jest dla twórcy, szczególnie nastoletniego, kotwicą. Gwarancją tego, że nie uderzy mu do głowy woda sodowa, co w tej branży jest dość częste. Kimś, kto też pomoże temu młodemu człowiekowi mądrze zarządzać pieniędzmi, odłożyć je na przykład na studia czy na mieszkanie, zamiast wydawać całość na nową kolekcję Louis Vuitton dzień po wypłacie.

Wiele osób wyobraża sobie, że bycie influencerem czy influencerką to łatwa praca dająca niesamowite korzyści finansowe i dobry „lajfstajl”. To mit. Po pierwsze, niewielu twórców osiąga sukces na taką skalę. Po drugie, dla tych topowych to praca 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, bo jest oczekiwanie, że będą codziennie dodawać nowe treści, często na kilku kanałach – na YouTube, Instagramie, TikToku. Do tego dochodzi codzienny hejt – obraźliwe komentarze, wiadomości. Robienie dram wokół najmniejszych potknięć. Tym najmłodszym zażdrości się najbardziej, więc hejt na nich nakierowany jest jeszcze większy. Z mojego doświadczenia wynika, że są trzy rodzaje rodziców. Tacy, którzy nie ogarniają, co się w życiu dziecka wydarzyło. Nie wiedzą, że ma



Mnie pierwsze publikacje na YouTube nauczyły mieć twardy tyłek. Krytyka o dziwo nie przyszła ze strony obserwatorów, tylko od znajomych

na przykład 700 tysięcy obserwujących na TikToku i co to w ogóle jest ten TikTok. Ci, którzy mniej więcej rozumieją, towarzyszą dziecku, na przykład w podpisywaniu kontraktów, ale są zdystansowani. Trzecia grupa to rodzice, którzy biorą na swoje barki popularność dziecka i wspierają je w tym, co robi. Znam rodziców, którzy zrezygnowali ze swojej działalności, gdy dziecko zaczęło się rozwijać w internecie, bo biznes dziecka stał się tak duży, że potrzebowało codziennej opieki i wsparcia. Potrafią też wyczuć, gdy dzieje się coś złego, kiedy trzeba poszukać wsparcia u psychologa. A w zasadzie większość najbardziej popularnych twórców korzysta z takiej pomocy.

Dla wielu z nich bycie influencerką czy influencerem to pewien etap w życiu. Tak samo jak dla osób, które ich obserwują. Są świadomi, że to chwila, którą warto wykorzystać, ich pięć minut. Wiele z nich od początku ma plan, co zrobią po zakończeniu internetowej kariery. Niektórzy, jak Stuu (znany też jako Polski Pingwin), czyli Stuart Burton,

niegdyś jeden z najpopularniejszych graczy na polskim YouTube, współzałożyciel agencji Spotlight, całkowicie wycofują się z życia publicznego i wygaszają swoje kanały w mediach społecznościowych. Inni zmieniają profil działalności, na przykład z modowej na „parentingową”, kiedy zostają rodzicami.

24-letnia Klaudia Tarka (w sieci znana jako Klatex) jest influencerką urodową, kosmetołogką z wykształcenia, zdobywczynią nagrody głównej w kategorii Beauty and Fashion na tegorocznym Influencers Live Wrocław, a także właścicielką marki z akcesoriami kosmetycznymi i drogerii internetowej. W internecie działa od ponad sześciu lat. Zaczynała od pisania bloga o makijażu i urodzie, potem, trzy miesiące przed maturą, otworzyła kanał na YouTube, dokładając do tego Instagrama i TikToka, na którym dziś Klaudię obserwuje ponad milion osób.

– Ta popularność może się kiedyś skończyć – mówi. Dlatego postawiłam na dywersyfikację dochodu i założyłam swój brand oraz sklep. Za dziesięć lat chciałabym żyć już spokojniej, żeby mieć czas dla rodziny i dla dzieci. Pieńiądze nie są dla mnie najważniejszym wyznacznikiem, tylko to, czy dany produkt jest w zgodzie z moją osobą, czy mogę je z czystym sumieniem polecić moim obserwatorom. Nie zgadzam się na współpracę ze wszystkimi. Nie lubię też dram ani kontrowersji. W Fame MMA nie wzięłabym udziału, bo to nie mój świat. Na razie cieszę się, że mam pracę, która pozwala mi realizować swoją pasję. Po prostu lubię social media.

Co mogłaby poradzić tym, którzy zastanawiają się nad karierą influencerki czy influencera?

– Trzeba pamiętać, że wchodząc do internetu, pokazujemy dużą część swojego życia i wystawiamy się na opinie innych. Jeśli ktoś jest nieodporny na krytykę, hejt, musi to wziąć pod uwagę. Mnie pierwsze publikacje na YouTube nauczyły mieć twardy tyłek. Krytyka o dziwo nie przyszła ze strony obserwatorów, tylko od znajomych, którzy za wszelką cenę chcieli mi podciąć skrzydła. Potem zrozumiałam, że zrobiłam coś, na co nie starczyło im odwagi... No i kiedy byłam młodsza, popularność w sieci, te wszystkie serduszka, „suby”, lajki miały duży wpływ na moją samoocenę. Gubiłam się w tym. Teraz dojrzałam i zmieniłam podejście. Kiedyś obserwowałam dużo dziewczyn, które pokazywały bardzo wyidealizowany świat. Przerabiałam swoje zdjęcia, a każde „stories” nagrywały z filtrami upiększającymi. W tym momencie śledzę tylko twórców autentycznych. Stronię od filtrów, nie retuszuję zdjęć. Bo wiem, że moje obserwatorzy, które mają 16-18 lat, mogą mieć tak jak ja kilka lat temu. Patrząc na to, co robią ich idole czy idolki, myślę, że ich życie jest takie piękne, i popadać w kompleksy.

Na pytanie, co pozwala jej utrzymać zdrowy stosunek do tego, co robi, odpowiada bez namysłu: – Nie podejmam decyzji o przeprowadzce do Warszawy. Mieszkam cały czas w swoim rodzinnym mieście na Śląsku. Tu jest moja siostra, rodzice, babcia, znajomi, którzy nie mają nic wspólnego z internetem. Rodzina sprowadza mnie na ziemię. Dzięki nim zachowuję balans.

– Wiesz, o czym jeszcze myślę? – mówi na koniec Agnieszka Stein. – Jak bardzo uzależniamy poczucie własnej wartości od efektów naszej pracy. Nie mam na myśli tych wszystkich serduszek, lajków i wyświetleń. Jesteśmy gatunkiem stadnym. To naturalne, że zależy nam na akceptacji innych i że popularność jest przyjemna. Chodzą o to, jak wiele i wielu z nas ma poczucie, że jesteśmy tym, co robimy. I że jeśli to, co zrobimy – ten filmik na Instagrama, warsztat czy tekst – zostanie uznane za wartościowe, to pomyślimy, że jesteśmy wartościowi. A jak zostanie skrytykowane, to pocujemy się beznadziejni. To jest wielki, nieruszony temat w naszym kraju, który dotyczy zarówno dorosłych, jak i dzieci. Zarówno tego, co w internecie, jak i tego, co w realu. ●

Wszystkie teksty pochodzą z utworów internetowej grupy Ekipa



PARTNER AKCJI



„WYBORCZA” I TOYOTA RAZEM NA DZIEŃ DZIECKA

KOMU WIERZĄ NASZE DZIECI?

Z **MARTĄ LECH-MACIEJEWSKĄ**, AUTORKĄ BLOGA MODOWO-LIFESTYLE'OWEGO SUPERSTYLER, WSPÓŁWŁAŚCICIELKĄ (WRAZ Z MĘŻEM) FIRMY SPADIORA PRODUKUJĄCEJ JEDWABNE APASZKI, W KTÓREJ WPROWADZILI URLOP MENSTRUACYJNY ORAZ 4-DNIOWY TYDZIEŃ PRACY ROZMAWIA **ALEKSANDRA WARECKA**

Skąd pomysł na urlop menstruacyjny?

– Przywieźliśmy go z wakacji. Pomyśleliśmy, że chcemy dać pracownikom więcej swobody i czasu. Ten work-life balance jest bardzo ważny dla młodego pokolenia. Zatrudniamy osiem kobiet w wieku 23-55 lat, ale połowa nie przekroczyła trzydziestki. Gdy mój mąż powiedział: „Wprowadźmy 4-dniowy tydzień pracy”, byłam przerażona. Ale dotarliśmy do badań japońskich – bo w Japonii ten 4-dniowy tydzień wprowadzono w niektórych firmach – z których wynikało, że efektywność w nich wzrosła. Powiedziałam: – Dobra, dorzucam swoje! Chcę urlop menstruacyjny! Mam bardzo bolesne miesiączki. Pracowałam przez wiele lat w korporacji i przez pierwszy dzień okresu byłam zupełnie nieproduktywna. Bo poza tym potrafiłam umówić 19 spotkań z klientami jednego dnia. I uważam, że to było nie fair, że kiedy miałam miesiączkę, musiałam leżeć na biurku mimo garści leków przeciwbólowych.

Ile dziewczyn korzysta z urlopu?

– Połowa. Gdy go ogłosiłam, połowa podskoczyła z radości. A druga powiedziała, że raczej nie skorzysta, bo nie odczuwają dolegliwości.

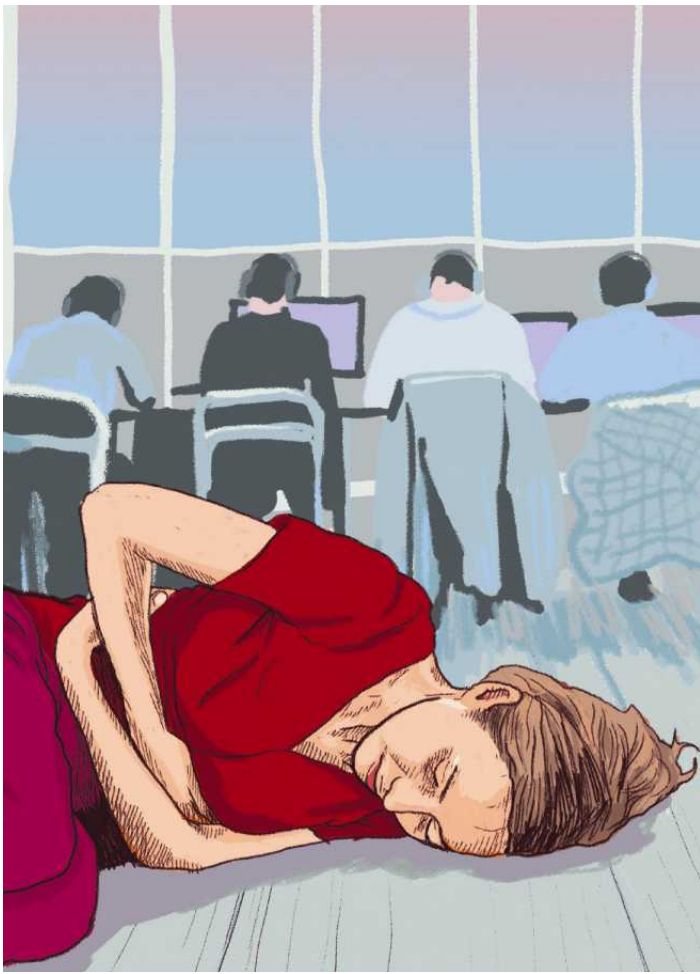
Trzeba spełnić jakieś warunki?

– To się odbywa na zasadzie zaufania. Postanowiłam, że Spadiora będzie firmą marzeń, w której sama chciałabym pracować. Kiedy pracowałam w korporacji, szefowie mogli ze mnie zrobić najlepszego menedżera na świecie, ale tak mnie doili, że zabili we mnie całą inwencję i motywację. Wiem, jak szybko można się wypalić. Dlatego oprócz urlopu menstruacyjnego i 4-dniowego tygodnia wprowadziliśmy nie-limitowane urlopy i dopłaty do nich. Dbamy, żeby pracownicy wrócili z wakacji wypoczęci i ze zdwojoną energią.

„Niezła metoda, żeby zniechęcić pracodawców do zatrudniania kobiet”, „Na pewno ten urlop będzie nadużywany” – to komentarze pod informacją, że Hiszpania planuje wprowadzenie urlopu menstruacyjnego.

– Bzdura. Nie ma bardziej zmotywowanej grupy zawodowej niż kobiety, a zwłaszcza matki. Mam dwóch małych synków i sama się zastanawiam, co robiłam z czasem, gdy nie miałam dzieci. Dlatego zatrudniam młode matki. Jeśli nawet muszą zostać w domu, to chcą wykonywać dalej swoje zadania i wiedzą, że z tych zadań będą rozliczane. Jest mnóstwo takich, które mają ogromny potencjał, chcą wrócić na rynek pracy i są często nieszczęśliwe, siedząc w domu. Przeżyłam to. Gdybym nie mogła wrócić do pracy, byłabym najbardziej nieszczęśliwą osobą na świecie. Muszę dostawać bodźce stymulujące mój umysł. Lu-

JEDWABNY FUCK



ILUSTRACJA MARTA FREJ

„Wprowadźmy 4-dniowy tydzień pracy” – powiedział mąż. „Dobra, dorzucam swoje! Chcę urlop menstruacyjny” – odpowiedziałam.

bię projektować, wymyślać. Dzięki temu rozkwitam, jestem lepszą matką i żoną.

„Kto za te pięć dni zapłaci” – to kolejny komentarz z internetu. – Pracownik, swoją efektywnością. Po co mi cierpiąca z bólu pracownica? Średnio raz na dwa miesiące wprowadzamy kilka wzorów apaszek. To wiąże się z przygotowaniem sesji zdjęciowych, promocji. Dziewczyny wiedzą, że muszą się spać. Mają poczucie, że dostały coś ekstra i że firma o nie dba. Nie rozliczam ich z siedzenia od 9 do 17. Rozliczam je z wykonania zadań. U nas nie ma czasu na pogaduszki, ploteczki. Za to dbamy, by nie było nadgodzin, a dodatkowy dzień był naprawdę wolny.

Efektywność nie spada?

– Wzrosła. Kiedy mieliśmy 5-dniowy tydzień pracy i nie było urlopu menstruacyjnego, źle wysłanych paczek mieliśmy 1,5 proc., czyli 15 na 1000. A teraz jedna na tysiąc.

Ten urlop wpłynął jakoś na relacje między wami?

– Teraz mamy trochę śmiesznej sytuacji: prawie wszystkim okresy zsynchronizowały się, bo jednak dużo czasu spędzamy razem. Dużo rozmawiamy o kobiecych tema-

tach. Ostatnio podjęliśmy decyzję, że przetestujemy kubeczki menstruacyjne. Zamówiłam je wszystkim pracownikom i wymieniamy się opiniami. Urlop menstruacyjny zbudował między nami taką nić porozumienia, że możemy swobodnie rozmawiać na te tematy. Dajemy sobie prawo do mówienia o kwestiach kobiecych, które często są marginalizowane, uważane za wstydlive, a nawet za niesmaczne. A niby dlaczego?

Któregoś roku latem byłam na ważnej konferencji. Miałam jasne spodnie, przemokłam. Żadna kobieta mi nie powiedziała. Chodziłam z plamą pół dnia. Jestem przekonana, że gdyby u nas przydarzyła się którejś taka wpadka, to byśmy zaaranżowały wiązanie koszul albo oddały jej swoje spodnie. W firmowej łazience stoją podpaski, tampony, chusteczki do higieny intymnej. Spytałam: czego zamówić więcej?

Doczekamy się, że podpaski będą normą w firmach i urzędach?

– Bardzo bym chciała. W dużych korporacjach czasem są. Jednak w żadnej z poprzednich firm moich pracownic ich nie było. No ale pracowały w męskiej kancelarii lub innych firmach prowadzonych przez mężczyzn. Pamiętam, że gdy pożyczalam w pracy tampon od koleżanki, czułam się jak w najgłębszej konspiracji. Jakbym coś przemyślała. To się powinno zmienić. Ale to jest pieśń przyszłości. Nie mamy takiego savoir-vivre'u dotyczącego menstruacji. Pracodawca, widząc pokładającą się na biurku pracownicę, może się zastanawiać, czy wypada zapytać ją, czy ma miesiączkę. Nie mamy ścieżki edukacyjnej dla młodego pokolenia, a wymagamy otwar-

tości od dorosłych. Gdy byłam w piątej klasie, mieliśmy spotkanie z pielęgniarką na temat menstruacji. Chłopcy zostali z niego wyproszeni. Potem, gdy pierwsza dziewczynka w klasie dostała miesiączki, chłopcy wykradli jej z plecaka podpaski i poprzyklejali do ścian, a jeden z nich przykleił sobie podpaskę na czoło. Oczywiście to, co zrobili, było słabe, ale może zwyczajnie byli ciekawi, jak wygląda podpaska. Gdyby pielęgniarka dała ją im do obejrzenia, przestałaby być taka tajemnicza. Ta dziewczynka potem płakała, a nie musiało się to tak skończyć.

Na blogu poleca pani badania profilaktyczne. W biurze też o tym rozmawiacie?

– Nie darowałabym sobie, gdyby któraś z moich dziewczyn coś zaniedbała. Pytam je, kiedy się ostatnio badały. W 2020 roku miałam podejrzenie nowotworu szyjki macicy. Okazało się, że mam poważne zmiany przedrakowe, konieczna była operacja. I teraz regularnie robię sobie płynną cytologię, która jest dużo skuteczniejsza niż klasyczna. Namawiam dziewczyny do niej. Moje badania są wpisywane w firmowy kalendarz. Raz, żeby dziewczyny nie umawiały mi żadnych spotkań. Dwa, żeby je zachęcić do badań. Więc tam jest zapis: Marta – badanie piersi. Pytają mnie potem: – Gdzie robisz badania? I same się zapisują.

Nasza firma jest zaangażowana w profilaktykę raka piersi. Moja teściowa zmarła na raka. Pierwsza apaszka „Kobiecość” była hołdem dla niej. W październiku wypuszczamy jedną z apaszek w kolorze różowym i 100 proc. zysku z jej sprzedaży przeznaczamy na cele zdrowotne. Dwa lata temu na badania nad rakiem piersi, a w tym roku dla fundacji Spa for Cancer.

Macie apaszkę, na której kobiety układają się we wzór fucka. Dla kogo był ten fuck?

– Dla partii rządzącej. Powstała w odpowiedzi na ustawę antyaborcyjną. Uważam, że rolą mody jest również niesienie ważnego przekazu. Każda moja apaszka jest nośnikiem jakiejś idei.

A apaszka „Nazywaj ją, jak chcesz”?

– Na niej jest wzór cipki i ona jest o tym, że mamy problem z tym słowem. Mój młodszy syn podszedł do mnie kiedyś i zapytał: – Mamusi, dlaczego nie masz siusiaka? – Jestem dziewczynką, odpowiedziałam. Zobacz, mam też piersi inne niż ty. – A co ty tam masz właściwie? I ja, postawiona w krzyżowym ogniu pytań, odpowiedziałam – uwaga – cytrynę! Byłam na siebie wściekła. Pomyślałam: tutaj niosę kaganek oświaty, wprowadzam urlop menstruacyjny, ale nagle mojemu dziecku mówię, że mam cytrynę? Zadałam pytanie na Instagramie: jak w twoim domu nazywano cipkę. I tam padały nazwy: skarbonka, pierożek, myszka i wszystkie owoce świata. To nas stawia w gorszej pozycji, bo facet mówi po prostu penis. I już. A my stosujemy szyfry.

Ale apaszki nie nazwałyście cipką?

– Bo bałyśmy się, że może to niebezpiecznie wpłynąć na wyniki wyszukiwania w wyszukiwarce internetowej. Pamiętamy, że prowadzimy sprzedaż online.

Skąd u pani to ukierunkowanie na wspieranie kobiet?

– Pochodzę spod Mragowa, z mazurskiej, popegeerowskiej wsi i widzę ogromne nierówności. Moja mama ma wielki potencjał, jest niesamowitą kobietą. Zaczynała jako szwaczka w zakładach Hanka Sawickiej na Mazurach, potem musiała się przebranżwić, pracowała jako pomoc stomatologiczna, technik radiolog, a w końcu w urzędzie gminy. I żeby tę pracę utrzymać, musiała zdać maturę. W wieku 40+. W tym samym dniu co ja. Mama jest szczęśliwą, otwartą kobietą, ale żyje w takim układzie, że tacie, który wraca z pracy, zakłada codziennie kapcie na nogi. I kiedy przyjechalismy z mężem i synkiem do rodziców, szepnęła mi: – Ty nie pozwalaj mu tak wszystkiego robić, bo cię zostawi. Twój tata nigdy ci pieluch nie zmieniał!

Jest też mnóstwo kobiet, które zostały wtłoczone w taki układ, że mężowie nie pozwalają im pracować. We mnie jest na to ogromna niezgoda.

Wracając jeszcze do tematu menstruacji: jest taki program „Cykl kariery” prowadzony przez fundację Dominiki Kulczyk, który wspiera pracodawców w tworzeniu przyjaznych miejsc pracy. Pierwsza edycja skupia się wokół tematu zdrowia menstruacyjnego. Jak zadbanie o zdrowie menstruacyjne w firmach mogłoby wpłynąć na relacje pracownik – pracodawca? – Gdybym się zatrudniła w takiej firmie, czułabym się bardziej opiekowana. Poczulałabym, że jestem akceptowana jako kobieta. W firmach, gdzie są szefowie z otwartymi głowami, to się wydarzy szybko. Ale w gminnych urzędach to może potrwać dłużej. Problemem nie jest niechęć, tylko brak świadomości. Myślę, że taka inicjatywa mogłaby wyjść od dołu, od kobiet. Mój tata jest wójtem w gminie na Mazurach i myślę, że gdybym do niego poszła i spytała: – Tata, czy w twoim urzędzie są podpaski?, to pewnie by powiedział: – No co ty. Ale teraz pomyślałam, że pogadam z nim o tym. Być może się zgodzi. ●

Akcja społeczna Kulczyk Foundation, „Wysokich Obcasów” i Fundacji „Gazety Wyborczej”.

Z uwagą i czułością przyglądamy się naszym relacjom – tym rodzinnym i tym z nami samymi – aby je uporządkować i z nową energią tworzyć świat po pandemii. Chcemy rozmawiać o wolności kobiet w sferze świadomości, cielesności i bytu. Więcej informacji o działaniach na rzecz normalizacji tematu menstruacji i walki z ubóstwem menstruacyjnym na stronie: [Kulczykfoundation.org.pl/menstruacja](https://kulczykfoundation.org.pl/menstruacja)

KULCZYK
FOUNDATION



FOT. GETTY IMAGES

Stefan miał 87 lat i zapalenie płuc. Prawie nie kaszlał, ale nie miał energii, spadła mu saturacja, momentami nie kojarzył, gdzie jest. Leczył się na serce i nerki. Ekipa karetki podjęła decyzję na podstawie wytycznych – pacjent jest starszy, ma choroby przewlekłe, więc muszą go zabrać do szpitala.

Mniej więcej w tym samym czasie na zapalenie płuc zachorował też 83-letni Jim. Mieszka na przedmieściach Denver. Jest otyły, także ma choroby przewlekłe, ale zamiast zabrać go do szpitala, lekarz zaproponował mu szpitalne leczenie w domu. – Możesz dostać dobrą opiekę w szpitalu, ale nie śpi się tam dobrze – powiedział Jim portalowi Next Avenue, który opisał jego historię.

KTO CI PODA SZKLANKĘ WODY

Ratownicy zostawili Stefana na szpitalnym oddziale ratunkowym (SOR). Decyzje powinny zapadać tu szybko – ktoś dostaje pomoc i wraca do domu, ktoś jest zakwalifikowany do pobytu w szpitalu. Teoretycznie tak powinno to działać. Ale brakuje lekarzy i łóżek na oddziale, Stefan spędził więc na SOR ponad dwie doby. Nie dojeżdżają tu posiłki dla chorych, nikt ich też nie pyta, czy chcieliby się napić.

– Mam całą listę wyników pacjentów z chwili przyjazdu do szpitala i przeniesienia na oddział. Wiadac, jak pogorszyło się u nich działanie nerek, bo nie dostali wody. A w zapaleniu płuc pogorszenie funkcjonowania nerek odgrywa istotnie negatywną rolę w rokowaniach – mówił mi dr hab. n. med. Tadeusz Zielonka, pulmonolog z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Podanie szklanki wody przy tym braku kadr staje się wyzwaniem. Prędzej pacjent dostanie na SOR kroplówkę niż kubek wody. Niestety, na normalnych oddziałach jest to samo. W upalne dni w szpitalach umierają ludzie, bo są odwodnieni. Gdy przychodzę do pracy, to najpierw pomagam napić się ludziom, którzy nie są w stanie sami tego zrobić. Są pacjenci, którzy mają zlepię od suchości usta. Już pomijam koszty. Choćby to, że odwodnionej osobie podajemy kroplówkę, czyli zwiększamy u niej ryzyko zakażenia związane z cewnikiem w żyl. Napojenie spragnionego to w szpitalu najtrudniejsze zadanie. Wymaga czasu i zaangażowania. Nie można w kogoś wlać na raz litra wody, bo przy chorym sercu może to poważnie zaszkodzić – tak dr Zielonka opisuje szpitalną rzeczywistość. Rozwiązaniem byłoby zatrudnienie opiekunów medycznych. Pielęgnowałyby pacjentów, gdy wykwalifikowane pielęgniarki zajmują się trudniejszymi zadaniami. Opiekunowie to jednak w Polsce luksus. Wydajemy masę pieniędzy na leki, a na ludzi, którzy też są ważni dla skuteczności leczenia, nas nie stać.

NOWE ZNACZENIE „ZOSTAŃ W DOMU”

Stefan dostał w szpitalu tlen i antybiotyki. Nie wrócił już do



ŁÓŻKO W SALONIE

Gdzie będziemy się leczyć w przyszłości? W domu, jeśli dopisze nam szczęście

Katarzyna Staszak

domu. Zmarł po kilkunastu dniach leczenia. Znam jego historię, ponieważ był moim krewnym. Jim też dostał antybiotyki oraz tlen. Był monitorowany zdalnie. Do jego mieszkania przychodzili pielęgniarki, opiekunowie medyczni i lekarze. – Dzięki dzisiejszej technologii mogą zrobić zdjęcia rentgenowskie, EKG i badania krwi w moim domu. Byli po prostu wspaniali. Zostałem tutaj i wyzdrowiałem – opowiada Jim.

Jim mieszka sam. Stefan mieszkał z młodszą żoną, która poinstruowana przez lekarza, mogłaby się nim opiekować. Niestety, nasz system jeszcze nie jest gotowy na opiekę szpitalną w domu. Ale będzie, nie ma wyjścia.

Na razie trend mocno widać w USA i Wielkiej Brytanii. To pandemia przyspieszyła rozwój szpitalnej opieki domowej. Ekspert

ci powtarzali hasło „Zostań w domu”, co miało chronić przed wirusem. Dziś hasło nabiera nowego znaczenia, przybywa starszych osób i ich bliskich, którzy są zainteresowani leczeniem w domu. Przez pandemię szpital przestał być postrzegany jako najbardziej bezpieczne miejsce, zaczął kojarzyć się także z zagrożeniem.

30 proc. pacjentów przyjmowanych obecnie do szpitali kwalifikuje się do opieki domowej – szacuje słynna amerykańska Klinika Mayo.

MNIEJ ŁÓŻEK W SZPITALACH. I DOBRZE

„Choć populacja osób starszych rośnie, mamy o jedną trzecią mniej łóżek szpitalnych niż 25 lat

temu. Jednak liczba przyjęć do szpitali z powodu nagłych wypadków stale rośnie. W przeszłości szpitale radziły sobie z tym, skracając hospitalizację pacjentów. Ale czas pobytu w szpitalu zaczął znowu rosnąć w przypadku populacji w wieku powyżej 85 lat” – czytamy na brytyjskiej stronie Hospital at Home (szpital w domu). Eksperti tłumaczą tu, dlaczego publiczny płatnik – odpowiednik naszego NFZ – popiera leczenie w domach.

Skoro wiele osób dostanie pomoc medyczną w domu, jaka będzie rola szpitali? Wciąż ogromna: leczenie ciężko chorych, osób po wypadkach, w sytuacji zagrożenia życia i wykonywanie planowych operacji, np. onkologicznych czy ortopedycznych.

– Pobyt w szpitalu jest często traumatycznym doświadczeniem, ale czasem też jedynym wyjściem. Musimy się jednak liczyć z malejącą dostępnością do tej formy opieki. Przy rosnącym zapotrzebowaniu i niedoborach personelu dostęp do szpitala w tradycyjnym modelu będzie mocno ograniczony. Ale kiedy pacjenci słyszą, że szpitale ma być mniej, to się boją. Nie chodzi jednak o to, żeby odebrać komuś opiekę. Odwrotnie – żeby ją zagwarantować na jeszcze wyższym poziomie, jeśli chodzi o skuteczność, bezpieczeństwo i komfort pacjenta. Potrzebujemy znacznie więcej opieki w otwartych ośrodkach, czyli leczenia ambulatoryjnego albo wręcz opieki udzielanej w domu – przekonuje dr n. ekon. Małgorzata Gałązka-Sobotka, dy-

rektorka Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego. Jako osoba „od zdrowia” odbiera czasem telefony od znanych zaniepokojonych wczesnym wypisaniem kogoś ze szpitala. – Osoba po operacji onkologicznej, po usunięciu guza w piersi, tego samego dnia wychodzi do domu. Słyszę: „Jak szpital mógł podjąć taką decyzję?”. Mógł, bo mamy wysokiej klasy opatrunki, coraz częściej zabiegi są oszczędzające, więc rekonwalescencja jest krótsza i łagodniejsza. A pobyt w szpitalu, czyli w środowisku, które jest stresujące i gdzie ryzyko zakażenia jest zdecydowanie większe niż w domu, nie jest najlepszym rozwiązaniem. Musimy porzucić przekonanie, że tylko instytucja szpitala gwarantuje dobrą opiekę. Płacówki medyczne to przede wszystkim ludzie, ich kompetencje i zaangażowanie wsparte nowoczesnymi narzędziami. Same mury szpitalne nie czynią cudów – podkreśla dr Gałązka-Sobotka.

KONSJERŻ DLA ZGUBIONYCH W SYSTEMIE

Żeby zmienić sposób, w jaki opiekujemy się chorymi, potrzebujemy więcej osób zatrudnionych w branży medycznej. I nie chodzi o lekarzy. – Szukając dobrych praktyk, patrzymy na kraje, których systemy opieki są wysoko oceniane w międzynarodowych rankingach. Co nas od nich różni? Mają zdecydowanie więcej pielę-

30 proc. pacjentów przyjmowanych obecnie do szpitali **kwalifikuje się do opieki domowej** – szacuje słynna amerykańska Klinika Mayo

gniarek, ale przede wszystkim dużo więcej asystentów medycznych i koordynatorów opieki. Czyli system ma wiele tysięcy osób wspierających pielęgnację pacjentów – tłumaczy dr Gałązka-Sobotka. Koordynator to osoba, która czuwa nad grupą pacjentów. Dzwoni do nich, ustala działania, przypomina o badaniach. – Koordynatorzy pojawili się już w leczeniu onkologicznym. To taki konsjerż medyczny. Pacjent nie powinien czuć się zagubiony w systemie. A pilnowanie, czy dana osoba zgłosiła się na badania, nie jest zadaniem dla lekarza albo pielęgniarki – mówi Urszula Szybowicz, dyrektor operacyjna Polskiej Federacji Szpitali.

Czy do pracy w domach pacjentów znajdują się chętni? Niektórzy mogą mieć opory. – Młode pielęgniarki wolą pracować w szpitalach. Tu zawsze ma się wsparcie bardziej doświadczonych osób. A na wizycie domowej jest się samodzielnie z zadaniem i decyzjami – zauważa Paweł Urbańczyk, pielęgniarz z poradni Nutrimed, która zajmuje się w domach pacjentami wymagającymi odżywiania dojelitowego.

Dr Manny Diaz, który opiekował się opisanym wyżej Jimem, powiedziała portalowi Next Avenue, że wizyty domowe odwracają relacje między lekarzem a pacjentem, „humanizują” je. W szpitalu lekarze robią obchody po swoich salach. W opiece domowej lekarz jest zapraszany do przestrzeni pacjenta. – W domu łatwiej edukuje się pacjentów – dodaje Cindy Kannenberg, szefowa pielęgniarek szpitala domowego w amerykańskiej firmie Avera@Home. Zamiast dawać pacjentowi listę zaleceń w szpitalu, można porozmawiać z nim o zakupach i gotowaniu w jego domu. Naturalnie przechodzi się do porad dietetycznych.

CAŁY TEN SPRZĘT

Kiedyś przewlekłe chore osoby leżały w domach na niewygodnych wersalkach. Dziś można wypożyczyć łóżko antyodleżynowe. Dla

osób niewstających są podnośniki pomagające w higienie, znane z ośrodków opieki dla osób starszych i z niepełnosprawnościami. – Domy niektórych pacjentów już przypominają szpitale. Osoby wentylowane mechanicznie, żywione dojelitowo leżą na medycznych łóżkach, a wokół nich stoi profesjonalny sprzęt. Ich pokój przypomina salę chorych w szpitalu. Jest z nimi cały czas opiekun, bliska osoba, która po przeszkoleniu potrafi ten cały sprzęt obsłużyć – opowiada Urbańczyk. Systemy do obsługi chorych powstały, by wspomóc pielęgniarke. Przez nieustanne podnoszenie pacjentów są narażone na choroby kręgosłupa. Jeśli domy zmieniają się w szpitale, konieczne są sprzęty, które sprawdzają się także w takiej przestrzeni. Potrzebna jest też powszechna świadomość, że taki sprzęt jest niezbędny – opiekunowie i pielęgniarki są zbyt cenni, żeby narażać ich na przeciążenie. – Musimy iść dalej, zaoferować taki sprzęt, z którym jeden opiekun będzie w stanie otoczyć opieką wielu pacjentów, nawet bariatrycznych – mówi Edyta Regulska, prezeska Winnicare Polska, firmy produkującej sprzęt medyczny.

– Koszty leczenia w szpitalu są o wiele większe niż w domu. Jednocześnie dla osoby chorej lepiej jest, kiedy może przebywać w domu. Dziś problemem opieki domowej jest jednak brak systemowego wsparcia dla spokrewnionych opiekunów. Osoba mieszkająca z chorym ma dyżur 24 godz. na dobę, siedem dni w tygodniu – podkreśla Urbańczyk. – Pielęgniarka czy lekarz mają dyżur, to ich praca, a po pracy mają czas wolny. Potrzebujemy systemu wspierającego opiekunów, żeby mogli wyjść z domu, pojechać na wakacje. Ktoś powinien ich wtedy zastąpić. Teoretycznie mamy już opiekę wytnienionową, ale takie wsparcie nie działa jednakowo w całej Polsce, niewiele osób może z tego skorzystać. Osoby z tytułem opiekuna medycznego mogłyby być zatrudniane na zastępstwo dla obciążonych ciągłym dyżurem matek, ojców, dzieci, mężów czy żon pacjentów.

Akcja „Wyborczej” Pod dobrą opieką. Opiekun i podopieczni

„Gazeta Wyborcza” wraz z Naczelną Izbą Pielęgniarską zainicjowała akcję, której celem jest dyskusja i próba znalezienia dobrych sposobów na poprawę jakości opieki nad osobami niesamo-

dzielnymi i wsparcie opiekunów osób niesamodzielnych. Przez najbliższe miesiące będziemy w „Gazecie Wyborczej” opisywać te problemy. Partnerami akcji są: firma Winnicare produkująca

sprzęt medyczny dla osób z niepełnosprawnościami oraz fundacja Nutricia realizująca kampanię edukacyjną „Żywnie medyczne – Twoje posiłki w walce z chorobą”.



PARTNERZY:

WIN CARE

PARTNER MERYTORYCZNY:

NACZELNA IZBA
PIELĘGNIAREK I POŁOŻNYCH

ŻYWIENIE MEDYCZNE
Twoje posiłki w walce z chorobą

ORGANIZATOR:

wyborcza.pl

LEKARZ JAK WIELKI BRAT

– Opieka domowa może się rozwijać dzięki technologiom do monitorowania stanu zdrowia pacjentów. Przykładem może być e-stetoskop, sprzęt stworzony w Polsce. Umożliwia samodzielny nadzór nad stanem zdrowia i daje możliwość konsultacji z lekarzem. Nie będziemy tak często potrzebować bezpośredniego kontaktu z kadrą medyczną, ale pomocne będą osoby udzielające wsparcia technicznego – mówi dr Małgorzata Gałązka-Sobotka.

Zacząć trzeba jednak od podstaw, które nie wymagają zaawansowanych technologii. – Potrzebujemy wymiany informacji między placówkami i lekarzami. Jeśli pacjent trafi do szpitala, a potem znowu będzie pod opieką swojego lekarza z przychodni, to co ten lekarz wie o pobycie w szpitalu? Tyle, ile pacjent czy jego bliscy mu powiedzą. Informacja o leczeniu jest potrzebna,

żebyśmy nie popełniali błędów – podkreśla Urszula Szybowicz.

W czasie pandemii przekonaliśmy się do zdalnego kontaktu z lekarzem, teraz potrzebujemy upowszechnienia rozwiązań podnoszących bezpieczeństwo pacjentów. To urządzenia do monitorowania stanu pacjenta i w razie potrzeby wysyłające alarm. Przybywa też sprzętów ułatwiających pracę personelowi medycznemu. – Na przykład szafy lekowe, które minimalizują ryzyko popełnienia błędów – mówi Szybowicz. – Iluminatory naczyniowe, które podświetlają żyły, co ułatwia wkłucie – to przykład Urbańczyka.

Rozwijają się też urządzenia, które mają przenieść do domu badania wykonywane dziś w szpitalach. Znowu polski przykład: Clebre, czujnik przyklejany do szyi, który monitoruje oddychanie w czasie snu. Dziś pacjenci z podejrzeniem bezdechu sennego muszą spędzić noc w szpitalu podpięci do kilkunastu kabli i czujników. Także rozwój no-

wych leków pozwala na przebudowanie systemu zdrowia.

– W schizofrenii zamiast codziennych leków mamy iniekcje raz na pół roku. Pacjent może normalnie funkcjonować – mówi dr Gałązka-Sobotka. Zaznacza, że warunkiem odczuwalnych zmian dla różnych grup chorych jest refundacja nowych terapii przez NFZ.

Dwa lata temu Instytut Onkologii w Warszawie zaczął stosować chemioterapię domową. Jest możliwa w przypadku niektórych nowotworów. Pacjenci dostają do domu infuzory – butelki, które powoli podają lek. Podłącza się je do portu naczyniowego wszytego pod skórę pacjenta.

ŁAGODNA REWOLUCJA

Przed pandemią dla systemu zdrowia niemożliwe było wiele rzeczy, np. płacenie lekarzowi za rozmowę telefoniczną z pacjentem. Teraz telekonsultacje są powszechne. Nie wyobrażaliśmy sobie też, że listonosze będą dostarczać chorym na COVID-19 pulsoksymetry. Dostarczali. W rok zmieniło się bardzo wiele. Łatwiej zaakceptujemy kolejne systemowe „rewolucje”.

– Dotychczas system ochrony zdrowia reagował na pukanie albo wręcz mocne walenie pacjenta w drzwi. Teraz musimy rozwijać model proaktywny, w którym zwiększa się dostęp do opieki domowej, w szczególności dla osób niesamodzielnych lub z ograniczoną sprawnością. Taka opieka była dotychczas zarezerwowana tylko dla sytuacji wyjątkowych, np. wizyta położnej u matki w położu czy pacjenci wentylowani – wylicza dr Gałązka-Sobotka.

Nie wyobrażasz sobie szpitalnego łóżka i stojaków na kroplówki w swoim salonie? Może kiedyś będziesz się cieszyć z takiego sprzętu w domu? Pomyślisz: szpital przyjeżdża do mnie, czyli nie jest aż tak źle. Leżenie w szpitalu jest przecież dla naprawdę ciężko chorych ludzi. ●

WIN CARE

Wsparcie dla Ciebie w opiece nad pacjentem

Podnośnik sufitowy Luna
systemowe rozwiązanie
dla opiekunów osób mających
problemy z poruszaniem się
i z niepełnosprawnościami
do opieki domowej
i instytucjonalnej

**Dofinansowanie
do 95%***

Zobacz jak działa
podnośnik sufitowy
Luna:

Dowiedz się
więcej:

www.winnicare.pl

*Wnioski o dofinansowanie można składać
w ramach programu likwidacji barier technicznych
i architektonicznych PCPR, MOPS, MOPR

Z ADWOKATEM **JANEM DUDZIKIEM***
ROZMAWIA **JAROSŁAW KOPEĆ**

Przed rozmową poleciłeś mi książkę Johna Pomfreta „Pozdrowienia z Warszawy”. To historia o tym, jak agenci wywiadu z PRL-u przeorientowali się na współpracę z wywiadem amerykańskim. I jak wartościowe były dla Amerykanów ich kontakty i umiejętności. Dlaczego ta książka?

– Bo w bardzo przystępny sposób prezentuje, jak wywiad cywilny przeszedł ze strefy wpływów Związku Radzieckiego do strefy wpływów NATO. No i pojawiają się tam ludzie, których biografie to materiał na filmy sensacyjne.

Dużo twoich klientów jest bohaterami tej książki?

– Część. Są generałowie Gromosław Czempiniński, organizator słynnej ewakuacji Amerykanów z Iraku w 1990 r., czy Henryk Jasiak, w PRL-u odpowiedzialny za szpiegostwo przemysłowe, po zmianie ustroju szef Zarządu Wywiadu UOP.

Reprezentuję ludzi, którzy zostali pokrzywdzeni ustawą dezubekizacyjną, czyli nowelizacją ustawy o emeryturach funkcjonariuszy służb przepchniętą przez Sejm obok ustawy budżetowej w grudniu 2016 r., podczas słynnych obrad w Sali Kolumnowej, gdy opozycja blokowała mównicę sali plenarnej.

Moi klienci wolą mówić o niej jako o „ustawie represyjnej”.

Okoliczności przyjęcia tej nowelizacji były niestandardowe.

– Proces legislacyjny był chaotyczny. Masa poprawek. Głównie chodziło o to, jakie jednostki trafią na listę organów, za służbę w których zostaje się uznanym za funkcjonariusza państwa totalitarnego. Funkcjonariusze jednostek z tej listy mają na mocy tej ustawy ograniczone świadczenia emerytalne i rentowe. Po wejściu w życie tej nowelizacji zgłosiła się do naszej kancelarii grupa funkcjonariuszy wywiadu cywilnego z okresu PRL-u, który wówczas był Departamentem I MSW.

W dużym skrócie, w PRL-u wywiad cywilny dzielił się na wywiad i kontrwywiad, były to odpowiednio departamenty I i II MSW. Osobno istniał wywiad wojskowy. W latach 90. obowiązki departamentów I i II przejął Urząd Ochrony Państwa (UOP). Dziś spadkobiercami są Agencja Wywiadu i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów Policyjnych podaje, że osób objętych skutkami PiS-owskiej nowelizacji jest około 40 tys. Do maja 2022 r. blisko 4 tys. wygrało już sprawy i odzyskało świadczenia.

– Wśród tych 40 tys. oficerowie wywiadu stanowią niewielką liczbę. Wywiad był elitarną jednostką, agentów było mniej niż w innych jednostkach służb.

Próbuję zrozumieć, o kim właściwie mówimy.

– Wywiad zajmuje się pozyskiwaniem najsłynniejszych informacji o znaczeniu operacyjnym, które służą interesom państwa. Istnieje wywiad wojskowy, który robi zasadniczo coś podobnego, tylko w strukturach armii. W PRL-u wywiad cywilny zajmował się pozyskiwaniem informacji o znaczeniu politycznym, ale też np. naukowo-technicznym.

Najgłośniejszy polski szpieg z tamtego okresu to Marian Zacharski, też twój klient. Na przełomie lat 70. i 80. pod przykrywką sprzedawcy polskich maszyn w USA zdobywał sekrety amerykańskich technologii.

– Zacharski to akurat nietypowa postać. Większość funkcjonariuszy wywiadu działa w ramach placówek dyplomatycznych. Są często zatrudnieni w MSZ jako dyplomaci, a w wywiadzie mają drugi „etat”. Czy-



ZDRADZENI O ŚWICIE

Mieli do wyboru wielkie kariery
w raczkującym kapitalizmie albo służbę nowej,
wolnej Polsce. Wybrali Polskę

li w ciągu dnia zajmują się regularną dyplomacją, a po godzinach korzystają ze znajomości, żeby zdobywać w sposób nieformalny informacje. W PRL-u wywiad naukowo-techniczny miał wykraść technologie, na których opracowanie lub zakup Polski nie było stać. Niekoniecznie technologie wojskowe, mówimy m.in. o recepturach leków czy proszków do prania.

Gdy po Okrągłym Stole i wyborach 1989 r. powstaje nowe MSW, wieloletni szef resortu Czesław Kiszczak, symbol peerelowskiej bezpieki, współpracuje z nowym ministrem Krzysztofem Kozłowskim. Czempiniński, w PRL-u wysoki rangą oficer, zostaje jednym z ważniejszych funkcjonariuszy. Bo nowi, wywodzący się z opozycji demokratycznej szefowie uznają, że wywiad musi działać i zachować ciągłość.

– Przy przejmowaniu zadań Departamentu I przez Urząd Ochrony Państwa niewielka część oficerów zostaje zweryfikowana negatywnie, część sama odchodzi na emeryturę, a część zweryfikowanych pozytywnie dołącza do nowej służby. Wiele postępowań toczy się zaocznie, większości osób nie wzywa się przed komisję, jak popularnego Franza Maurera w „Psach”. To byli funkcjonariusze – było wiadomo, gdzie pracowali, co robili. I wielu dało się

pozytywnie zweryfikować na podstawie samych dokumentów.

Pomfret przywołuje Aleksandra Makowskiego jako agenta, który zostaje zweryfikowany negatywnie, bo zajmował się tropieniem zachodniego wsparcia dla „Solidarności”. Po paru latach Makowski wraca, jest współpracownikiem UOP i Wojskowych Służb Informacyjnych, pomaga tropić ben Ladena. Masz klientów, którzy też przeszli weryfikację negatywnie?

– Nie. Takie osoby zazwyczaj nie kontynuowały służby w latach 90. Na dodatek było takich osób niewiele – jak wylicza Pomfret, wśród oficerów wywiadu zaledwie trzy.

Jako adwokat oczywiście reprezentuję osoby, które mają rozmaite karty, i jaśniejsze, i ciemniejsze. Problem w tym, że w myśl obecnych przepisów nikt nawet nie stara się sprawdzać, czy konkretny agent w ogóle zrobił coś, za co należy go ukarać. A wywiad cywilny generalnie nie zajmował się czymś, co mogłoby być uznane za prześladowania, represje, za zwalczanie opozycji czy Kościoła, bo był ukierunkowany na zewnątrz, podobnie jak ma to miejsce w każdym państwie – demokratycznym czy też nie. Oficerowie czasem wręcz nawiązywali pozytyw-

ne relacje z opozycją, choćby po to, żeby uzyskać szerszą sieć kontaktów na Zachodzie.

Po weryfikacji twoi klienci przez lata pracują dla III RP. I bardzo szybko nawiązują współpracę z CIA. Podczas operacji „Przyjazny Saddam” pomagają wywieźć amerykańskich szpyrantów z Bagdadu podczas inwazji Saddama Husajna na Kuwejt. Zaskakujący zwrot akcji jak na wieloletnich przeciwników Amerykanów.

– To konkretny dowód na ich patriotyzm i profesjonalizm. Nie liczyło się dla nich, kto był ich szefem, ale co było w interesie ojczyzny.

A szefowie wywiadu uznawali, że w interesie ojczyzny leżało jak najszybsze związanie się z USA.

– W historii świata wiele było takich zmian frontów. Ale kiedy rozmawiam z moimi klientami, to propaniśtwowość, patriotyzm – to są cechy, które bardzo wyraźnie się u nich wybijają.

Nie tęsknią za PRL-em?

– Nie spotkałem się z tym.

Oni w ogóle żyli w tym PRL-u, doświadczali go?

– Na pewno nie w 100 procentach. Ktoś mógł pracować w centrali, czyli Warszawie, później wyjeżdżał na placówkę jako dyplomata, niekiedy do jakiejś organizacji międzynarodowej, a równolegle pracował jako agent.

Mamy masę takich dylematów – jak się odnosić do intelektualistów, artystów, dziennikarzy, w ogóle osób, które robiły kariery w PRL-u. Z jednej strony pracowali dla Polski, jakakolwiek by była, rozwijali się, nie robili niczego złego, z drugiej strony im bardziej byli przydatni dla systemu, tym większe mieli możliwości.

– Uważam, że prawdę o moich klientach pokazuje to, co zrobili po 1989 r. Mamy przełom, wolna amerykanka, pieniądze leżą na ulicy, wiele osób na tym korzysta. A tu masz grupę ludzi, którzy świetnie znają języki obce, często więcej niż jeden, wykształconych, swobodnie poruszających się w świecie, o szerokich horyzontach, w dodatku – w końcu byli w służbach – mających doświadczenia. Dla takich ludzi lata 90. to eldorado, można odejść ze służby, pójść do biznesu i zrobić duże pieniądze. A oni zostają na państwowym wickie i służą jeszcze przez np. 20 lat.

Szkołono ich w nawiązywaniu znajomości, budowaniu zaufania, kłamstwie.

– Z czysto biznesowego punktu widzenia wtedy popełnili błąd. To jest też wątek sprzeciwu wobec tej ustawy. Gdyby rzucili papierami, żeby poszukać swojego miejsca na rynku, mieli szansę na błyskawiczne, lukratywne kariery. Do Polski wchodziły wielkie korporacje, szukały ludzi, którzy mogli zapewnić im bezpieczeństwo przy rozpoczynaniu biznesu. Oni jednak zaufali nowej, demokratycznej władzy i podjęli się dalszej służby.

Pierwsza ustawa dezubekizacyjna wchodzi w życie za rządów Platformy Obywatelskiej i PSL. Czyli Donald Tusk robi pierwszy krok.

– Były dwa spojrzenia na transformację służb po PRL-u. Jedni mówili, że dobrze, że zostawiliśmy wywiad po weryfikacji, bo inaczej Polska byłaby w niebezpieczeństwie. Że bez ludzi, którzy znali sposób działania rosyjskich służb, mieli sieć kontaktów, doświadczenie, Rosja by nas pożarła. Inni – jak Olszewski czy Macierewicz – uważali, że powinniśmy zrobić jak w Niemczech po zjednoczeniu, czyli usunąć wszystkich z nowych służb, zacząć od zera.

Po ustawie dezubekizacyjnej PO-PSL nie podniosły się aż tak silne głosy jak po

PiS-owskiej nowelizacji. Czym się różniły tamte przepisy?

– Odchodząc na emeryturę, dostaje się określony procent wysokości wcześniejszych wynagrodzeń, przy czym można łączyć nie więcej niż 75 proc. Ustawa przyjęta za czasów rządu PO przyjmowała, że za okres służby w PRL-u ten odsetek wynosi nie 2,6 proc., tylko 0,7 proc. rocznie. Dla odpowiedniej perspektywy – taki sam wymiar emerytury otrzymują za każdy rok wykonywania kary więźniowie.

Nowelizacja PO nie uwzględniała indywidualnych zasług czy przewin. Już wtedy była wyraźna odpowiedzialność zbiorowa – lista organów, które zaliczały się do „organów bezpieczeństwa państwa”. Zakład emerytalny jedynie musiał zapytać IPN, czy ktoś służył w jednym z nich. Jeśli tak, to cyk, obniżamy. Spod noża można się było wymknąć, gdy się udowodniło, że się potajemnie i wbrew przełożonym pomagało opozycji.

– Ale po pierwsze, tamta lista organów była węższa, po drugie, dla osób, które pracowały w PRL-owskich służbach tylko przez jakiś czas, a potem długo służyły w III RP, obniżki były stosunkowo niewielkie. Nowelizacja PiS nie dość, że poszerzyła katalog tych organów, to stanowi, że osoba, która przepracowała tam choć jeden dzień – nawet jeśli całą resztę kariery służyła wolnej Polsce, ma emeryturę nie wyższą niż średnia wypłacana przez ZUS. A to już powoduje drastyczne obniżki.

W 2017 r. średnia emerytura z ZUS wynosiła 2087 zł brutto, więc niecałe 2 tys. na rękę. A emerytura byłego agenta Departamentu I MSW mogła być wielokrotnie wyższa.

– Podam dwa skrajne przykłady. Pierwszy to pozytywnie zweryfikowany pułkownik w Agencji Wywiadu, ponad 20 lat służby po 1990 r. Wiele lat z narażeniem życia i zdrowia poza granicami kraju, a z tego tytułu świadczenie ulega znacznemu zwiększeniu. Liczne odznaczenia, kierownicze stanowiska oraz wyróżnienia za zasługi na rzecz NATO. Przyznana grupa inwalidzka w związku ze służbą. I emerytura obniżona z około 16 tys. do wspomnianej przez ciebie kwoty.

Drugi przykład to pozytywnie zweryfikowany pułkownik wywiadu, ze stażem ponad 30 lat. Wybitnie zasłużony w UOP na początku lat 90., wtedy też odszedł ze służby po osiągnięciu wieku emerytalnego. Ze względu na inwalidztwo powstałe w związku ze służbą niezdolny do samodzielnego funkcjonowania. Emerytura obniżona z kilku tysięcy do 1200 złotych plus świadczenie z tytułu niesamodzielnności.

Co więcej, obniżka objęła także renty pobierane przez rodziny funkcjonariuszy, którzy zmarli. Stąd ofiarami są np. wdowy po oficerach.

Ogromne kontrowersje wzbudził też sam katalog jednostek objętych obniżką – w nowelizacji znalazł się na przykład Gabinet Ministra Spraw Wewnętrznych. A w nim pracowały np. maszynistki, które zatrudniało się na etatach milicyjnych. Albo słuchacze – czyli uczniowie – niektórych szkół. Jeden dzień w szkole oznacza obniżenie emerytury, często o kilkadziesiąt procent. Bo to wedle ustawy „służba na rzecz totalitarnego państwa”.

Czyli za PO-PSL Franz Maurer, bohater „Psów”, miałby obniżone świadczenie za 11 lat służby w PRL-u, ale od momentu oświadczenia przed komisją weryfikacyjną, że

będzie służył Polsce do końca swojego lub jej, za każdy rok dostawałby 2,6 proc., tak jak Nowy, grany przez Cezarego Pazurę, który przyszedł po 1989 r. Ale w 2016 r. obniżyliby Maurerowi tę emeryturę do średniej z ZUS.

– Tak. Ale mało tego, nowelizacja PiS obniża ten odsetek za lata PRL-u z 0,7 proc. po prostu do zera. Przypomnę – osadzony w zakładzie karnym dostaje co roku 0,7 proc.

W praktyce część osób objętych ustawą przechodzi na emeryturę minimalne. W 2022 r. to 1338,44 zł brutto.

– Dodatkowa kwestia jest taka, że po nowelizacji z 2009 r. sprawa trafiła do Trybunału Konstytucyjnego i do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Oba orzekły, że była zgodna z prawem. Teraz, po nowelizacji PiS, sprawa ponownie zawisła przed TK, który odwleka wydanie wyroku. Więc sprawy były w sądach zawieszane, ponieważ sądy nie chciały orzekać, dopóki w sprawie przepisów nie wypowie się TK.

W maju Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów Policyjnych podało, że zawieszonych było około 12 tys. spraw. W jakim wieku są twoi klienci?

– Często mają po 80, 90 lat. Jednemu z nich wyznaczono termin pierwszej rozprawy na grudzień 2023 r.

Według oceny Sądu Najwyższego PiS-owska nowelizacja jest niezgodna z konstytucją, bo karze zbiorowo, bez uwzględniania indywidualnych zasług czy przewin.

Oficerom wywiadu, którym PiS odebrał emerytury za służbę „totalitaryzmowi”, zawdzięczamy szybką ścieżkę do Unii i NATO

– Argumentujemy, że karanie ich w ten sposób jest niezgodne z zasadami państwa prawa, bo oni zawarli z państwem konkretną umowę, że będą ich obowiązywały takie a nie inne zasady naliczania emerytury. To była rekompensata m.in. za pracę w niebezpieczeństwie, w szczególnych warunkach.

Bez kodeksu pracy, w tajemnicy przed rodziną i bliskimi.

– Istnieje też równoległa argumentacja, z którą pewnie część klientów trafi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Chodzi o przewlekłość procesu, to, że sprawy są zawieszane latami. To odbiera im jako obywatelom prawo do sądu.

Niektóre sądy przyznają nam też rację, gdy przekonujemy, że naszym klientom emerytury już obniżono w 2009 r. i nie można tego robić ponownie, ponieważ to podwójne karanie za to samo.

Przepisy, o których rozmawiamy, obejmują osoby, które są często w podeszłym wieku, polegały na tych emeryturach, mają zobowiązania. Oni już często nie mają jak zarobić, są po prostu zbyt schorowani.

Klienci przychodzą z poczuciem, że zostali oszukani, bo obiecywano

im, że jak wrócą do służby po 1990 r., to będą traktowani jak wszyscy inni, którzy tam pracują. Najpierw padały w tej sprawie zapewnienia ministra Andrzeja Milczanowskiego, notabene wielkiego przeciwnika ustawy dezubekizacyjnej, potem była ustawa z 1994 r., która regulowała ich emerytury.

Przy pierwszej dezubekizacji z 2009 r. niektórzy nie podjęli walki, ponieważ przy krótkiej służbie przed 1990 r. tracili stosunkowo niewiele. No i osób objętych tamtą nowelizacją było znacznie, znacznie mniej. Nowelizacja z czasów PiS poszerzyła listę tych organów o rząd wielkości – z kilkunastu do przeszło 70.

Życiorysy wielu oficerów to materiały na filmy. Niejeden pełnił służbę pod przykryciem w najbardziej niebezpiecznych rejonach świata, choćby w Iraku czy Afganistanie. Zwalczali terrorystów i wrogów RP na całym globie. Niejednokrotnie dorobili się ciężkiej niepełnosprawności. Otrzymywali najwyższe odznaczenia, listy gratulacyjne od prezydentów, premierów oraz szefów służb sojusznicznych, np. CIA. Ustawodawca nie wziął pod uwagę ich wybitnej służby na rzecz III RP.

Na marginesie, mówimy o klientach, ale ustawą dezubekizacyjną objęte zostały również kobiety, których jednak ze względu na realia społeczne w służbach było mało.

Czego domagają się twoi klienci?

– Przywrócenia poziomu emerytur i rent sprzed 2017 r. oraz wypłaty wyrównania za sporny okres.

Często się udaje?

– Coraz częściej.

Na co się powołujecie?

– Na początku próbowaliśmy na różne sposoby. Przekonywaliśmy, że sąd powinien rozpatrywać zgodność tej ustawy z konstytucją, z prawem międzynarodowym, europejską konwencją praw człowieka, Kartą Praw Podstawowych. Według konstytucji sąd jest związany tylko nią jako aktem nadrzędnym oraz ustawami i może orzec, że dany przepis jest niezgodny z ustawą zasadniczą i nie należy go stosować.

Ale tu się otwiera kolejny wątek – kwestia rozproszonej kontroli konstytucyjnej. W polskiej doktrynie prawa przyjęło się, że wyłącznie TK jest uprawniony do oceny zgodności ustawy z konstytucją. Większość prawników będzie więc przyjmowała, że sąd nie powinien bezpośrednio stosować konstytucji – stąd sędziowie zawieszają sprawy i czekają na wyrok TK.

Ale są i tacy teoretycy prawa jak prof. Ewa Łętowska, którzy od lat przekonują, że sąd może zastosować rozproszoną kontrolę konstytucyjną i powiedzieć: obywatelu, w twojej konkretnej sprawie wykonanie tych przepisów byłoby niezgodne z konstytucją, więc ja nie zastosuję tego przepisu i taki wydam wyrok.



REKLAMA 34186132

Niektórzy politycy oburzają się w takich sytuacjach, że co to ma być, sądy nadają sobie dodatkowe uprawnienia należne Trybunałowi! Ale tak nie jest, bo orzeczenie TK ma konkretne skutki dla całego systemu prawnego w Polsce. Przepis jest skreślany albo zmieniany. Sąd natomiast orzeka w konkretnej sprawie i jego interpretacja ma skutek tylko dla tej sprawy.

Wnosiliśmy też, żeby sąd zapytał o ustawę dezubekizacyjną Trybunał Sprawiedliwości UE. W 2009 r. w podobnej sprawie TSUE odpowiedział, że się takimi sprawami nie zajmuje. Ale teraz może odpowiedź byłaby inna.

Przekonujemy, że stosowanie tej ustawy to naruszenie zasady zaufania do państwa prawa. Postawmy się w sytuacji takiego emeryta. „Państwo mi coś obiecało, mam prawo nabyte. I nagle mi się to prawo po tylu latach odbiera. Co ja mam teraz zrobić? Mam 70 lat, nie jestem w stanie pracować. Przechodziłem na wysoką emeryturę, mając pięćdziesiąt parę lat, inaczej planowałbym sobie życie”.

To brzmi jak złamanie kontraktu społecznego.

– W 2010 r., gdy TK wypowiadał się o tej pierwszej nowelizacji, zastrzegł, że można zmieniać to świadczenie emerytalne zgodnie z konstytucją, ale „w rozsądnych granicach”. Moim zdaniem przyjęcie przelicznika 0 proc. za rok służby stanowi de facto pozbawienie funkcjonariusza emerytury, a więc wykracza poza „rozsądne granice”.

Pułkownik w Agencji Wywiadu, wiele lat z narażeniem życia poza granicami kraju, wyróżnienia za zasługi dla NATO.

Emerytura obniżona do około 2 tys. na rękę.

Pułkownik UOP, zasłużony, przez inwalidztwo powstałe na służbie niezdolny do samodzielnego funkcjonowania.

Emerytura obniżona do 1200 złotych

Kiedy zaczynaliśmy zajmować się tymi sprawami, opieraliśmy się głównie na argumentacji konstytucyjnej i słusznościowej. Ale teraz mamy też uchwałę Sądu Najwyższego z września 2020, która wyraźnie niuanzuje i przekonuje, że przepisy noweli z 2016 r. mogą być niezgodne z konstytucją i zasadami państwa prawa.

W skrócie, uchwała z września 2020 r. mówi, że stosowanie tej ustawy to odpowiedzialność zbiorowa.

– W dużym skrócie SN stwierdził, że służba na rzecz totalitarnego państwa, o której mowa w ustawie, nie może być interpretowana w ten sposób, że zakład emerytalny bierze art. 13b, sprawdza wymienione tam jednostki i jeśli ktoś pracował w jednej z nich, obniża się tej osobie świadczenie. SN przyjął, że należy raczej zbadać każdy przypadek, co konkretnie robił dany funkcjonariusz, gdzie służył, czym się zajmował.

To brzmi, jakby SN zalecał wyrzucenie tej ustawy do kosza.

– Raczej uszczegóławia wykładnię pojęcia, które ustawodawca sam zawarł w ustawie, czyli „służby na rzecz totalitarnego państwa”. Nie każda forma pracy dla tych organów jest „służbą na rzecz totalitarnego państwa”.

SN uchwalili, że żeby obniżyć emeryturę, trzeba przesłuchać osobę, której sprawa dotyczy, przeanalizować akta IPN. To często bardzo proste sprawy, do rozstrzygnięcia podczas jednej rozprawy. Sąd pyta, co człowiek robił, czy werbował kogoś, czy był zaangażowany w czynności operacyjne. Akta są w IPN. Wiadomo, gdzie ci ludzie byli na placówce, czym się zajmowali. Są świadectwa, raporty.

Sąd jest po to, żeby każdy przypadek jednostkowo ocenić. I zdarzyło mi się wygrać sprawę pana, który był w jednostce faktycznie nieciekawej z punktu widzenia ustawy, to jest zajmującej się inwigilacją opozycji. Już raz obniżono mu emeryturę i przedstawiając obszerną argumentację, sąd orzekł, że nie wolno robić tego ponownie, stanowi to bowiem podwójne karanie i jako takie jest sprzeczne z ustawą zasadniczą.

Skoro TK zwleka z wyrokiem, wszystko leży w gestii konkretnego sędziego.

– W identycznych sprawach wyroki zapadają różne, nawet w tym samym sądzie. Często, gdy widzę nazwisko sędziego, to już wiem, jaki będzie wyrok. Tak nie powinno być.

No i w wyniku przepisów covidowych sądy apelacyjne orzekają na posiedzeniach niejawnych w jednoosobowych składach. Jeśli mamy pecha i trafiamy na sędziego, który ma wyrobione bardzo negatywne dla strony zdanie, to nie ma go kto przegłosować.

Te sprawy będą się kończyć pewnie w Sądzie Najwyższym, czyli strony znowu będą składać skargi kasacyjne. Sprawy mogą też znowu dojść do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. I Trybunał w Strasburgu będzie musiał stwierdzić, czy taka ingerencja w emeryturę jest zgodna z europejską konwencją praw człowieka.

Zdaniem Pomfreta, gdyby Polska tak ochoczo nie zaangażowała się we współpracę z CIA, gdyby nie dysponowała

unikalną wiedzą i kontaktami na Bliskim Wschodzie czy w Korei Północnej, odziedziczonymi właśnie po Układzie Warszawskim, to nie weszlibyśmy tak szybko do NATO, nie mielibyśmy amerykańskiego wsparcia przy negocjacjach z Unią Europejską, nie pociągnęlibyśmy za sobą krajów regionu. A więc gdyby nie ludzie tacy jak część twoich klientów, bylibyśmy dzisiaj w sytuacji podobnej do Ukrainy.

– Tak przekonuje Pomfert i do jego zdania się przychylam. Nasza historia nie jest czarno-biała. Rozliczenia z komunistyczną przeszłością wciąż stanowią pole do popisu dla historyków, wychodzi jednak na to, że potrzebny był amerykański dziennikarz, aby sukcesy polskich oficerów wywiadu stały się przedmiotem publicznej dyskusji.

A co do sytuacji Polski w świecie, zapytaj któregoś z „geopolityków”. Ja jako adwokat skupiam się na dochodzeniu praw klientów. ●



*Jan Dudzik

● adwokat, partner z warszawskiego biura kancelarii Sowisło Topolewski z Poznania. Reprezentuje około setki byłych oficerów wywiadu cywilnego PRL, których dotknęła ustawa dezubekizacyjna

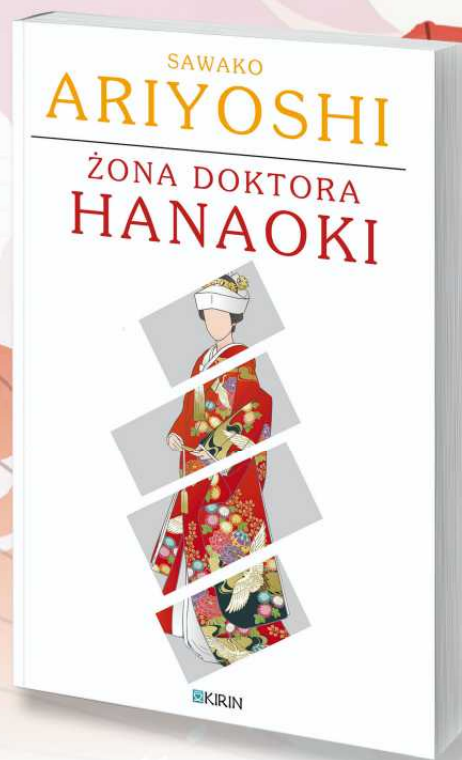
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

**Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę**

2.

**Fragmentu książki
„Żona doktora Hanaoki”
Sawako Ariyoshiego**



Hanaoka Seishū był wybitnym japońskim chirurgiem, który jako pierwszy na świecie opracował skuteczny anestetyk. Dzięki temu stał się także pionierem zabiegów w znieczuleniu ogólnym – usuwania nowotworów, amputacji, a nawet operacji plastycznych.

Jednak historia jego sukcesów to także historia cierpienia i ogromu poświęcenia kobiet w jego otoczeniu, na których przeprowadzał eksperymenty. Autorka w swojej powieści składa im hołd, czyniąc je swoimi głównymi bohaterkami.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Żona doktora Hanaoki” Sawako Ariyoshiego oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

ZDHS22

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

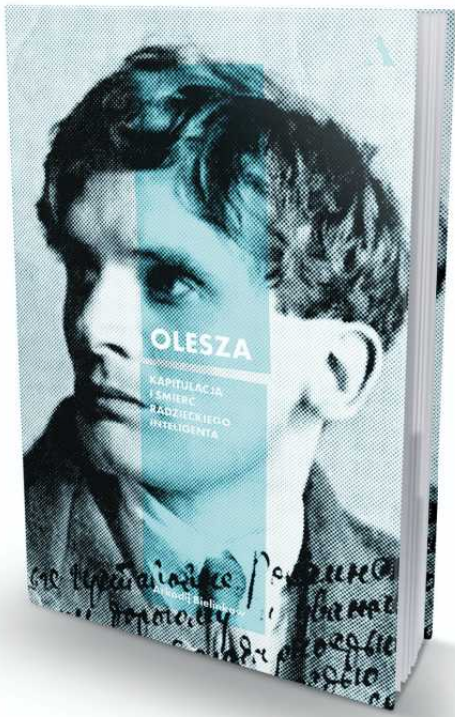
Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

CO MNIE URZEKŁO

Jestem tylko nazywaczem rzeczy

Słyszeliście o Oleszy? Nie?
Jerofiejew daje mu ocenę wyższą
od oceny Bułhakowa

MARIAN SWORZEŃ*



Arkadij Bielikow, „Olesza. Kapitulacja i śmierć radzieckiego inteligenta”, przełożył i wstępem opatrzył Jerzy Czech, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2021.

Brochwicz. Posiadłość Juniszczę na Polesiu została przeputana w karty przez głowę rodu.

Do szkół Olesza chodził w Odessie. Jako dziecko był świadkiem odeskich niepokojów 1905 r., a na początku studiów – wydarzeń po 1917 r., kiedy przez miasto przewalały się wojska wszystkich armii. Jego bliski kolega, Katajew, późniejszy autor „Samotnego białego żagla”, miał „biały” epizod, on sam – nie (było mu dzięki temu w nowych czasach łatwiej).

Mając za sobą literackie próby, doskonale odnalazł się w moskiewskiej redakcji pisma „Gudok” (Gwizdek), przez które przewędrowała cała plejada młodych twórców, w tym Zoszczenko i Bułhakow.

W 1927 r. ukazała się jego pierwsza powieść „Zawiść” z nieporadnym inteligentem w roli głównej, a w roku następnym – „Trzech grubasów”. O ile „Zawiść” nie przyniosła mu profitów, o tyle „Grubasy” – tak, bo z uwagi na jej adresata (dzieci) oraz popularność miała sceniczne i filmowe adaptacje.

W tle tych utworów niemal niewidoczne jest niewielkie opowiadanie, któremu we własnej książce o Kanale Białomorskim („Czarna ikona – Bielomor”) przypisałem rolę znaczącą. To opowiadanie „Materiał ludzki”, w którym Olesza użył określenia „inżynier materiału ludzkiego”. To ono jesienią 1932 r., za sprawą Stalina, ulegnie „pieriekowce” w obowiązkowy tytuł radzieckiego pisarza, od tej pory „inżyniera dusz ludzkich”.

Zaryzykuję autocytat: „Inżynierowie dusz zrobili karierę... Wcale nie architekt, nie rzeźbiarz, kowal, snycerz czy zegarmistrz, ale inżynier został wyznaczony na opiekuna ludzkiej materii i tego, co ją ożywia: duszy. Duszy, w której – notabene – system bolszewicki nie wierzył”.

Pisze Bielikow, że Olesza „to pisarz lat dwudziestych. W trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych nie zdarzyło się z nim nic, co byłoby dziwne, niespodziewane i nietypowe dla literatury epoki”.

Okres monstualnego rozrostu nieprawdy w tym czasie obrazuje

wyłoszona z maestrią wyliczanka: „Kłamstwo prezentowało się, przedstawiało, podawało, proponowało, pompowało, przesączało, podsuwało, wsuwało, wciskało i wkręcało nie jednorazowo, jak zapomoga, ale jak comiesięczna zapłata za wierną służbę”.

Wydumany wówczas twór propagandowy, któremu było dane przetrwać wiele lat (w Polsce też), znalazł u Bielikowa kapitalną definicję: „Realizm socjalistyczny to taka sztuka, która jest zrozumiała i podoba się kierownictwu partii w okresach między plenami poświęconymi problemom ideologii”.

Lata 30. były dla Oleszy okresem innym niż dla znajomych z dawnych lat, obecnie prominentnych pisarzy – oni materialnie brylowali (Katajew jeździł po Moskwie nowym fordem), u Oleszy było skromnie. Został członkiem nowo powstałego Związku Pisarzy – na inauguracyjnym kongresie w 1934 r. odczytał holdowniczy apel.

Uczestniczył w literackich gierkach – w 1936 r. zaatakował Bułhakowa po scenicznej premierze jego „Moliera”, potem doszło do pogodzenia (trzy lata później żona Bułhakowa odnotowała w zapiskach restauracyjny incydent wywołany przez pijanego Oleszę). W 1937 r. był jednym z piszących artykuły o procesach politycznych tamtego czasu.

Wojeń spędził w Aszchabadzie, potem wrócił do Moskwy. Zmarł w tym samym roku co Pasternak, 1960. Pozostałe po nim zapiski są dostępne po polsku („Co dzień choć kilka słów”), podobnie jak wybór prozy („Pestka wiśni”).

Ze wspomnieniowych cytatów wybieram dwa: „Wydaje mi się, że jestem tylko nazywaczem rzeczy” i przedśmiertne zawołanie „Niech żyje świat beze mnie”, z opinii pisarzy nam współczesnych – wysoką ocenę Oleszy, wyższą od oceny Bułhakowa, w rankingu zestawionym przez Wiktora Jerofiejewa.

O to ostateczny osąd Bielikowa o Oleszy: „w zamyśle tej książki, w jej strukturze i fabule ukryta jest pewna fatalna tajemnica”. Jest nią nieodparcie surowe podsumowanie twórczości i postawy tego pisarza. Słowa Bielikowa można uznać za niesprawiedliwe, ale takie właśnie padły.

Primo: „Tragiczny los Jurija Oleszy, który z racji swojej artystycznej fizjologii był niewątpliwie pisarzem dużego kalibru, polega na tym, że takim pisarzem nie został”, bo „nigdy nic nie robił sam. Nie był człowiekiem z bio-

grafią, w której grał główną rolę. Był człowiekiem losu”.

Secundo: „Jurij Olesza jest po prostu stworzony po to, by stać się typowym przedstawicielem i obiektem najbardziej solidnego badania przez historię inteligencji rosyjskiej”.

Tertio: „Był pisarzem, który za przekonania nie cierpiał, bowiem jego przekonania nigdy w żadnym punkcie nie były odmienne od przekonani ludzi radzieckich”.

Dla Bielikowa Olesza nie był „świątym pisarzem”, byli nimi: Pasternak, Mandelsztam, Achmatowa, Babel, Płatonow, Zamiatin, Bułhakow. A podsumowanie zawierające ową „fatalną tajemnicę” znajdujemy w tym wyznaniu:

„Napisałem książkę o marnym człowieku (takim jak wszyscy z jego kręgu społecznego i pokolenia) i niezbyt dobrym pisarzu (takim jak wszyscy pisarze z jego kręgu społecznego i pokolenia), ponieważ zadanie historyka literatury widzę nie w analizie wybitnych utworów i wizji literackich, ale w badaniu przyczyn określających powstanie i charakter dzieła ściśle zależnego od wzajemnych relacji artysty i społeczeństwa”.

Dla tych literatów, którzy mogliby nań ruszyć z atakiem, uprzedzając zostawił pogardliwe słowa: „Już ja tam wiem, jak was demoralizowano przez dziesięciolecie. Mówiono, jacy jesteście niezwykli, wrażliwi, życzliwi, dobrzy, wymagający, surowi, i tym bardziej stawialiście się sługusami cudzych poglądów i cudzej woli”.

Do ataku nie doszło, gromy nie padły, bo książka w ZSRR nie została wydana. ●

*Marian Sworzeń – ur. w 1954 r., prawnik, pisarz, członek PEN Clubu. Autor książek „Dezyderata. Dzieje utworu, który stał się legendą”, „Opis krainy Gog”, „Czarna ikona – Bielomor. Kanał Białomorski. Dzieje. Ludzie. Słowa”.

Cały tekst: Wyborcza.pl/magazyn

W cyklu „Co mnie urzekło?”

opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub czymkolwiek...

Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

T

To nie jest książka wyłącznie o pisarzu Juriju Oleszy, to książka również o nim. I książka niełatwa – autor najpewniej zakładał, że czytelnik zna dobrze jego twórczość. Miłośnicy literatury w Moskwie w latach 60. ją znali, ale my czytamy go w Polsce ponad pół wieku później. Dlatego konieczna jest lektura doskonałego wstępu Jerzego Czecha, tłumacza książki Arkadija Bielikowa „Olesza. Kapitulacja i śmierć radzieckiego inteligenta”.

Z pisarstwem Bielikowa zetknąłem się w stanie wojennym, czytając jego „Kraj niewolników, kraj panów...”, wydany bezdebitowo przez krakowski KOS. Zapamiętałem, że autor poszedł do lagru za odczytanie w gronie kilku osób treści paktu Ribbentrop-Mołotow.

Bielinkow urodził się w Moskwie w 1921 r. Z uwagi na wadę serca nauka chłopca odbywała się w warunkach domowych, potem przyszedł czas na studia w Instytucie Literatury im. Gorkiego i na Uniwersytecie Moskiewskim. Po wybuchu wojny był krótko korespondentem prasowym.

W styczniu 1944 r. został aresztowany pod zarzutem agitacji antyradzieckiej – jego powieść „Brulion uczuć” zawierała fragmenty odnoszące się do paktu zawartego przez ministrów Hitlera i Stalina. Skazany latem 1944 r. na rozstrzelanie, ocalał dzięki wstawiennictwu kilku wpływowych pisarzy – wyrok zamieniono na osiem lat lagru.

Po donosie współwięźnia został skazany ponownie – wyrok z sierpnia 1951 r. opiewał tym razem na 25 lat. Pięć lat później przyszła amnestia.

W 1966 r. jego wystąpienie w dyskusji nad powieścią Solżenicyna „Oddział chorych na raka” trafiło na łamy rodzącego się samizdatu. W 1968 r. w piśmie „Bajkał” ukazały się dwa rozdziały jego książki o Oleszy.

W tymże roku zdecydował się na opuszczenie kraju. Z żoną uciekł z Węgier via Jugosławia do USA. Tam wykładał m.in. na Yale.

1 maja 1970 zobaczył pod oknami swego mieszkania w New Haven wielotysięczną demonstrację studentów niosących czerwone flagi. Był przerażony, że komunizm dotarł nawet tam – 14 maja już nie żył.

Bohater jego książki Jurij Olesza urodził się w Jelizawietgradzie w 1899 r. Po kilku latach Oleszowie przenieśli się do Odessy. Ze świadectw o ich majątku na terenie obecnej Białorusi wybieram wspomnienia Walentina Katajewa, który odnotował wygląd rodowego herbu

CZUŁE SŁÓWKA

Putinflacja

„Glapinflacja” to jest jedyna forma, która ewentualnie może mierzyć się z „putinflacją” ze względu na intensywność funkcji poetyckiej.



Roman Jakobson, wybitny językoznawca i teoretyk literatury, wprowadził do nauki o języku pojęcie funkcji poetyckiej. Nie występuje ona wyłącznie w literaturze pięknej: „Wszelkie próby zredukowania zakresu funkcji poetyckiej do samej poezji lub ograniczenia poezji tylko do funkcji poetyckiej byłyby błędnym uproszczeniem” – pisał. Funkcja ta, w uproszczeniu, polega na dokonywaniu przez nas – w czasie mówienia czy pisania – takich wyborów słownych, dzięki którym nasza wypowiedź lepiej brzmi. „Dla czego mówisz zawsze »Joan and Margery«, a nigdy »Margery and Joan«? – przytacza czyjś dialog Jakobson. – Czy wolisz Joan od jej siostry? – Ależ nie, tylko to gładziej brzmi”.

Podaje on także słynny slogan wyborczy Dwighta Eisenhowera (zwanego Ikiem), który pojawił się w telewizyjnym spocie przedwyborczym w 1952 roku. Brzmi on „I like Ike”. Jego autor dokonał wyboru: użył słabszego czasownika „like” zamiast „love”, ale sporo zyskał: dzięki temu slogan składa się z trzech rymujących się wyrazów. Po pierwsze, rym ma funkcję magiczną: bardziej wierzymy tym mądrościom ludowym, które mają formę rymowaną. Po drugie, słowo „Ike” mieści się w słowie „like”, dzięki czemu – jak pisał Jakobson – mamy wrażenie, że uczucie „w pełni obejmuje swój przedmiot”. Skoro przydomek kandydata na prezydenta nie tylko rymuje się ze słowem oznaczającym pozytywne uczucia, ale i zawiera się w tym słowie – to nie może być przypadek. Trzeba na niego zagłosować.

Oczywiście pod warunkiem, że wierzymy w magiczną funkcję języka, bo tak naprawdę mamy tu do czynienia ze sprytną insynuacją, przedstawiającą jako konieczne te związki między słowami i ich desygnatami, które są całkowicie przypadkowe, niemotywowane nawet etymologią. Zresztą 48 lat później próbowaliśmy i w naszym kraju posłużyć się podobnymi sloganami w czasie kampanii prezydenckiej. Sztab Mariana Krzaklewskiego wymyślił nie tylko hasło: „Krzak – tak”, ale i inne, druzgoczące jego kontrkandydata, Aleksandra Kwaśniewskiego: „Kwas – pas”. Może mniej

subtelne od sloganu Eisenhowera, ale pamiętajmy, że to były początki odrodzonej u nas po dłuższej przerwie demokracji. Okazało się ono umiarkowanie druzgoczące, bo Kwaśniewski wygrał wówczas wybory w pierwszej turze, a Krzaklewski zniknął z politycznej areny.

W ostatnich miesiącach nazwisko Władimira Putina uruchomiło znów funkcję poetycką – zarówno wśród protestujących przeciwko napaści na Ukrainę (o czym już pisałem), jak i w języku ekonomii czy polityki. Już w marcu tego roku, kilka tygodni po rozpoczęciu wojny, w amerykańskich mediach zaczęło pojawiać się słowo „putinflation”. W kwietniu prezydent USA Joe Biden stwierdził, że za wzrost cen benzyny odpowiedzialny jest COVID i Putin, przy czym „Rosyjska inwazja na Ukrainę przyczyniła się aż w 70 procentach do wzrostu inflacji w minionym miesiącu” – napisał 20 kwietnia na Twitterze. Nazwisko rosyjskiego przywódcy ze względu na końcówkę „-in” doskonale nadaje się do połączenia ze słowem „inflacja”, dzięki czemu odnosimy wrażenie, że między Putinem a inflacją istnieje jakaś naturalna łączność. A nawet, że efektem polityki Putina po prostu musiała być inflacja: kończąc wymawiać słowo „Putin”, automatycznie zaczynamy przecież wymawiać słowo „inflacja”.

W języku angielskim występuje także czasownik „tu put”, dzięki któremu możliwe są gry słów: „Biden tries to put inflation blame on Putin” – można przeczytać w prawicowej prasie amerykańskiej. Przeciwnicy Bidena są bowiem zdania, że obarcza on winą za inflację Putina, tymczasem – ich zdaniem – sam jest za nią odpowiedzialny. Stworzyli nawet stosowny neologizm: „bidenflacja”, nie stał się on jednak aż tak popularny jak „putinflacja”. Dlaczego? Abstrahując od faktów i mechanizmów ekonomicznych, winę za mniejszą popularność ponosi z pewnością nazwisko prezydenta: gdyby nazywał się „Bidin” – sytuacja wyglądałaby zgoła inaczej.

Do terminu „putinflacja” odniósł się także sam Władimir Putin. Na spotkaniu z młodymi przedsiębiorcami powiedział on: „Inflacja jest tam [na Zachodzie] nazywana moim imieniem. Nie mamy z nią absolutnie nic wspólnego. To wynik ich błędów, zwłaszcza tych długofalowych”. Wskazał też dwóch winnych globalnej inflacji: Stany Zjednoczone i Komisję Europejską oraz jej „krótkowzroczność”. Innymi słowy, za inflację odpowiedzialni są zachodni politycy, którzy nałożyli sankcje na Rosję: nie Putin ją wywołał, ale nie odpowiedzialne – jego zdaniem – reakcje na jego politykę. Mammy zatem do czynienia z czymś w rodzaju „antyputinflacji”.

Terminem „putinflacja” chętnie posługuje się także nasz rząd, z premierem Mateuszem Morawieckim na czele (po raz pierwszy użył go 9 kwietnia w Ożarowie Mazowieckim). Pyta-

ny o przyczyny inflacji w Polsce, mówi on wprost o putinflacji, czyli wskazuje jako jej przyczynę wyłącznie (lub głównie) wojnę w Ukrainie i wysokie ceny surowców energetycznych. Jest to – jak zauważa portal OKO.press – półprawda albo inaczej mówiąc: fałszywe uproszczenie. Czynniki wpływające na wzrost inflacji w Polsce jest przecież wiele, w tym polityka rządu i Narodowego Banku Polskiego. W wywiadzie udzielonym Radiu Wrocław 11 czerwca Morawiecki stwierdził jednak, że „inflacja jest zjawiskiem importowanym” – oprócz wojny w Ukrainie wymieniał jeszcze pandemię. Jest to strategia retoryczna polegająca na ograniczaniu wielu czynników wpływających na inflację do jednego czy dwóch, wygodnych politycznie – a więc rodzaj amplifikacji lub synekdochy (pars pro toto) – bo wymieniamy jeden, korzystny dla nas czynnik zamiast ich wachlarza.

Przeciwnicy Morawieckiego starają się, jak mogą, żebyśmy nie stracili z oczu pozostałych czynników. Także – językowo, wprowadzając takie terminy jak „socinflacja”, pokazujące, że jednym z owych czynników jest prospołeczna polityka rządu i wzrost świadczeń socjalnych (źle skonstruowane tarcze antyinflacyjne, 14. emerytura, obniżenie dolnej stawki PIT). „Socinflacja” jest jednak neologizmem jeszcze słabszym niż „bidenflacja”, w dodatku dość niejasnym (kojarzy się chyba przede wszystkim z socrealizmem), wymagającym przypisów, więc nie wrózę mu popularności.

O wiele lepiej brzmi „glapinflacja”, czyli sugestia, że za wzrost inflacji odpowiedzialna jest w dużej mierze polityka NBP z jego prezesem Adamem Glapińskim na czele. Ekonomisci twierdzą, że mógł on spowolnić tempo wzrostu cen, wcześniej podnosząc stopy procentowe, jednak zachowywał się tak, jakby nie dostrzegał inflacji, którą uważał zresztą za zjawisko przejściowe, a nawet twierdził, że grozi nam deflacja. Joana Solska w „Polityce” wytłumaczyła niedawno polityczne powody takiego zachowania Glapińskiego, czyli chęć taniego pożyczania od obywateli pieniędzy na rosnące wydatki socjalne (por. socinflacja). „Zanim wybuchła wojna – pisał Solska – tempo wzrostu cen już przekroczyło 9 proc. Więc dziś Morawiecki wskazuje kolejnego winnego, używając określenia putinflacja. Ale ona dopiero przed nami. Najpierw była, trzymając się nowomowy premiera, glapinflacja”.

I to jest jedyna forma, która ewentualnie może mierzyć się z „putinflacją” ze względu na intensywność funkcji poetyckiej. Romanowi Jakobsonowi z pewnością też by się spodobała. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

PO PRAWDZIE

Suwerenność

To niezły pretekst, by nie uznać wyborczej porażki i nie chcieć oddać władzy.

Agnieszka Kublik



Coś jest na rzeczy. Poukładajmy ostatnie wydarzenia.

1. Jarosław Kaczyński, wicepremier ds. bezpieczeństwa, odchodzi z rządu, kiedy Polska jest w bezprecedensowo trudnej sytuacji – wojny Rosji z Ukrainą. Kaczyński po prostu wybrał inną wojnę – swoją z Polską anty-PiS. Wcale tego nie ukrywa, wszak w rządzie był tylko, by utrzymać koalicję, czyli z pobudek partyjniackich (co mu się zresztą nie udało do końca, każde głosowanie to ruletka). Po złożeniu dymisji w PAP (to medium nie jest mu kula u nogi, jak wolne media) tłumaczył się tak: „Dzisiaj przebieg wojny jest taki, że nie wiadomo, kiedy się ona skończy. Natomiast mniej więcej wiadomo, kiedy będziemy mieli wybory [jesienią 2023 r.], w związku z tym musiałem wybrać i wybrałem. Muszę się skoncentrować na tym, co jest dla przyszłości Polski najważniejsze”. I nie jest to zatrzymanie inwazji Rosji. A więc co jest? Kaczyński: „To nie tak, że przeceniam swoją rolę, chodzi po prostu o to, że partia musi odzyskać werwę, bo zbliża się ten czas, który dla każdej partii politycznej na świecie jest najważniejszy”.

2. Kaczyński deprecjonuje wyroki sądu. To nic nowego, ale jego ostatni komentarz jest klarowny – uznaję tylko te wyroki sądu, które mi pasują. Warszawski sąd okręgowy ogłosił, iż Kazimierz Kujda, jeden z jego najbardziej zaufanych, złożył niezgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne. Kujda miał współpracować ze SB od 1979 r. jako „Ryszard”. Co sądzi Kaczyński (zresztą prawnik z wykształcenia): „Miałem okazję zapoznać się z tymi materiałami. Mam tutaj inne zdanie. Jak pan z całą pewnością wie, orzecznictwo sądów polskich jest przeze mnie od wielu lat bardzo zdecydowanie i jednoznacznie krytykowane”.

3. Premier Morawiecki w Spale, na spotkaniu z najwiewniejszymi wyborcami, czyli na zjeździe Klubów „Gazety Polskiej”, ostrzegł przed utratą przez Polskę suwerenności: **■** gdy Putin zmiażdży Ukrainę, przyjdzie po kolejne państwa, za rok, za dwa, za trzy, za pół roku, nie wiemy, przyjdzie po nas, po kraje bałtyckie; **■** gdy dojdzie do kryzysu, który miałby doprowadzić do odebrania Polsce suwerenności gospodarczej, który może doprowadzić do nieznanych perturbacji gospodarczych;

■ gdy przegramy wybory w przyszłym roku w październiku, to wtedy zobaczycie państwo, co oznacza prawdziwa utrata suwerenności. Czyli przegrana PiS to to samo, co utrata suwerenności.

4. PiS zapowiada przesunięcie wyborów samorządowych. Gdyby liczyli na zwycięstwo, oplacaloby im się szybko po parlamentarnych przeprowadzić samorządowe, bo wtedy działałaby efekt miodowego miesiąca, wyborcy chętniej popierają zwycięzców. Ale PiS chce przedłużyć kadencję samorządowców, co łamie prawne standardy, a wedle niektórych ekspertów i konstytucję (ale co z tego?). Jak to wszystko czytać? Między wierszami. Kaczyński przygotowuje się do rozpętania burzy, że wybory były nieuczciwe. Jeśli nie wygrają...

Suwerenność jest doskonałym pretekstem, by wtedy podważyć wyniki wyborów i nie uznawać decyzji Sądu Najwyższego, który potwierdza ich ważność. Kaczyński wtedy może chcieć rozpętać wojnę. I nie byłby to precedens. Pamiętacie listopad 2014 r.? Kaczyński był niezadowolony, to były kolejne jego przegrane wybory. Tym razem do samorządów. PiS, choć w sejmikach miało ciut lepszy wynik od PO, nie było w stanie samodzielnie rządzić. Sejmiki wzbudziły największe podejrzenia, bo aż 18 proc. oddanych głosów było nieważnych (czyli 2,5 mln). „Sfałszowaliście te wybory!” – krzyczał w Sejmie Kaczyński do rządzącej koalicji PO-PSL. Na miesięcznicy smoleńskiej: „Jeśli wybory są fałszowane, to wtedy nie ma już obywateli!”. A kilka dni później, 13 grudnia 2014 r., w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, maszerował z hasłem o sfałszowanych wyborach. W wywiadzie dla „Gazety Polskiej” grzmiał: „Kartka wyborcza przestała działać, została wyrwana z ręki wyborcy”.

A Joachim Brudziński oskarżał: „Koalicja odpowiada politycznie za fałszerstwa wyborcze, najważniejsze nieprawidłowości w wyborach to dosypywanie kart do urn i stawianie na nich dodatkowych krzyżyków, a także przekupstwa wyborcze za oddanie głosu na kandydata”. W grudniu 2014 r. na wniosek europosłów PiS doszło do „wysłuchania publicznego” w europarlamencie. I nie był to „donos na Polskę”, jak dziś PiS nazywa debatę o Polsce w PE. „Chcę, by Polska była Europą i nie Białorusią” – to cytat z ówczesnego Brudzińskiego. Fundacja Batorego sprawdziła te nieważne głosy, bo to one miały być sfałszowane. Eksperci ustalili, że prawie połowę stanowiły puste karty (wielu obywateli nie jest zainteresowanych sejmikami, więc wrzuca do urn karty niewypełnione), pozostała część to karty, na których głosujący postawili więcej niż jeden krzyżyk (najpewniej z powodu niejasnej instrukcji głosowania dołączonej do broszury z nazwiskami kandydatów). Wybory dają legitymację do sprawowania władzy, tylko kiedy PiS triumfuje. Ale te wybory pewnie naprawdę będą nieuczciwe. Bo nie ma uczciwych wyborów, gdy Kaczyńskiemu służy tak wielka armia mediów od niego finansowo zależnych. ●

Wiem, kto jest prawdziwym kanclerzem

Niech Państwo odłożą ten felieton. Inflacja, Ziobro, po co jeszcze się denerwować.

Parys



Po półrocznej nieobecności w życiu publicznym już nie kanclerz, ale obywatelka Angela Merkel udzieliła wywiadu „Der Spiegel”. Spotkanie odbyło się w Ensemble Theater w Berlinie w obecności widowni. Wszystkie miejsca zajęte, twarze przejęte, aura jak na premierze „Makbeta”.

Za czasów jej urzędowania rzadko kto pamiętał, że kanclerz wychowała się we wschodnich Niemczech. To kariera, której chyba nikomu ze wschodniej Europy poza córką pastora Angelą Merkel i byłym duchownym Joachimem Gauckiem nie uda się powtórzyć. Merkel i Gauck dorastali w reżimie, a po upadku muru osiągnęli najwyższe stanowiska. Nie tylko literalnie, bo osiągnęło je wielu ludzi, chodzi o coś więcej: o respekt. Poważanie. I o coś jeszcze, co trudno Polakom zrozumieć. Merkel jest pierwszą kobietą kanclerz w historii Niemiec, jedną z najdłużej rządzących (16 lat), a Joachim Gauck jednym z najbardziej ulubionych prezydentów Niemiec.

Wyjaśnienie dla tych, którzy nie orientują się w głębokości przepaści między wschodem a zachodem Niemiec – ani Merkel, ani Gauck nigdy nie funkcjonowali w opinii zachodniej Europy jako ci ze Wschodu. Nie byli postrzegani jako głupsi, gorsi, słabsi. Nikt nie patrzył na nich przez pryzmat NRD. Osiągnąć coś takiego w Europie to prawie tyle samo, co być Obamą i zostać pierwszym czarnym prezydentem w Stanach Zjednoczonych.

Przynieśli z tego Wschodu wszystko, co najlepsze. To, co dla innych jest kompleksem, w ich przypadku było atutem. Weszli w nowy porządek bez poczucia bycia gorszym i połączyli natychmiast w jedno godne z tym, co w opinii Europy uchodzi za szlachetne. Kiedy mówisz „Merkel”, od razu wiesz, że to była kanclerz, a nie „ta ze Wschodu”, kiedy widzisz Gaucka, natychmiast wiesz, że to były prezydent, a nie „ten ze Wschodu”. Kiedy widzisz Obamę, nie mówisz „ten czarny polityk”, mówisz po prostu „prezydent”.

Ale kto myśli, że będę pisała dalej w ten deseń, srogo się rozczaruje.

Za asumpt do spotkania posłużyła książeczka zawierająca trzy przemówienia poświęcone głównym tematom jej urzędowania: odpowiedzialność Niemiec, zjednoczenie Niemiec oraz migracje.

„Więc jaki jest mój kraj?” ukazało się w listopadzie, lecz w Niemczech książki to nie motyle, żyją długo i intensywnie. Książkę wydał Aufbau Verlag, największe wschodnioniemieckie wydawnictwo za NRD i jedno z niewielu, które przetrwało zjednoczenie. Była kanclerz pojawiła się w teatrze założonym przez Brechta we wschodniej części Berlina przy ulicy Brechta, zgodziła się na rozmowę z Alexandrem Osangiem, który też pochodzi ze wschodniej części Niemiec. Po zdaniu urzędu udała się na pięć tygodni nad Bałtyk, na wschodzie.

Na pytanie, czemu nie na przykład nad Morze Północne na zachodzie, odpowiedziała, że wybrała swój krąg wyborczy, bo ludzie są tam do niej przyzwyczajeni i nikt słowem nie piśnie prasie.

Następnie udała się do Florencji, chciała przyjrzeć się dokładniej renesansowi, bez którego – jak przypomina – nie byłoby przecież oświecenia, czyli podwalin demokracji. Tu Osang przypomina słowa ambasadora Ukrainy Andrija Melnyka, który tweetował, żeby zamiast prażyć się we włoskim słońcu, Merkel przyjechała zobaczyć, co wydarzyło się w Buczy. Osang wie, jak pytać, portretował Merkel w „Spieglu” kilka razy, i to tak dosadnie, że przestała z nim rozmawiać. Niby ją wypytuje, jak sobie radzi w nowej roli, co tam u niej słychać, ale wszyscy wiemy, że to tylko rozgrzewka przed pytaniami o Ukrainę.

Merkel pozbyła się kanclerskiej zbroi, ale zwierzcia politycznego z siebie nie wygoni. Jest pewniejsza siebie, stroi miny, gestykuluje, potrafi parodiować. Mówi, że nie ma do Melnyka żalu, że trzeba go zrozumieć, w Ukrainie jest straszna wojna. Myślę sobie, czegoś się nauczyła, jest lepsza jako polityk, będąc obywatelką Merkel, niż kiedy była kanclerzem. Choć przyznać trzeba, że przeszła przez urząd bez dwóch wież, bez kochanków, bez pokątnych milionów. Lecz Merkel mówi dalej i już po chwili o tym zapominam.

Osang podrzuca kolejne pytania od Melnyka, Merkel na to, że chciała dobrze, ale nie wszystko wyszło. Wciąż wraca do 2014 roku i protokołu mińskiego o obustronnym zawieszeniu broni we wschodniej Ukrainie. Niestety, umowa konfliktu nie zakończyła, więc podpisano Mińsk II. Merkel mówi o tym Mińsku tyle, jakby się jej coś udało. A przecież wojna w Donbasie jest, jak była, Krymu w Ukrainie jak nie ma, tak nie ma. Ze zmian jedynie tyle, że zielone ludziki noszą teraz „Z” na plecach i zabijają na większą skalę. W końcu pada pytanie, na które nie tylko ja czekam. „Czy gdyby pani mogła przeprosić, czy jest jakiś rodzaj przeprosin?”.

Nie ma.
Aha.
Osang milczy. Cisza na widowni.
Merkel nie uważa, że ma za co przeproszać. Przeprosiła podczas pandemii w trakcie Świąt Wielkanocnych za niewłaściwe decyzje w sprawie handlowej niedzieli. W przypadku Ukrainy nie będzie przeproszać.

Nie siedzę na widowni w teatrze Brechta, zawsze był mi bliższy Berlin po zachodniej stronie. Oglądam relację w telewizji. Trudno mi słuchać obywatelki emerytki Merkel, wyłączam. Do końca jutro na YouTube. Państwo też niech odłożą na chwilę ten felieton. Drożyna, huragany, upały, Ziobro, po co się denerwować jeszcze bardziej.

Merkel współczuje Ukrainie, chwali waleczną postawę, podziwia prezydenta Zelenskiego. Zdecydowanie potępia Rosję. Widać, że mówi szczerze i z empatią. Tylko co z tego. Uzależniła Niemcy energetycznie od Rosji, po pierwszej inwazji w 2014 roku opowiedziała się za gazociągami Nord Stream 2, pozostawiła po sobie niefunkcjonującą Bundeswehre i słabo rozwinięty sektor odnawialnych źródeł energii, za jej kadencji doszło do sprzedaży magazynów gazu Putinowi. Codziennie w radio w podcastach i w telewizji słucham bufoniastych polityków z CDU i SPD i myślę, co by jej zaszkodzi-

ło, gdyby powiedziała: nasza polityka nie była dalekowzroczna. Fatalne podjęłam decyzje. Próbowałam, spotykałam się z Putinem, ale nie udało się mi. Postępowałam naiwnie.

Wiem, rozpedziłam się. Jeszcze się taki polityk nie urodził i nie urodzi, który weźmie na siebie współodpowiedzialność za winy. A co dopiero za przyczynienie się do wojny! A jednak to słowa, które chcielibyśmy usłyszeć w Ukrainie, w Polsce i Europie Wschodniej.

Można wybrać też opcję, na którą zdecydował się Frank-Walter Steinmeier. Aktualny prezydent w przeszłości stał na czele resortu spraw zagranicznych, w kwietniu przyznał, że błędem była jego przyjazna polityka wobec Rosji. „Moje obstawanie przy Nord Stream 2 było ewidentnym błędem”. Z kręgów Merkel słychać było zaskoczenie tą samokrytyką, a nawet komentarz „szkoda”. Skoro „szkoda”, to można by oczekiwać, że Merkel zapyta: Co mogłabym dzisiaj zrobić? Może mogę pomóc?

Zamiast tego usłyszeliśmy, że Merkel ufa kanclerzowi Scholzowi, przekazała władzę w dobre ręce. Nie widzi powodu, żeby się wtrącać.

Merkel przeprosiła za pandemiczną Wielkanoc, w przypadku Nord Stream 2, słabej Bundeswehry i Ukrainy nie uważa, że jest za co przeproszać

I dlatego Angela Merkel wpisuje się w ten sam nurt, co Gerhard Schröder i jemu podobni koledzy. Jedni się zhańbili więcej, inni mniej, ale wszyscy uprawiają ten sam rodzaj polityki. I dlatego wielkie niemieckie partie, takie jak CDU i SPD, powoli przestaną istnieć. Uprawiają komunikację z wyborcą, która drażni i irytuje. Na spotkanie z Merkel przyszła publiczność, która ją ceni i szanuje, ale oklaski pojawiały się tylko wtedy, kiedy mowa była o sprawach wielkich i fundamentalnych. Ani razu nie otrzymała braw za swoją politykę.

Niemcy są konserwatywni i nie lubią zmian, jednak kiedy na zmianę boją się zarazy, wojny, głodu i zimy, przekonać może ich już tylko prawda. Niebezpieczeństwo nie jest dzisiaj traktować obywateli jak łatwowiernych kretyków. Zrozumieli to politycy Zielonych. Robert Habeck, minister gospodarki i ochrony klimatu oraz wicekanclerz, postawił na zbliżenie i szczerość. Będzie ciężko, będzie drogo i być może zimno. Kryzys energetyczny może okazać się gorszy niż pandemia. Zrobi wszystko, co może, ale stuprocentowej gwarancji, że się uda – nie ma.

Przyznam, że to jego bycie bardziej człowiekiem niż politykiem trochę mnie przeraziło. Ujrzałam bladego mężczyznę, któremu trzęsły się ręce i głos się łamał. W czasach kryzysu nie najlepiej, przyznacie sami. Biorąc pod uwa-

gę, że kanclerz Scholz rzadko wychodzi zza biurka i nie brata się z obywatelem, przez krótką chwilę zateśkniłam za silnym politykiem przy sterze.

Ale już w następnych dniach Habeck zaczął działać. Na kaca najlepsza praca. Wędrował po całym świecie i szukał energetycznych rozwiązań dla Niemiec. W kryzysie sprawdzają się działania i kontakt z obywatelem; hej! jestem tutaj, robię to i to, szukam rozwiązań, nie zawsze się udaje, ale szukam dalej.

Habeck jeździ tam, gdzie go lubią i nie lubią. Na przykład do fabryk, którym wskutek sankcji grożą masowe zwolnienia. Dyskutuje, pyta, słucha. Niczego wam nie mogę obiecać, ale będę się starał. Powiedźcie mi, jak możemy sobie nawzajem pomóc.

Habeck to wschodząca gwiazda. Wicekanclerz, a jak kanclerz. Podobnie Annalena Baerbock. Na spotkaniu z Ławrowem minister spraw zagranicznych wyglądała, jak gdyby za chwilę miała skoczyć mu do oczu. Suwerenna, odważna i pewna siebie. Kanclerz Scholz swoje, ona po swojemu. Inna generacja, inna komunikacja. Była jedną z pierwszych europejskich polityków, która pojecha-

ła do Ukrainy. Początkowo wyśmiewana, wyszydzona (wciąż ludzę się, że nie dlatego, że jest młoda i że jest kobietą) pomimo niełatwego ministerstwa – rozkwita.

Przed wyborami i podczas kampanii Zieloni jako jedyna partia ostrzegali przed Putinem i przed energetycznym uzależnieniem od Rosji, walili prawdę z mostu. Po inwazji Rosji na Ukrainę mówili to samo. Efekt? Cieszą się największą popularnością wśród Niemców. Jak to było? Z prawdą łatwiej.

Otwieram książeczkę Merkel i czytam ostatnie zdanie z mojego ulubionego przemówienia:

„Więc jaki jest mój kraj? To kraj, w którym wszyscy wciąż uczą się od siebie nawzajem czegoś nowego”. ●

Magdalena Parys

Kiedy wybuchła pandemia, wielu z nas uciekło w książki. Gdy wybuchła wojna, wielu z nas nie mogło czytać. W tę sobotę o 18 na Big Book Festival **Magdalena Parys, Krzysztof Varga i Agata Passent** podyskutują o tym, literatura to balsam na każdy kryzys i jacy pisarze najlepiej tulą nasze niepokoje. Zapraszamy do klubokawiarni **Mała Warszawa** przy **ul. Otwockiej 14** w Warszawie.

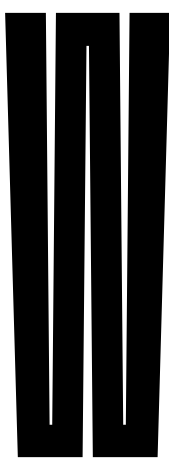
wyborcza | **magazyn wyborczej** **WOLNA SOBOTA**

REDAKCJA ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





Kijowie niby już normalnie, ale ludzi jakby polowa, wojska mnóstwo. Znajoma z Ukrainy była ostatnio w Warszawie. „Kraj szczęśliwych ludzi” – pisała potem.

No więc Kijów. Lekkie podniecenie, bo nadjeżdżają Emmanuel Macron, Olaf Scholz i Mario Draghi. Byli sobie Francuz, Włoch i Niemiec. Jednym pociągami jechali. Kolejnym jechał Klaus Iohannis, prezy-

dent Rumunii.

Tu i tam – worki z piaskiem i to wojsko. Mundury piaskowe, choć akurat tu powinny mieć raczej jaskrawozielone, bo soczysta zieleń krajobrazu bije po oczach.

Jedziemy z Siarhijem do niego, do Buczy. Siarhij, nie Serhij, bo urodził się na Białorusi. Poeta, tłumacz. Jedziemy przez blokposty, żołnierze machnięciem przepuszczają, bez dokumentów. Na dworcu w Kijowie przy wejściu skanują plecaki i walizki i w ten sposób Ukraina dołączyła do świata, gdzie robi się podobnie: Rosji, Kazachstanu, Turcji. Z paranoi. Tylko że na Ukrainie to nie paranoja.

– O – pokazuje Siarhij – odtąd już Moskale okupowali. Tu patrz: zburzone. Tu – spalone. Tam – z działka transportera opancerzonego.

– A to?

– A tu, tę restaurację – mówi Siarhij – to spalili już po wyzwoleniu. Nie wiadomo kto: mafia, konkurencja, sąsiedzi.

Jabłńska ulica. Tutaj zrobili sobie jedną z baz. Tu brali tych, którzy im się podobali. Szukali tych, którzy służyli na Donbasie. Albo tych, którzy mieli „faszystowskie” tatuaże. Czyli na przykład oficjalny herb Ukrainy. Strzał w głowę, czasem w pierś. Niektórych torturowali.

– A wy?

– Próbowaliśmy przeżyć. Widzisz to?

– pyta, pokazując coś w rodzaju paleniska otoczonego ceglami.

– No? Miejsce na robienie szaszłyków?

– pytam. – W poradzieci ludzie lubią robić szaszłyki.

– Jakie szaszłyki. Nic nie było, gaz odłączony, a tu zima, jeść trzeba, dzieci są. Więc tu, o, na tym, gotowaliśmy zupę. Po kolei, wszyscy sąsiedzi. W piwnicach się siedziało, jak strzelali. Albo w wannie. Albo w korytarzu, pomiędzy najmocniejszymi ścianami nośnymi. Małe dzieci to mały problem: jak tata czy mama powie, że będzie dobrze, że nasi żołnierze pogonią okupantów – to spoko. Gorzej te starsze. Placzą. Mówią, że zaraz śmierć. Chcą się żegnać z rodzicami, z rodzeństwem. A ty – rodzic. Czujesz się bezsilnie. Bo co zrobisz: obronisz przed samolotami, helikopterami, czołgami? Tymi rakietami, co ci nad głową latają?

ILE MOŻNA WYPIĆ NA WOJNIE?

Dziś, w czwartek, upalny dzień, pod blokiem Siarhija dzieciaki się bawią. W blokpost. Czyli checkpoint. Zatrzymują samochody. Mówią, że zbierają na Siły Zbrojne Ukrainy. Ludzie się śmieją i im dają. Wiedzą, że na czipsy, ale niech się cieszą. Sąsiadki Siarhija, siwe, sędziwe matrony, głoszą: nie dawać im! Bo one potem te pieniądze dają swoim rodzicom! A to alka-sze! Oni, o, w tym bloku mieszkają, starym, sowieckim!

Bo na osiedlu Siarhija stała stara sowiecka chruszczowka, a wokół niej w latach dwutysięcznych pobudowano bloki. I z nowych patrzą i nosami kręcą, że w starych to element, nic, tylko piją! Alkasze!

Bucza to się robił lepszy świat i tak o sobie buczanie myśleli. Bogate przedmieście Kijowa. Taki trochę Konstancin. I tam, w tym Konstancinie, mordowali i torturowali ludzi, okradali mieszkania. Na klatce Siarhija wszystkie drzwi noszą ślady łomu.

PŁONĄCA ŻYRAFA SPOD KIJOWA

Rosjanie szabrują mieszkania,
czyli ile można wypić po wojnie

Ziemowit Szczerek



– Co ci ukradli? – pytam Siarhija, który otwiera drzwi kluczem, bo u niego też widać ślady łomu. Teraz się nie domykają.

– Nic – mówi Siarhij. – Bo my na dziesiątym piętrze. A oni, ci Rosjanie, mieszkali na pierwszym, drugim. I najpierw kradli to, co na tych niższych. Patrz: wódki mi nawet nie zabrali, a chwilę przed wojną zrobiłem taką fajną na jabłkach. Bierzesz normalną wódkę, niedrogą, zalewasz nią jabłko, chwilę postoi – pycha. A ja chwilę przed wojną zrobiłem. Pewnie dzięki sąsiadowi z szóstego, bo zbierał różne alkohole. Okradli go pierwszego. Ile mogą pić? Wywrócili mi mieszkanie do góry nogami, bo szukali pieniędzy, może biżuterii. Porozpieprzali stare laptopy.

– Był taki jeden w Buczy – mówił wcześniej Leś, użhorodzki pisarz, który w Kijowie mieszka – co miał księgarnię. I całą okupację, kurwa, przeżył w spokoju, bo Ruscy do księgarni nawet nie weszli.

Rozlewamy Siarhijową wódkę. Patrzymy na panoramę dookoła bloku: z korytarza z okna widać lotnisko w Hostomlu. I ten wielki hangar, w którym stała rozwalona mrija, największy samolot świata, dumy Ukrainy. A potem na drugą stronę bloku, na balkon, żeby zapalić. I patrzymy na tę chruszczówkę otoczoną nowymi blokami. Bo Siarhij też w tych nowszych mieszka. I też trochę narzeka, że alkasze.

– Tamtędy jechała kolumna Rosjan – pokazuje drogę wzdłuż osiedla domków jednorodzinnych. I się zaczęło. Wylapywanie ludzi z list proskrypcyjnych. Wylapywanie „faszystów”. Albo zwykłych żołnierzy służących w obronie swojego państwa. Przeszukiwania mieszkań. Gwałty na kobietach. Tortury. Wiązanie rąk z tyłu. Strzały w tył głowy.

**Wlaź na przyczepę,
strzelił z granatnika
i zlikwidował całą kolumnę
– trafił w cysternę**

Ogólnie rzecz biorąc, w Buczy już raczej to, co można było ogarnąć – ogarnięte. Wszystko, co się da posprzątać – posprzątano. Życie wraca. Supermarket przy miejscu, z którego w czasie okupacji szła ewakuacja do Kijowa – już pełen towarów.

A przecież niedawno Rosjanie go prawie doszczętnie obrabowali. Ciała zabitych, które wojenni zbrodniarze pozostawili na ulicy – ekshumowane i pochowane.

– Tu rodzina cała – mówi Leś. – Tu nastolatek. Tu dwudziestolatek. A ten wywoził rodzinę, wrócił potem do domu. Rosjanie podjechali i go zastrzelili.

Ukraińscy żołnierze kopią rowy obronne. Na wszelki wypadek. Jedna linia, druga linia, trzecia i tak dalej. Pomiędzy liniami – bloki. Nowe często. Świeżuteńkie. Wybudowane chwilę przed wojną. To dobre terytory na inwestycje, bo blisko miasta.

Leś: – Teraz w Kijowie ceny wynajmu spadły o połowę. Ale to chaos na razie i diabli wiedzą, jak będzie. Bo różnie bywa: jak byłem w Mariupolu w piętnastym roku, na tym osiedlu, co ostrzelali Rosjanie, to poszliśmy do agencji nieruchomości i pytamy, jak ceny. To nam powiedzieli, że wysokie i że pewnie jeszcze będą rosły. Jak to będą rosły, pytamy. Tu rakiety przecież latają. Będą rosły, mówią, bo powietrze czyste.

TALONÓW OD RUSKICH NIE WEŹMIEMY

Dalej od Buczy leży Borodziańska. Też nie miała szczęścia: to poradzieckie miasteczko, z wysokimi blokami. Wielu już nie ma: poleciały na nie bomby i rakiety. Nie bardzo wiadomo dlaczego: koszar tu nie było ani żadnych instalacji.

Te bloki, które widać z każdego prawie punktu w centrum miasteczka, naprawdę przerażająco wyglądają. Obnażone klatki schodowe, łazienki, ubikacje, pokoje. Gruz pozbierany, ale tu czerwony garnek, tu materac na połamanym drzewie. Kawalki ludzkich żyć w jeszcze mniejszych.

Ale już działa fryzjer, tylko wody w nim nie ma. Jest wiaderko, trzeba garnuszkiem nabierać. Wchodzi żołnierz, chce się ostrzyc, ale widzi, że kolejka, to się cofa.

– A nie, nie – mówią do żołnierza fryzjerki – tu już wszyscy obsłużeni, chwilkę trzeba poczekać. Wojska byśmy nie ostrzygli? Przy was to my się czujemy bezpiecznie.

– No – śmieje się żołnierz. – Ja też się czułem bezpiecznie, dopóki do wojska nie poszedłem.

Fryzjerki też się śmieją, ale ochrzaniają żołnierza, że im humor psuje. Żołnierz ze śmiechem przeprasza.

– Obronimy, obronimy – powtarza. Pod innym spalonym blokiem budka-kawiarenka w tanim, ale ładnym, hipsterskim stylu. Starszy facet bez nogi i młody chłopaczek na kawę sobie przyszli. Siedzą przy stoliku na zielonej wykładzinie udającej trawę. Pomoc? Jakaś jest. Ale najlepiej to na siebie liczyć, bo na kogo. Jakaś dziewczyna ładuje zakupy do samochodu. Pod spalonym dziesięciopiętrowym blokiem boisko: chłopaki grają w kosza. I kolorowy plac zabaw, taki w „zachodnim” stylu: małe dzieci biegają po zjeżdżalni, huśtają się na huśtawkach. Jakaś młoda rodzina pcha wózek. Zieleni aż bije w niebo.

Spalony posterunek policji, a dalej – stadion: skromny, ale z przyszyżoną murawą, a za stadionem – tymczasowe miasteczko całkiem estetycznych baraków. Premier Morawiecki przyjeżdżał je otwierać, bo to za pieniądze polskiego rządu. Wymalowane tu i tam flagi Polski i Ukrainy. W środku naklejki: zrealizowano z Funduszu Zasobów Strategicznych.

– Nie jest źle, tylko z internetem ciężko – mówi pan Iwan, który tam mieszka, na oko pięćdziesiątka, ogorzały, wyszedł na papierosa. – No i na razie jest za darmo, powiedzieli, że do jesieni, ale już mer kombinuje, jak powoli jakieś opłaty wprowadzać. Tu każdy chce czyjaś koszulę na siebie ciągnąć, wiecie, jak jest.

Pani w podomce też wyszła na chwilę: – Czysto, ale ciasno trochę: na dwunastu kwadratowych metrach po trzy-cztery osoby. Kuchnia czysta, ale wspólna. Toalety, prysznice też. No ale cóż, dobre i to.

Długie, ciemne korytarze, trochę to wygląda jak nowoczesne miasteczko wojskowe. Polskie orły na tablicach informacyjnych, napisy, że „Kancelaria Prezesa Rady Ministrów”. I ogólna przyjaźń polsko-ukraińska.

Potem znów las i znów okopy. Tu i tam jakiś spalony wóz bojowy. Asfalt od czasu do czasu zryty gąsienicami. A czasem tradycyjne dziury. Ale to na bocznych, bo na „warszawce” wszystko okej. Porządny już asfalt. Iwanków, kolejne miasteczko.

– Przyjechały orki – opowiadają starsze panie, całe w soczystej zieleni sielskich przedmiotów – i zaczęły się rządzić. Oj, co to było.

– Chleb chcieli nam dawać na talony – dodaje jedna, ciemnowłosa, oparta o rower – no to ja mówię: nie ma mowy! Ja niczego nie podpiszę swoimi danymi! Ja nie chcę mieć z wami nic wspólnego! Żadnych talonów! – Na jedenaście tysięcy osób tylko jakieś siedemset wzięło te talony – dodaje starszy pan z siwą brodą, sąsiad, który wyszedł na ulicę ustalić, co to za podniesione głosy.

ZAKAZANE STREFY I ZABAWA W WOJNĘ

Potem – Polesie. Komary jak samoloty i jakieś baki tnące jak javeliny. Zaraz za granicą – Białoruś wąsato-kołchozowego watażki, parodii wielkiego księcia litewskiego. A zaraz za miedzą – Czarnobyl z zakażoną strefą, gdzie Rosjanie trzymali zakładników, a przy okazji sami się napromienio- wywali po szpik w kościach.

Przy szosie popalone bojowe wozy i czołgi. Tu i tam billboardy reklamujące Chernobyl Tours. Mnóstwo się wala papierowych toreb z rosyjskich racji żywnościowych. Przypominają te z Bolta, ale z napisem „armia Rossiji”.

W przydrożnych wioskach sklepy pozabijane deskami. Restauracje też. Niektóre popalone. Polesie: rozłożyste piaskowe pobocza, potem trawa piaskiem podszyta, sosny, brzoźki. Szaszłykarnia rozwalona, bo była w kuchni polowej, więc przywalili na wszelki wypadek. W sklepie – żołnierze. Biorą na kartę wojskową. Kielbasa, napoje, chleb. Cały sklep rozczwierkany, w uśmiechach. Wieś obok – dzieciaki mają na sobie oliwkowe ubrania i żółte taśmy na ramionach, bawią się w wojnę.

A potem Hostomel. To tu toczyły się walki o lotnisko. Miasto zaczyna się oporządzać, ale stojąca pod nim fabryka nadal w gruzach. Spalony ukraiński czołg pozostawiono w centrum, żeby ludzie na wszel-

ki wypadek nie zapomnieli, co się tu działo. Ale trudno zapomnieć. Szczególnie w Hostomlu.

DZIADEK STRZELIŁ Z PRZYCZEPY

Front ustalił się na granicy Buczy i Irpinia. Rosjanie doszli do granic miasta i nie byli w stanie przebić się przez ukraińskie pozycje. I to zapewne uratowało Kijów, bo zaczyna się parę kilometrów dalej. To tak, jakby rosyjską armię zatrzymano w Łomiankach przed Warszawą albo w Wieliczce pod Krakowem. To coś takiego.

Małe dziecko możesz uspokoić, uwierzy. Starsze płaczą, mówią, że zaraz śmierć

Natarcie z Buczy na Irpiń szło ulicą Wokzalną. Jechała rosyjska kolumna wojskowa, ciągnęły transportery, a między nimi – cysterna paliwa.

W tę cysternę wystrzelil mieszkający przy Wokzalnej Walentyn Didkowski i zamienił całą kolumnę w płonące piekło. Mówią na niego „Did Walentyn”. „Did” – to po ukraińsku „dziad”, „dziadek”, co się ni- by zgadza, bo swoje lata facet ma, ale to tak naprawdę ksywa od nazwiska. „Did” już od dawna służył jako ochotnik przy wojsku na Donbasie, później rozwoził ciała zabitych ukraińskich żołnierzy po całym kraju. Jest aktywnym członkiem obrony terytorialnej. I tak się składa, że gdy szła ta kolumna na niezajęty przez Rosjan Irpiń, to pan Didkowski miał w domu granatnik. I kilka granatów.

– O, to ten plot – mówił Leś – zielony, blaszany, pocięty śladami po kulach i odłamkach. I ten dom: bez dachu, rozwalony. Tu mieszka „Did Walentyn”.

Za tym plotem stoi nadal stara przyczepa, którą pan Didkowski miał, jak mówił po wszystkich dziennikarzom, już dawno oddać na złom, ale jakoś nigdy nie było kiedy – i dobrze. Bo gdy Rosjanie szli po jego ulicy, „Did” wlaź na nią, schował się trochę za rosnącym w rogu jego podwórza drzewem – i przywalił z granatnika do cysterny. I dorzucił jeszcze kilka granatów. Co się potem na tej wąskiej, pełnej rosyjskiego sprzętu ulicy działo, jak ta cysterna z paliwem wybuchła, a zaraz po niej granaty – to można sobie wyobrazić.

Pan Didkowski uciekł spod histerycznego ostrzału Rosjan za dom, potem na sąsiednie opuszczone podwórko. Nie znaleźli go: w tym całym chaosie: gaszeniu cysterny, ewakuacji rannych, wycofywaniu się w stronę Buczy – bo cysterna zablokowała przejazd, w tej całej półślepej strzelaninie, która się wywiązała. Później opowiadał dziennikarzom, że ostatni granat zachował dla siebie: wolał sam siebie wysadzić w powietrze, niż iść do niewoli. Wiedział, co by się wtedy z nim stało. Zadzwoił do znajomych z obrony terytorialnej: Idą! Zatrzymałem ich, skurwysynów, ale nie na długo! Ciągną w kierunku Żyrafy!

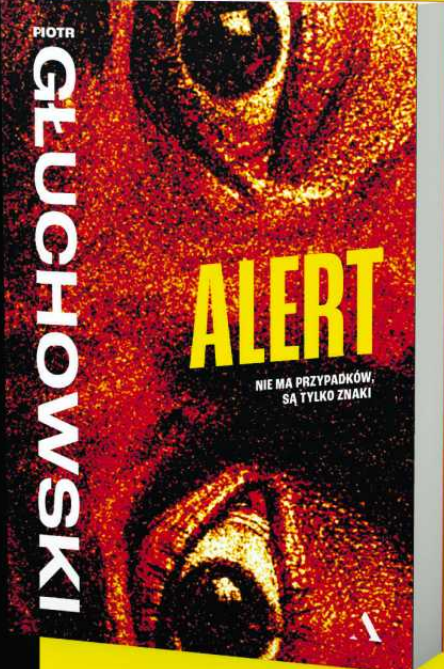
Żyrafa to było centrum handlowe na granicy Buczy i Irpinia. Wojskowi zareagowali szybko i zaczęli ostrzał. To właśnie po nim wszystkie media obiegly zdjęcia wąskiej, przedmiejskiej uliczki całej zawalonej trupem rosyjskiego ciężkiego sprzętu. I do Żyrafy nie doszli, ale i utracili ulicę Wokzalną. Zarówno ulicę, jak i Żyrafę Rosjanie rozwalili w drzazgi artylerią. Rosjanie się ewakuowali. Ale cała okolica: bloki mieszkalne, te stare i te nowe, domki w ogródkach, niedaleki dom kultury o radzieckiej bryle, pomalowany na błado-błękitno – wszystko leży w gruzach.

Na okolicznych budynkach streetartowcy z projektu „Make Europe Not War” powieliли szablony z tym właśnie hasłem: róbmy Europę. Nie wojnę.

I tu właśnie przyjechali przywódcy Niemiec, Francji i Włoch. Scholz skłonił głowę w holdzie dla ludzi, Macron ogłosił, że hasło „Make Europe, Not War” to właściwe hasło, i zaprosili Ukrainę do Unii Europejskiej. A raczej zrobili pierwszy z wielu, bardzo wielu kroków, które Ukrainę do tego członkostwa zbliżą. Więc to zaproszenie nie kosztowało specjalnie dużo. Potrzeba będzie znacznie, znacznie więcej.●



**NAJMOCNIEJSZY
KRYMINAŁ
PIOTRA
GŁUCHOWSKIEGO**



**PIOTR
GŁUCHOWSKI**

ALERT

NIE MA PRZYPADKÓW,
SĄ TYLKO ZNAKI

Dziennikarz lokalnego serwisu, Robert Pruski, bierze się za śledztwo, które nieomal go zabije. Po darknecie krążą tzw. „filmy ostatniego tchnienia”, nagrania prawdziwych tortur i gwałtów. One w rzeczywistości istnieją, są ludzie, którzy robią na nich biznes.

**KSIĄŻKA
JUŻ W SPRZEDAŻY**

NASZA EUROPA

Finlandia zrywa z finlandyzacją

PODRÓŻ NA SKRAJ

Kraj, kiedyś walczący z ZSRR, po dekadach „niedrażnienia” Rosji zdecydował o

Andrea Rizzi

EL PAÍS

Latoka Porkkala wygląda sielankowo, gdy nastaje północne lato. Niektórzy rybacy właśnie przycumowali do niewielkiego pomostu. Do 1956 r. przy tym fińskim półwyspie cumowały okręty radzieckie. W 1944 r. Finlandia przekazała to terytorium ZSRR, który zbudował tam dużą bazę marynarki wojennej, umożliwiającą strategiczną kontrolę nad szlakiem morskim do Petersburga, wtedy Leningradu. Ta kraina, jej wody, niezliczone wysepki i szkiery są jednym z wielu symboli skomplikowanych i burzliwych stosunków krajów skandynawskich z ich olbrzymim sąsiadem. Sowieci już dawno odeszli, ale na drewnianej instalacji przy nabrzeżu wciąż widnieją napisy cyrylicą.

– Po dekadach spokoju Rosja znów jest groźna – mówi Jan Jaskari. Mieszka tu przez całe życie, na terenie starej bazy. Jego dziadek był jednym z ok. 7 tys. Finów, którzy zostali pośpiesznie ewakuowani w końcowym okresie II wojny światowej, aby zrobić miejsce dla wojsk Stalina.

Ok. 500 km na północny wschód od zatoki, w wiosce Huhus – garstce domów rozrzuconych wśród jodeł, do której prowadzi nieutwardzona droga – 41-letni ojciec Ioannis Lampropoulos prowadzi wieczorne nabożeństwo w wigilię Wniebowstąpienia w kaplicy o tej samej nazwie. W prawosławnym nabożeństwie uczestniczy ośmioro wiernych. Wśród nich są siostry Aini Kainulainen (72 lata) i Aune Penhinen (66 lat). Ich rodzice osiedlili się tutaj, gdy Finlandia musiała po wojnie zimowej oddać ZSRR część Karelii. W pobliżu Huhus, w samym środku tajgi, leży najdalej na wschód wysunięty punkt Finlandii i całej UE. A więc również najdalej wysunięty na wschód przyczółek Zachodu, co jest pojęciem bardziej geopolitycznym niż geograficznym. Podczas gdy Darja Špotkonen, sopran, i Veli Jeskanen, bas, splatają swoje głosy w liturgii prawosławnej, ojciec Ioannis, brodaty, długowłosy, okadza kaplicę. To zapach Wschodu, który przypomina o złożoności odcięcia Europy od Rosji.

Półwysep Porkkala i gmina Ilomantsi, gdzie znajduje się Huhus, to dwa bieguny naszej podróży przez Finlandię, jej historię, teraźniejszość i tożsamość, która pod wieloma względami ukształtowała się w opozycji do Rosji, z którą dzieli ponad 1300 km granicy. Tożsamość, której rdzeniem jest pojęcie sisu, używane przez samych Finów do określenia ich narodowej istoty, a co można przetłumaczyć jako rodzaj wytrwałości w stawianiu czoła przeciwnościom. Podróż, podczas której można pojąć, jak bardzo inwazja Rosji na Ukrainę zmienia stary światowy porządek. Z jednej strony mamy do czynienia z przeformulowaniem sojuszy międzynarodowych, o czym świadczą wnioski Finlandii i Szwecji o przyjęcie do NATO czy referendum, w którym Dania zdecydowała się przystąpić do systemu



obronnego UE. Z drugiej – z reorganizacją globalnych łańcuchów dostaw. Ta historyczna zmiana, w której Finlandia odgrywa pierwszoplanową rolę, jest pełną lekcją wykraczających poza granice kraju liczącego 5,5 miliona mieszkańców.

PORKKALA: ŚLADY PO RADZIECKIEJ BAZIE

81-letnia Lena Selén także była stąd ewakuowana we wrześniu 1944 r. „My, Finowie, musieliśmy pójść na ustępstwa, ale dzięki oporowi zbrojnemu przynajmniej nie rozdawano nam darmowych biletów na Syberię” – mówi w Degerby Igor, małym muzeum poświęconym historii Porkkala, które prowadzi.

Historia, o której wspomina, jest podobna do dzisiejszej. 30 listopada 1939 Rosja zaatakowała Finlandię. Zbombardowała stolicę i rozpoczęła inwazję, która dziś znana jest jako wojna zimowa. Moskwa była pewna, że uda jej się w pełni i szybko pokonać sąsiedni kraj, jednak opór armii fińskiej, liczne porażki strategiczne, taktyczne i logistyczne wojsk radzieckich oraz perspektywa pomocy zagranicz-

nej dla Helsinek pozwoliły Finlandii uniknąć kapitulacji. Mimo to w 1940 r. musiała podpisać pokój, który wiązał się z bolesnymi ustępstwami. W czasie II wojny światowej doszło do kolejnych walk, a ostatecznie Finlandia, choć terytorialnie pomniejszona – nie tylko przez wymuszoną dzierżawę obszaru Porkkala – i ograniczona przez presję potężnego sąsiada, pozostała niepodległa.

Porkkala jest symbolem finlandyzacji, procesu, w którym kraj wbrew własnej woli musiał ograniczyć swoją wolność polityczną, przez dziesięciolecia zgadzając się na status państwa „niezaangażowanego”. Finlandia musiała dystansować się od wszystkiego, co Moskwa mogłaby uznać za prowokację, ale sumiennie przygotowała się do odparcia inwazji, gdyby jednak do niej doszło. Ale teraz, po wydarzeniach w Ukrainie, to już przeszłość. „To ostatni krok Finlandii na drodze ku Zachodowi. Dotarliśmy tam, gdzie nasze miejsce – do Sojuszu Atlantyckiego” – mówi Alexander Stubb, były premier Finlandii, a obecnie dyrektor w Instytucie Studiów Europejskich. Stubb zwraca uwagę, że w całej swojej historii Finlandia podejmowała zasadnicze decyzje w czasach wstrząsów.

„W 1917 r. ogłosiliśmy niepodległość, co zbiegło się w czasie z rewolucją bolszewicką. Gdy rozpadł się ZSRR, sześć miesięcy później złożyliśmy wniosek o członkostwo w UE. Nikogo nie powinno dziwić, że teraz prosimy o przyjęcie do NATO” – mówi.

Według nowych sondaży odsetek zwolenników tego ruchu wynosi 75 proc., choć przez dekady nie przekraczał 20 proc. Atak Rosji na Ukrainę zmienił wszystko. Słyszę to od Berndta Gottberga, kustosza małego cmentarza, na którym spoczywają szczątki 495 Sowieców – wojskowych i cywilów – którzy zmarli tu w okresie funkcjonowania bazy, będącej czymś w rodzaju sowieckiego Guantanamo. Kompleks wojskowy zajmował ok. tysiąc km kwadratowych lądu i morza, przebywało tu 20 tys. osób personelu wojskowego i 10 tys. cywilów. Obecnie na tym terenie, oprócz bazy fińskiej marynarki, mieści się siedziba szwedzkiej firmy Ericsson.

Na cmentarzu, który niedawno, z okazji Dnia Zwycięstwa, został zdewastowany graffiti z literą Z (rosyjski symbol ofensywy w Ukrainie), Gottberg tłumaczy: „Sowieci opuścili bazę w 1956 r., mimo że w umowie przyznano im ją na 50 lat, z kilku powodów. Znaleźli lepsze miejsce w Estonii,

NASZA EUROPA

ZACHODU

przystąpieniu do NATO. Co stoi za tym zwrotem?



• Armia fińska uchodzi za jedną z najlepiej wyszkolonych i wyposażonych na świecie

FOT. RONI REKOMA/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

gdzie akweny są głębsze; mieli tu wiele problemów logistycznych, podobnie jak teraz w Ukrainie; a ponadto Chruszczow chciał prawdopodobnie zdobyć punkt w rozmowach z Zachodem”.
„Wyjeżdżając, zostawili wszystko w ruinie” – mówi Gottberg. „Z około trzydziestu obiektów, które posiadała moja rodzina, gdy musieli wyjechać, po powrocie zostali tylko trzy”.

HELSINKI: GOTOWOŚĆ NA NAJGORSZE

„Magazynowanie zboża było pierwszym obszarem, na którym koncentrowały się strategiczne działania związane z bezpieczeństwem narodowym. Od 1993 r. wszystkie działania w tym zakresie zostały połączone w ramach naszej instytucji” – mówi Janne Känkänen, dyrektor Krajowej Agencji Zaopatrzenia Ratunkowego (ANSE). Historia fińskiego zboża znów odsyła do aktualnej sytuacji w Ukrainie, gdzie Rosja destabilizuje rynek żywności, a zwłaszcza zboża. Rola ANSE wydaje się prekursorem modnych obecnie koncepcji, począwszy od autonomii strategicznej, która w ostatnich la-

tach zaczęła wybrzmiewać w UE, po friend-shoring – zakotwiczenie łańcuchów dostaw w zaufanych lokalizacjach – o którym zaczęła mówić sekretarz skarbu USA Janet Yellen. „ANSE jest częścią kompleksowego modelu bezpieczeństwa Finlandii, który wykracza poza kwestie wojskowe. Nasza rola polega na zapewnieniu bezpieczeństwa ekonomicznego, funkcjonowania w razie kryzysu podstawowych sektorów, takich jak energetyka, telekomunikacja, opieka zdrowotna czy zaopatrzenie w żywność” – mówi Känkänen w helsińskiej siedzibie organizacji, która jest częścią ministerstwa finansów.

Instytucja ta ściśle współpracuje z sektorem prywatnym i regularnie przeprowadza ćwiczenia kryzysowe. Känkänen podkreśla, że Finlandia ma szczególnie gęstą, w stosunku do swojej wielkości, sieć lokalnych firm w kluczowych sektorach. W Finlandii faktycznie można zauważyć mniejszą obecność firm międzynarodowych niż w innych krajach UE. Jednak – mówi dyrektor ANSE – zabezpieczenie podstawowych dostaw nie jest dążeniem do samowystarczalności, tylko budową solidnych łańcuchów. „W tak połączonym świecie samowystarczalność jest tylko ostatecznością”. W tym właśnie tkwi wielki dylemat Zachodu: czy nadal polegać na zglobalizowanych łańcuchach, które obniżyły koszty, ale stanowią potencjalne zagrożenie, czy też opracować alternatywne rozwiązania, które oznaczałyby większe bezpieczeństwo, ale także wyższe koszty w czasach, gdy inflacja silnie ogranicza siłę nabywczą.

„To, co się dzieje, to wielki ruch deglobalizacji” – zauważa 29-letni Christopher Aniji, siedząc w parku przy Muzeum Sztuki Współczesnej. To Nigeryjczyk mieszkający w Finlandii od dziewięciu lat, studiując ekonomię na Uniwersytecie Haaga-Helia. Aż 8 proc. populacji Finlandii to osoby urodzone gdzie indziej. Aniji opowiada się za członkostwem w NATO, uważa za prawdopodobne, że Rosja przeprowadzi jakiś atak hybrydowy („robiła to już w przeszłości”), i docenia znaczenie, jakie fińskie społeczeństwo przywiązuje do tego, co nazywa „kapitałem społecznym”, czyli zestawu wartości opartych na uczciwości, które budują zbiorowe bezpieczeństwo i siłę.

Ale to niejedyny obszar, w którym Finlandia systematycznie przygotowuje się do konfrontacji z Rosją. Wchodzi do podziemnego bunkra Merihaka w Helsinkach. Jari Markkanen, specjalista ds. obrony cywilnej w placówce stołecznego ratusza, ale podlegającej MSW, wyjaśnia: „Ten schron jest przeznaczony dla 6 tys. osób i jest odporny na ataki jądrowe lub chemiczne”. Ale na co dzień jest on wykorzystywany do zajęć sportowych i jako podziemny parking. Wszystko jest jednak przystosowane do kryzysu: od składowanych tam łóżek piętrowych i materacy, przez toalety chemiczne, instalacje wodociągowe, po filtry powietrza. Ta infrastruktura jest tylko jedną z wielu. Podziemia Helsinek są podziurawione jak ser gruyère.

W stolicy znajduje się ok. 5,5 tys. potencjalnych schronów, które mogą pomieścić w sumie prawie milion osób – w mieście liczącym 650 tys. mieszkańców. W jednym z nich znajduje się używany na co dzień ba-

LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

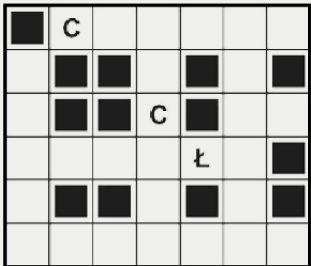


W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



- 1 WAKACJI NIE BĘDZIE
Co robią dzieci, które nigdzie nie wyjeżdżają.
- 2 PIEKŁO KOBIET
Jak wygląda życie w ultrakatolickim Salvadorze?
- 3 Krzyżówka co tydzień w Dużym Formacie.

jolka



NASZA EUROPA

sen o wymiarach olimpijskich. Zdecydowana większość z nich to własność prywatna, zostały wybudowane pod wpływem przepisów, które wymagają ich obecności pod każdym budynkiem o powierzchni przekraczającej 1200 m kw.

W przeciwieństwie do większości krajów NATO Finlandia realizuje cel Sojuszu dotyczący wydatków na cele wojskowe w wysokości 2 proc. PKB. Esa Pulkkinen, sekretarz w ministerstwie obrony, zwraca uwagę, że jego resort nie wprowadził żadnych istotnych zmian po 24 lutego – nie było to potrzebne, bo wiele zrobiono po 2014 r., kiedy to rosyjska agresja rozpoczęła się od aneksji Krymu. „Podnieśliśmy poziom gotowości, poczynszy od procedur szybkiej mobilizacji rezerwistów. Rząd sfinalizował zakup 64 myśliwców F-35, które zastąpią naszą flotę F-18, oraz podjął decyzję o inwestycji 1,4 mld euro w marynarkę. Jesteśmy przygotowani, więc w tych nowych okolicznościach, poza zwiększeniem arsenału amunicji i części zamiennych, nie planujemy żadnych większych inwestycji strukturalnych” – mówi.

Pulkkinen uważa, że perspektywa stacjonowania wojsk NATO w jego kraju jest mało prawdopodobna. „Ważniejsze jest to, że możemy wnieść do NATO silną obronę narodową, silniejszą niż Szwecja czy Norwegia. Mamy, moim zdaniem, najlepszą artylerię w Europie. A z drugiej strony nie chcemy prowokować. To nie miałoby sensu. Ale to, co zrobilibyśmy jako członkowie NATO, nie zależy od życzeń Moskwy, ale wyłącznie od nas”.

W tej kwestii jest szeroka zgoda polityczna. W połowie maja parlament zatwierdził propozycję prezydenta i rządu dotyczącą ubiegania się o członkostwo w NATO – 188 głosami za, przy ośmiu głosach przeciw. „Mamy silną tradycję dążenia do konsensusu w polityce zagranicznej, ponieważ wiemy, że podziały dają narzędzia wpływu dla sił zewnętrznych” – twierdzi Jussi Halla-aho, przewodniczący parlamentarnej komisji spraw zagranicznych. „Są deputowani, którzy nie są do końca przekonani, z uzasadnionych powodów, do wizji Finlandii w NATO. Ale wiedzą, że konsensus jest ważny i dlatego zagłosowali za” – stwierdza Halla-aho, zresztą członek skrajnie prawicowej i eurosceptycznej Partii Finów, która wyraźnie opowiada się za członkostwem w NATO. „Nie możemy wiedzieć, jakie są intencje Rosji wobec nas, nie możemy ufać niczemu, co mówi Kreml. Od 24 lutego wiemy, że jest on zdolny i gotowy do użycia brutalnej siły, bez prowokacji, przeciwko mniejszemu sąsiadowi. Rosja ma plany ekspansjonistyczne i imperialistyczne”.

Stanowisko Halla-aho – polityka o kontrowersyjnej historii prawicowych wypowiedzi ekstremistycznych, które doprowadziły do skazania go przez sąd dekadę temu – pokazuje rozłam, jaki powstał w nacjonalistycznej i ultrakonserwatywnej rodzinie politycznej w UE. Jedni ostro sprzeciwiają się działaniom Putina – jak rządzący w Polsce PiS czy Partia Finów – a inni są łagodniejsi, jak Włosi z Ligi Salvini, która krytykuje wysyłanie przez Zachód broni do Ukrainy. „Wśród partii nacjonalistycznych w Europie istnieją silne sympatie dla Putina i Rosji. Uważam, że zakładanie przez Salviniego koszulek z wizerunkiem Putina i mówienie o nim jako o wielkim mężu stanu było głupie i szkodliwe” – wyjaśnia Halla-aho w sali obrad fińskiego parlamentu. „Ale pytanie brzmi, czy to Salvini, czy raczej związki niektórych socjaldemokratycznych polityków UE z rosyjskim przemysłem gazowym są bardziej szkodliwe dla Europy” – dodaje, czyniąc przytyk do byłego kancлера Niemiec Gerharda Schrödera.

Energia jest kluczowym czynnikiem wstrząsów na świecie, które nastąpiły po inwazji Rosji na Ukrainę. Trzy dni przed moją rozmową z Halla-aho Moskwa ogłosiła, że odcina dostawy gazu do Finlandii. Szef Narodowej Agencji Dostaw Awa-

ryjnych od razu ogłosił, że w stolicy przeprowadzana jest symulacja załamania sieci energetycznej.

LOVIISA: ATOM DAJE NIEZALEŻNOŚĆ

100 km na wschód od Helsinek znajduje się elektrownia jądrowa Loviisa. Dwu-kopułowa betonowa budowla z dwoma reaktorami zaspokaja 10 proc. rocznego zapotrzebowania na energię elektryczną w krajach nordyckich. Loviisa jest wyjątkowa, bo stanowi mieszankę technologii radzieckiej – reaktorów – i zachodniej, firm takich jak Westinghouse, Siemens i Rolls-Royce.

Współpraca Finlandii z Rosją w dziedzinie energii jądrowej wykracza poza Loviisę, której reaktory zostały uruchomione na przełomie lat 70. i 80., i obejmuje nowy projekt w rejonie Hanhikivi na zachodnim wybrzeżu Finlandii. Rosyjski państwowy koncern Rosatom miał być udziałowcem większościowym, ale w maju konsorcjum realizujące projekt ogłosiło jego anulowanie. Uznano go za przykład błędnej próby utrzymania stabilności relacji z Rosją poprzez zacieśnianie więzów ekonomicznych.

Błąd ten nie przeszkadza jednak Finlandii przygotować się lepiej niż inni Europejscy partnerzy na nadchodzący energetyczny armagedon. Janne Kähkönen wskazuje na pewne cechy fińskiej odporności w tym sektorze. „Jeśli chodzi o gaz, Rosja odcięła jego dostawy, ale kilka czynników łagodzi wpływ tego ruchu. Po pierwsze, już tylko kilka tysięcy gospodarstw domowych w Finlandii wykorzystuje gaz do ogrzewania. Po drugie, w przemyśle większość zakładów może od ręki przestawić się na inne źródła, o co zadbałszy już kilka lat temu”. Jeśli chodzi o ropę naftową, reakcja również była szybka. „W Finlandii jest tylko jedna licencjonowana rafineria, a wcześniej ropa naftowa pochodziła głównie z Rosji. Ale już nie, dostawy zostały zastąpione” – zwraca uwagę dyrektor ANSE. „Rosja ograniczyła również eksport energii elektrycznej, który stanowił 8 proc. całkowitego zużycia w kraju. Jednak dobrze sobie z tym poradziłyśmy, a trzeci reaktor w elektrowni jądrowej Olkiluoto, we francuskiej technologii, ma zostać uruchomiony na przełomie sierpnia i września, co pozwoli zaspokoić 10 proc. krajowego zapotrzebowania”. Ponadto Finlandia jest silnie zaangażowana w rozwój energii odnawialnej, zwłaszcza wiatrowej. I w ciągu najbliższych kilku lat zamierza stać się eksporterem netto energii elektrycznej.

We wsi 15 kilometrów od elektrowni grupa starszych ludzi pije drinka na terenie starego doku solnego. 44-letni Timothy Kühn, który prowadzi jeden z okolicznych sklepów, jest zakłopotany członkostwem w NATO. „Była to bardzo szybka decyzja, bez otwartej debaty, w atmosferze psychologicznej presji, w której panowało przekonanie, że ci, którzy ośmielią się sprzeciwić, zostaną napiętnowani jako prorosyjscy” – mówi. Jego opinia potwierdza schemat, zgodnie z którym starsi ludzie są ostrożniejsi niż młodszy.

VAALIMAA: KONIEC ZARABIANIA NA ROSJANACH

Nie tylko energia pochodziła z Rosji. Istniał też stały przepływ towarów i turystów. Teraz ustał, o czym świadczy zwykły poranek na przejściu granicznym w Vaalimaa. „Jesteśmy na poziomie 10 proc. dawnego ruchu” – wyjaśnia Jussi Pekka, komendant posterunku straży granicznej, któremu podlega 200 osób personelu.

Według niego spadek wynika głównie z wymogów antypandemicznych, przy czym podkreśla, że oprócz osób objętych sankcjami UE nie ma żadnych nowych

ograniczeń związanych z wojną dla innych obywateli Rosji. Ale już w towarach załamanie jest spowodowane właśnie sankcjami nałożonymi przez UE. Pekka donosi, że w pierwszych tygodniach po inwazji nastąpił gwałtowny wzrost liczby wyjazdów z Rosji do Finlandii. Zarejestrowano emigrantów aż 52 narodowości. Po tej fali ruch graniczny w zasadzie zamarł.

Jednak w Finlandii bierze się pod uwagę, że w którymś momencie wzdłuż długiej granicy dojdzie do jakiegoś wybuchu masowej migracji koordynowanej przez Rosję. Atak wojskowy jest uważany za mało prawdopodobny, realniejszym ryzykiem jest, że Rosja rozpocznie ofensywę hybrydową w postaci ataków cybernetycznych, manipulacji informacją w celu zasiania niezgody społecznej lub właśnie takich sprowokowanych fal migracyjnych. „Już w 2015 r. zostaliśmy wystawieni na próbę, gdy Rosjanie przyczynili się do powstania fali migracyjnej, która najpierw dotarła do Norwegii, a następnie do Finlandii” – wskazuje Pulkkinen z ministerstwa obrony. „Było to preludium do tego, co wydarzyło się ostatnio między Białorusią a Polską” – za-

Atak wojskowy jest uważany za mało prawdopodobny, realniejszym ryzykiem jest, że Rosja rozpocznie ofensywę hybrydową: ataki cybernetyczne, manipulacja informacją w celu zasiania niezgody społecznej, prowokowanie fal migracyjnych

uważa Rasmus Hindrén z fińskiego oddziału unijnej instytucji ds. przeciwdziałania zagrożeniom hybrydowym. „Jest to wyraźny słaby punkt zachodnich społeczeństw. Musimy przygotować się na takie wydarzenia w sposób przejrzysty w prawodawstwie, w stosunkach wewnątrz europejskich i w komunikacji ze społeczeństwem. Osiągnięcie wysokiego poziomu świadomości społecznej samo w sobie zmniejsza możliwość wyrażenia szkody przez zagrożenia hybrydowe” – kontynuuje ekspert.

Obok posterunku granicznego w Vaalimaa znajduje się Zsar Outlet Village, centrum handlowe zbudowane w celu zarabiania na niegdyś kwitnącej turystyce z Rosji. Dziś jest puste. W kawiarni 19-letnia Saana Kunnari obsługuje nielicznych klientów, z których prawie wszyscy są pracownikami innych sklepów w centrum. Sama nigdy nie była w Rosji. Właśnie ukończyła szkołę średnią, ale nie chce iść na studia. Jak wynika z raportów PISA, fiński system edukacji wyróżnia się skutecznością. Ale to jedna strona. „Jakość systemu jest dobra, ale od uczniów wymaga się zbyt wiele. Presja jest ogromna, co odbija się na zdrowiu psychicznym wielu osób. To trudne” – mówi Kunnari. Finlandia znajduje się na szczycie światowego, opracowanego przez agendy ONZ, rankingu krajów o najwyższym deklarowanym poziomie obywatelskiego szczęścia. Jednocześnie nadal odnotowuje się tam bardzo wysoki wskaźnik samobójstw.

Autobus Lux Express z Petersburga dojeżdża z promu do przejścia granicznego w Helsinkach. Na pokładzie znajduje się le-dwie kilkunastu pasażerów. Siergiej Sidorow jest jednym z dwóch kierowców. „Przykro mi z powodu tego, co się dzieje” – mówi, nawiązując do rosyjskiej wojny w Ukrainie. On sam złożył już w Wiedniu wniosek o wizę na wyjazd do USA. „Chcę się uczyć, rozwijać. Jestem za młody, żeby tu zostać” – wyznaje dobrą angielszczyzną. Od-

był służbę wojskową w marynarce i kategorycznie wyklucza powołanie do służby na froncie w Ukrainie. Władze rosyjskie stosują sztuczki biurokratyczne, aby ponownie zaciągnąć do wojska takich ludzi jak Sidorow, nie ogłaszając jednak powszechnego poboru. Sidorow ma jednak inne plany. Pochodzi z Komsomolska nad Amurem, na rosyjskim Dalekim Wschodzie. Jego matka i siostra nadal tam są. Marzy o wyjeździe do USA, a w międzyczasie pracuje, mając nadzieję, że uda mu się przynajmniej sprowadzić rodzinę do Petersburga. „Nie widziałem ich od pięciu lat”. W autobusie, jak mówi, często są uchodźcy z Ukrainy. „To dobrzy ludzie”.

ILOMANTSI: GRANICA ZACHODU

Ioannis mówi w swoim kościele w dniu Wniebowstąpienia, że do Ilomantsi przybyli pierwsi uchodźcy z Ukrainy: Maria z synami Iwanem i Romanem. Ilomantsi to miasto liczące 4500 dusz, położone w pobliżu wsi Huhus, gdzie poprzedniego dnia ojciec Ioannis odprowadzał wieczorne nabożeństwo. „Większość to prawosławni” – tłumaczy duchowny, który jest z pochodzenia Grekiem i od 20 lat mieszka w Finlandii.

Jest to rejon kraju o największym odsetku wiernych tego wyznania w całej Skandynawii. Średnia krajowa wynosi 1 proc., tutaj – 18 proc. „Wiara prawosławna przetrwała tu z Nowogrodu jakieś 500 lat temu” – dodaje.

Patriarcha Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Cyryl, urodzony w dawnym Leningradzie, jest zwolennikiem wojny Putina i znalazł się na liście sankcji UE. „Modlimy się w ten sam sposób. Ale czy my wierzymy w ten sam sposób?” – pyta retorycznie Ioannis.

Z dzwonnicy swojego kościoła p.w. proroka Eliasza, poświęconego w 1892 r., spogląda na jezioro. Wieś boryka się z podobnymi trudnościami, co wiele obszarów peryferyjnych na Zachodzie. Depopulacja, starzenie się. Mimo to zachowuje żywotność. Znajduje się tu dość okazałe ośrodki zdrowia, szkoły podstawowe i średnie, dwa supermarkety, biblioteka, kino, bank, apteka. Ale siostry Aini i Aune, uczestniczki wieczornej mszy w Huhus, pamiętają, że kiedy chodziły do szkoły, w Ilomantsi było 15 tys. mieszkańców. Mervi Nevalainen, dziennikarz lokalnego tygodnika, mówi o obawach tutejszych związanych ze słabymi perspektywami zatrudnienia.

Wioskę otacza tajga. Bezkrzesny las iglasty ciągnie się aż do granicy i dalej. W tym miejscu, jadąc szutrową drogą, dociera się do najdalej na wschód wysuniętego punktu geograficznego Finlandii, kontynentalnej Unii Europejskiej i geopolitycznego Zachodu. Strażnicy granicznej Tuomo Turunen i Petri Vänskä, obaj po czterdziestce, opowiadają mi o trudnościach związanych ze strzeżeniem takiej granicy, gdzie zimą temperatura sięga minus 40 stopni. Jeśli wniosek Finlandii zostanie ratyfikowany, będzie to najdłuższa granica NATO z Rosją. Tu informują o niej dwa słupki na malej wysepce na środku jeziora. Po drugiej stronie, za rozległą tajgą, znajduje się strategicznie ważna droga, biegnąca równoległe do granicy i łącząca Rosję zasadniczą z bazami wojskowymi w rejonie Murmańska, stanowiącymi filary rosyjskiego systemu odstraszania nuklearnego.

Cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu przez dzieciola, daje złudzenie niekończącej się monotonii przyrody tajgi i jezior. Ale to tu, w Ilomantsi, jeden świat, Zachód, kończy się, odsuwając się jak płyta tektoniczna od drugiego, Rosji. Być może pewnego dnia ten trend zostanie odwrócony. „Jedyną rzeczą, która nas dzieli, jest sposób myślenia liderów” – mówi ojciec Ioannis. Ale bez wielkiego przekonania. ●

NASZA EUROPA

Wojna wiele zmienia

Otwarcie Ukrainie drzwi do UE? Tak!

Na razie na drodze Ukrainy do Wspólnoty mnożą się przeszkody. Dlaczego warto je pokonywać?

Bo to szansa Europy na nową erę w swojej historii

Garton Ash*

Jeszcze cztery miesiące temu przywódcy Francji, Niemiec i Włoch nie wyobrażali sobie, że poprą kandydaturę Ukrainy do członkostwa w UE. Ale w miniony czwartek w Kijowie zgodnie ją poparli. Jeśli po pozytywnej opinii wydanej właśnie przez Komisję Europejską zgodę wyrazi także zbliżający się szczyt UE (piszę to przed 23 czerwca, kiedy unijni liderzy mieli o tym zdecydować w Brukseli), może to naprawdę okazać się – jak powiedział prezydent Wołodymyr Zełenski po spotkaniu z gośćmi ze szczęśliwszych zakątków Europy – „jedną z kluczowych decyzji pierwszego trzydziestolecia XXI wieku”.

Decyzja ta mogłaby zwiastować początek nowej rundy rozszerzenia UE na wschód, równie ważnej jak pierwsza duża pozimnowojenna runda w pierwszej dekadzie XXI w., która w dwóch rzutach objęła obszar od Estonii po Bułgarię. Starożytny grecki filozof Heraklit zalicza tu kolejne trafienie: „Wojna jest ojcem i królem wszystkiego”.

Są dwa dobre powody, by włączyć Ukrainę do UE
Po pierwsze, Ukraina na to zapracowała, a po drugie, leży to w długofalowym strategicznym interesie Europejczyków. Drugi powód wydaje się szczególnie istotny.

Ukraina aspiruje do członkostwa w UE nie od wczoraj. Nigdy nie zapomnę kijowskiego Majdanu podczas pomarańczowej rewolucji w 2004 r. i morza unijnych flag, jakiego nigdy nie widziałem w żadnej stolicy UE. Dziesięć lat później protesty w Kijowie wybuchły po odrzuceniu przez prorosyjskiego prezydenta Wiktora Janukowicza umowy stowarzyszeniowej.

Wojna potwierdziła zdecydowaną wolę narodu ukraińskiego przystąpienia do UE. Zełenski od samego początku prosi usilnie Zachód o więcej broni, więcej sankcji na agresora i – to trzeci główny postulat – status kraju kandydującego do UE. Sondaż opinii publicznej przeprowadzony na zachodnich i centralnych obszarach Ukrainy – na wschodzie był niemożliwy z powodu wojny – wykazał 89-proc. poparcie dla członkostwa w UE. Nikt nie wątpi, że Ukraińcy walczą i umierają za Europę. Uzasadniając pozytywną opinię Komisji, wysoki rangą unijny urzędnik powiedział: „Komisja nie zapomina, że Ukraina jest jedynym krajem w Europie, gdzie do ludzi strzelano, bo wyszli na ulice z flagami UE. Nie możemy im teraz powiedzieć: przepraszamy, machaliście nie tą flagą”.

Ale jest to też strategiczny wybór całej Europy. W grę wchodzi nie tylko drugi co do wielkości europejski kraj. Komisja zaleciła przyznanie Ukrainie statusu kandydata „przy założeniu, że” poczynione zostaną określone kroki, ale tę samą propozycję złożyła Mołdawii wciśniętej między Ukrainę a należącą do UE Rumunię, „przy założeniu” nieco dalej idących zmian. Zarekomendowała też rozpoczęcie negocjacji z Albanią i Macedonią Płn. Poza tym jest jeszcze reszta Bałkanów Zachodnich, Gruzja i – może kiedyś – demokratyczna Białoruś. Dobrze poprowadzone drugie wielkie wschodnie rozszerzenie powiększyłoby Unię, zapewniając jej większą samowystarczalność żywnościową, większą siłę militarną i większy potencjał wzrostu gospodarczego.

My, Europejczycy, skazani na niepewną koegzystencję z rewanżystowską Rosją, wschodzącymi Chinami i słabnącą Ameryką, moglibyśmy skuteczniej bronić naszych interesów

i wartości. Drugie rozszerzenie UE wymaga też dalszego pogłębienia, inaczej powiększonej wspólnocie 35 państw członkowskich groziłaby utrata funkcjonalności. Włączenie Ukrainy, Mołdawii i Gruzji oznacza w dłuższej perspektywie, że Rosja musiałaby w końcu pogodzić się z utratą imperialnej strefy wpływów i odnaleźć się w roli nowoczesnego państwa narodowego (przykład Wielkiej Brytanii pokazuje, jak długo to może trwać). Drugie wschodnie rozszerzenie byłoby wielkim krokiem ku wolnej, zintegrowanej Europie.

Poparcie opinii publicznej na Zachodzie będzie spadać

Pozostaje wiele problemów i wątpliwości. Kraje takie jak Holandia, Dania i Portugalia próbują nadal komplikować te wstępne kroki. Nawet jeśli, co prawdopodobne, szczyt UE będzie na „tak”, czy nie zabraknie nam politycznej woli podtrzymania długofalowej strategii rozszerzenia? Koszty odbudowy Ukrainy będą ogromne. Szkody wojenne szacuje się już na 150 mld dol. Ukraina ma szansę odrodzić się w lepszym kształcie pod warunkiem, że wielki strumień przeznaczonych na odbudowę funduszy zostanie skutecznie powiązany z fundamentalnymi reformami, w tym z walką z korupcją.

Pomysł cieszy się obecnie w UE powszechnym poparciem. Według kwietniowego Eurobarometru 66 proc. obywateli chce otworzyć drzwi Ukrainie. Poparcie może jednak ulec erozji, gdy opadnie fala wojennej sympatii do Ukrainy, a Europę dotkną ekonomiczne skutki pandemii i wojny Putina. Kraje śródziemnomorskie skarżą się: „wy ciągle o Wschodzie, a co z Południem?”. Trudna sytuacja na Bliskim Wschodzie i w Afryce, zaostrzona skokiem cen żywności wskutek odcięcia dostaw

ukraińskiego zboża, może tam zaowocować kolejnym kryzysem.

Rozszerzenie bez pogłębienia się nie powiedzie

Innym zagrożeniem jest to, że rozszerzenia nie uzupełni niezbędne pogłębienie. Był to wielki mankament pierwszego wschodniego naboru. W efekcie Viktor Orbán zniszczył demokrację na Węgrzech, wykorzystując miliardy euro z funduszy unijnych, a dzięki wymogowi jednomyślności zmusił resztę UE de facto do wypłacenia mu okupu za nową transzę sankcji przeciw Rosji.

Bardziej prawdopodobne jest, że rozszerzenie utknie w martwym punkcie. Ukraina i Mołdawia mogą trafić do czyścica jak od prawie dwóch dekad większość Bałkanów Zachodnich. Macedonia, blokowana najpierw przez Grecję, a potem Bułgarię, czekała 17 lat, by od statusu kandydata przejść do faktycznych negocjacji. Macedończycy nadal wierzą, ale w Serbii poparcie dla członkostwa w UE spadło z 70 do 37 proc. Elity innych krajów mogą dojść do wniosku, że najlepiej wyjdą na rozgrywanie przeciw sobie Europy, Chin i Rosji, jak robi to serbski prezydent Aleksandar Vučić. Bałkany stałyby się wtedy niestabilną zoną, zachęcającą do penetracji Chin, Rosję i inne wrogie mocarstwa.

Na dalszej drodze mnożą się kolejne przeszkody i ślepe uliczki. Ale jak mówi chińskie przysłowie: nawet podróż długą na 10 tysięcy mil zaczyna się od jednego kroku. ●

tłum. Sergiusz Kowalski

***Timothy Garton Ash** jest profesorem europeistyki na Uniwersytecie Oksfordzkim i Senior Fellow w Hoover Institution Uniwersytetu Stanforda.

MALTA-FESTIVAL-PL

MALTA | FESTIVAL POZNAN

WORLD
HELD TIGHT

ŚWIAT
W UŚCISKU

СТИХУТИЙ
СВІТ

27/06–03/07/2022

festiwal zrealizowany przy wsparciu finansowym

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

POZnań*

sponsor

tempus
LEASING

Bońkowscy

patroni medialni

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

NASZA EUROPA

Kto zyskuje, kto traci na wojnie w Ukrainie

ROSJA KONTRA McŚWIAT



Cztery miesiące od rozpoczęcia przez Rosję kampanii wojennej w Ukrainie potencjalne skutki dla świata wydają się coraz mroczniejsze. Ale zawsze tam, gdzie jedni oplakują straty, inni widzą możliwe zyski.

Robert Stefanicki

UKRAINA

Ofiara ataku jest siłą rzeczy najbardziej poturbowana. W maju Kijów podliczył, że bezpośrednie straty przekraczają już 600 mld dol. Według Międzynarodowego Funduszu Walutowego zagrożone jest nawet 35 proc. tegorocznego PKB Ukrainy. Kraj opuściło już 5 mln osób.

Ale w dłuższej perspektywie Ukraina może zyskać, nawet jeśli nie odzyska kontroli nad całością własnego terytorium. Po raz pierwszy państwo ukraińskie na taką skalę zaistniało w świadomości Zachodu i reszty świata – nie jako awanturniczy i skorumpowany bantustan na rubieżach cywilizacji, lecz jako bohaterki naród broniący granic Europy przed barbarzyńskim najeźdźcą. Marka „Ukraina” bajecznie zyskała na wartości.

Kijów skleja się z Zachodem – uzbrojeniem, energetyką, siecią kolejową. Ten związek może być trwały, o ile ukraińscy przywódcy nie zejną z drogi demokracji i poszanowania swobód. Chociaż nawet jak zejną, to, jak pokazuje praktyka, nie musi to oznaczać zerwania bliskich relacji, jeśli tylko Zachód uzna, że wspieranie Ukrainy jest niezbędne do szachowania Moskwy.

ROSJA

Moskwa przekonuje, że jest na plusie. Od wybuchu wojny do połowy czerwca zarobiła na sprzedaży surowców energetycznych rekordowe 93 mld euro. Gdyby nie inwazja na Ukrainę, byłoby mniej. Mamy tu do czynienia ze swoistym „paragrafem 22”: wojna i sankcje nałożone na agresora windują ceny ropy i gazu, a ponieważ jest kolejka chętnych (na czele z Chinami i Indiami), aby kupować od Rosji taniej, per saldo zarabia ona i tak więcej niż w spokojniejszych czasach, gdy surowce kosztowały połowę tego, co dzisiaj. Stratni są zaś ci, którzy się do sankcji stosują, płacąc ceny rynkowe.

Tylko że państwo to nie stacja benzynowa. Przewiduje się, że PKB Rosji spadnie w tym roku o 7 proc. i 10 proc. w przyszłym. Nie są to może szokujące wartości na tle nieco tylko lepszych perspektyw wielu innych państw (efekt wysokiej inflacji), lecz liczby nie oddają głębi degrengolady Rosji. Nawet jeśli sankcje zostaną poluzowane, ciężko jej będzie znaleźć inwestorów i źródła nowoczesnych technologii. Putin jest jak gangster: można zaryzykować kupno od niego kradzionego towaru, ale nikt mu nie udzieli kredytu (zaufania). Marka „Rosja” straciła co najmniej tyle, ile marka „Ukraina” zyskała. Tysiące dobrze wykształconych Rosjan opuściło kraj, który nie oferuje im dobrej przyszłości. Przy oka-

zji upadł mit silnej, nowoczesnej armii rosyjskiej – a eksport broni dawał Rosji ponad 3 mld dol. rocznie.

Czy wojna może się okazać dla Rosji w dłuższej perspektywie korzystna? Utrzymanie podbitych ziem z wrogo nastawioną ludnością to koszt, nie zysk. Być może korzyści pojawią się na leżącym dotąd odcinkiem wschodnim, gdy dojdzie do zacieśnienia związków z Chinami. Symbolicznie, parę dni temu otwarto pierwszy most na granicznym Amurze; wkrótce będzie drugi, kolejowy. Moskwa oczekuje, że po pełnym uruchomieniu tych arterii będzie tędy odprawiać rocznie 4 mln ton towarów i 2 mln pasażerów. Ale raczej nie zrekompensuje to zerwania więzi z Zachodem.

Skoro na razie wszystko idzie przeciwnie do założeń Putina, to można sobie też wyobrazić – ale tylko w sferze życzeniowej – że wojna zmieni Rosję na lepsze, prowadząc do upadku dyktatora i służąc za trampolinę do budowy demokracji.

POLSKA

Na razie – głównie plusy. Napływ milionów Ukraińców wyzwolił w Polakach pokłady dobroci. Słowo „uchodźca” przestało być obelgą. Ta przemiana – mójmy nadzieję, że trwała – dokonała się w społeczeństwie samoczynnie. A może to nie była żadna przemiana, tylko do głosu wreszcie doszła ta dobra większość, a zły margines, który dotąd nadawał ton, wrócił na swoje miejsce?

Fala imigracji nie jest dla państwa bezkosztowa, ale per saldo musi się opłacić: polskie firmy zyskają pracowników i konsumentów. Frontowe położenie Polski zwiększa ryzyko inwestycyjne, czyli podraża koszt obsługi długu, z drugiej strony UE nie zostawia Polaków z problemem samych. Wojna daje szansę naprawienia relacji z naszymi naturalnymi, zachodnimi sojusznikami – pozostaje kwestią otwartą, czy PiS ją należycie wykorzysta. Pozytywne jest też to, że konflikt za naszą granicą wymusza modernizację armii, wcześniej tylko markowaną przez władze.

UNIA EUROPEJSKA

Wojna tworzy dla UE presję na reformę energetyczną – wciąż nie jest jednak jasne, czy i jak ta szansa zostanie wykorzystana. Odejdźmy od gazu i ropy, czy tylko zmieniły dostawców? Czy wymuszona druga młodość węgla jest tylko przystankiem na drodze do źródeł odnawialnych i niskoemisyjnych? Czy powstaną nowe elektrownie atomowe, czy też plany ugrzęzną w dyskusjach, ruchach pozorowanych i narodowych obsesjach, jak niemiecka niechęć do energetyki jądrowej?

Politycznie UE – minus Węgry – zjednoczyła się przeciwko Rosji, czego wyrazem są kolejne sankcje, zbrojenie Ukrainy i status kandydatki dla Kijowa. Z drugiej strony nie da się ukryć różnic pomiędzy poszczególnymi rządami i nie ma pewności, jak długo ten klej będzie trzymał.

Dla Ukrainy wojna jest demograficzną katastrofą, odwrotnie niż dla krajów europejskich zmagających się z niskim przyrostem demograficznym. Pół miliona uchodźców, którzy dotarli do Węgier, kompensuje temu krajowi ubytek populacji od początku stulecia. Oczywiście nie wszyscy zostaną. Ale jest dobra gleba pod zapuszczenie korzeni, bo Ukraińcy dostali od

UE hojne warunki: prawo do mieszkania, pracy i nauki przez trzy lata.

– Jeśli zdecydują się pozostać, obniżą średni wiek krajów przyjmujących, dadzą zastrzyk stosunkowo wykwalifikowanej siły roboczej i przechylą proporcje płci w stronę kobiet – zauważa w rozmowie z tygodnikiem „Economist” Tomas Sobotka z Centrum Demografii Wittgensteina w Wiedniu. W jego ocenie dla krajów takich jak Polska, Czechy, Słowacja, Węgry i prawdopodobnie kraje bałtyckie „ten kryzys jest momentem przełomowym, szybko zmieniającym je w kraje imigracyjne, a nie emigracyjne”.

NATO

Ospały przez ostatnią dekadę Sojusz Północnoatlantycki dostał wiatru w żagle. Może wreszcie powrócić do tego, do czego został powołany: przeciwdziałania zagrożeniu ze strony Rosji. Prędzej czy później (to zależy od targującej się Turcji) powiększy się o Szwecję i Finlandię, co zmieni krajobraz bezpieczeństwa w Europie. Europejscy członkowie gorączkowo dostosowują swoje plany i stan uzbrojenia do możliwej wojny z Rosją. Aktywność NATO i zaangażowanie USA w konflikt oznaczają, że idea budowy europejskich sił obronnych powróciła na dalszy plan; zmienić to może chyba tylko druga prezydentura Donalda Trumpa (lub kogoś podobnego).

STANY ZJEDNOCZONE

Joe Biden stanął na czele koalicji anty-putinowskiej i pokazał, że jest twardym przywódcą. Chiny, główny rywal USA, powinny uznać to za poważne ostrzeżenie. Wzrosły potencjał i determinacja Waszyngtonu do budowy sojuszy – zwrot o 180 stopni wobec ery rządów Trumpa.

Ale sytuacja jest trudna. Wojna w Europie zbiegła się z zakończeniem cyklu dobrej koniunktury gospodarczej i pogłębiła negatywne zjawiska. Gospodarka USA pogrążyła się w recesji, PKB skurczył się w pierwszym kwartale o 1,9 proc., ceny ropy napędzają inflację. Nie ma na to innego sposobu jak duszenie popytu. To jest główną troską Bidena – jak i większości przywódców w Europie, z tą różnicą, że dla amerykańskiego wyborcy wojna ukraińska jest stosunkowo egzotyczna.

Krytyka tak mocnego angażowania się po stronie Ukrainy przez Bidena dochodzi z różnych stron, także od liberałów i realistów, których nie można podejrzewać o sympatie prorosyjskie. Wskazują oni, że nie wiadomo, jaki ma być finalny cel wspierania Kijowa. Upadek Putina wydaje się nierealny, zwycięstwo militarne Ukrainy mało prawdopodobne, rozmowy pokojowe są też trudne do wyobrażenia. Wszyscy są przekonani, że wojna potrwa lata – na szczęście dla Bidena bez udziału amerykańskich wojsk, o ile Putin nie zechce zaatakować NATO.

Zapowiada się przegrana Demokratów w wyborach parlamentarnych w listopadzie. Zważywszy na trumpizację Partii Republikańskiej, to zła wiadomość dla Ameryki i dla świata.

Ale nie wszyscy mają powody do narzekania: producenci uzbrojenia zacierają ręce. Biden wysłał niedawno do Kongresu propozycję budżetu na 2023 r.: na wydatki wojskowe przewidziano 813 mld dol., o ponad 31 mld więcej niż w tegorocznym

budżecie. Oznacza to jednak mniej inwestycji np. w opiekę zdrowotną.

CHINY

Dla Pekinu bilans wojny w Ukrainie też jest niejednoznaczny. Zakłócenia łańcuchów dostaw do Europy i skoki cen surowców są niekorzystne, ale jeśli taki stan trwa długo, staje się nową normą. Chiny pozostają sojusznikiem Rosji i mogą z tego czerpać korzyści gospodarcze: uzyskać dostęp do rosyjskiego zboża, energii i innych towarów po obniżonych cenach, co trochę łagodzi kosztowny dla wielkiego importera efekt inflacji surowców. Chińskie przedsiębiorstwa chętnie przejmą lub rozszerzą udziały w rosyjskich firmach energetycznych i spożywczych.

Sankcje nałożone na Rosję są cenną lekcją dla władz w Pekinie na temat tego, co może się stać, gdyby zaatakowały Tajwan. Xi Jinping nie zamierza z planu przyłączenia wyspy rezygnować, ale musi się lepiej przygotować, uniezależniając Chiny od gospodarek zachodnich oraz międzynarodowego, kontrolowanego przez USA, systemu finansowego. Ważną częścią planu jest internacjonalizacja juana kosztem dolara jako waluty wymiany handlowej. Wojna ukraińska pozwala ten proces przyspieszyć. Chiny budują systemy alternatywne i coraz częściej umawiają się na płatności denominowane w juanach, nie tylko z krajami objętymi sankcjami.

TURCJA

Prezydent Recep Tayyip Erdogan wydaje się zadowolony z nowej rzeczywistości geopolitycznej. Uważa, że Zachód zrozumiał wreszcie, jak ważna jest strategicznie położona Turcja. Oprotestowane przez Ankarę starania Szwecji i Finlandii o wstąpienie do NATO są doskonałą okazją pozyskania koncesji od USA, w szczególności zdjęcia sankcji, które zbурzyły plany modernizacji tureckiej armii. A słaba Rosja i zajęty nią Zachód stwarza możliwość realizacji planu utworzenia w Syrii strefy, gdzie Turcy osiedlą część z 3,6 miliona mieszkających tam syryjskich uchodźców. Silniejsza Turcja to także zła wiadomość dla Kurdów.

GLOBALNE POŁUDNIE

Najbardziej niebezpieczne rejony świata są największymi przegranymi kryzysu, bo mają najmniej siły, by się obronić. Inflacja cen surowców i zablokowanie eksportu zbóż od dwóch czołowych producentów sprawia, że – według szacunków FAO – dodatkowe 181 mln ludzi w 41 krajach, zwłaszcza w Afryce, może w tym roku zaznać głodu. Już teraz tu i ówdzie dochodzi do protestów społecznych, przewrotów albo dalszego przykręcania śruby przez autokratów.

Lepsze perspektywy rysują się tylko przed tymi krajami, które dysponują pożądanymi przez bogatszych surowcami. Odcięcie Rosji może sprawić, że ich eksploatacja i import staną się atrakcyjne pomimo trudności logistycznych, kosztów transportu i ryzyka politycznego. Co sprawi, że owe trudności, koszty i ryzyko będą z czasem coraz mniejsze, np. dzięki rozwojowi infrastruktury.

Na transformacji energetycznej globalne Południe też może zyskać – przykładem plany pozyskiwania wodoru z Namiibii albo z energii z farm solarnych na Saharze. ●

NASZA EUROPA

Antonio Politano

la Repubblica

William Dalrymple, szkocki pisarz i historyk, uprawiający literaturę podróżniczą – tak intensywnie, że uważa się go za spadkobiercę Bruce’a Chatwina – wybrał życie między dwoma światami. Do rodzinnej Szkocji wraca latem, a przez resztę roku mieszka w Indiach. „Odkąd skończyłem 18 lat, czyli kiedy przyjechałem do Indii po raz pierwszy, nigdzie nie byłem równie szczęśliwy jak w tym kraju” – mówi mi, siedząc na werandzie swojej farmy pod Delhi.

Książka, nad którą obecnie pracuje, zatytułowana „The Golden Road”, traktuje o kulturowych wpływach Indii i buddyzmu w Chinach i Japonii, hinduizmu i sankrytu w Azji Południowo-Wschodniej oraz liczb i matematyki na Zachodzie. Kończy się ona opowieścią o tym, jak Leonardo Fibonacci, XIII-wieczny matematyk z Pizy, przywiózł do Pizy i na Sycylię indyjskie liczby z Algierii i szerzej świata arabskiego, gdzie dorastał.

Dalrymple, członek Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, którego zdania (np. w sprawie Afganistanu) zasięgał prezydent Obama, jest autorem m.in. „Dziwięciu żywotów: na tropie świętości we współczesnych Indiach” (wyd. pol. Czarne), „Miasta dżinów”, „Ze Świętej Góry”, „Anarchii” czy historii najsłynniejszego diamentu świata „Koh-i-Noor” (wszystkie Noir sur Blanc).

Poprosiliśmy Dalrymple’a, aby opowiedział nam o swoich relacjach z Bruce’em Chatwinem, którego wyjątkowa twórczość zainspirowała m.in. dwa filmy Wernera Herzoga: „Nomada. Na tropie Bruce’a Chatwina” i „Cobra Verde”.

...

Kim był dla pana Bruce Chatwin?

– W latach 80., kiedy miałem dwadzieścia lat, po prostu chciałem być kimś takim jak on. Literatura podróżnicza była moją obsesją. Spędzałem życie w drodze, odbywałem wielomiesięczne wyprawy z plecakiem, włóczę się po różnych kontynentach. W tamtych czasach Chatwin był dla mnie zasadniczym źródłem inspiracji – bohaterem, wzorem literackim i życiowym. Jego książki pokazywały nie tylko mi, jak bardzo wyrafinowana, inteligentna i fascynująca może być literatura podróżnicza. Był estetą, ale też świetnym znawcą sztuki współczesnej, muzyki, architektury. Wydawało się, że był wszędzie i poznał wszystkich, od Afganistanu przez Mali po Afrykę Północną. Ja sam ostatecznie zostałem jednak historykiem i już nie podróżuję w ten sam sposób co kiedyś. Znalazłem swoją drogę i jest to inna droga.

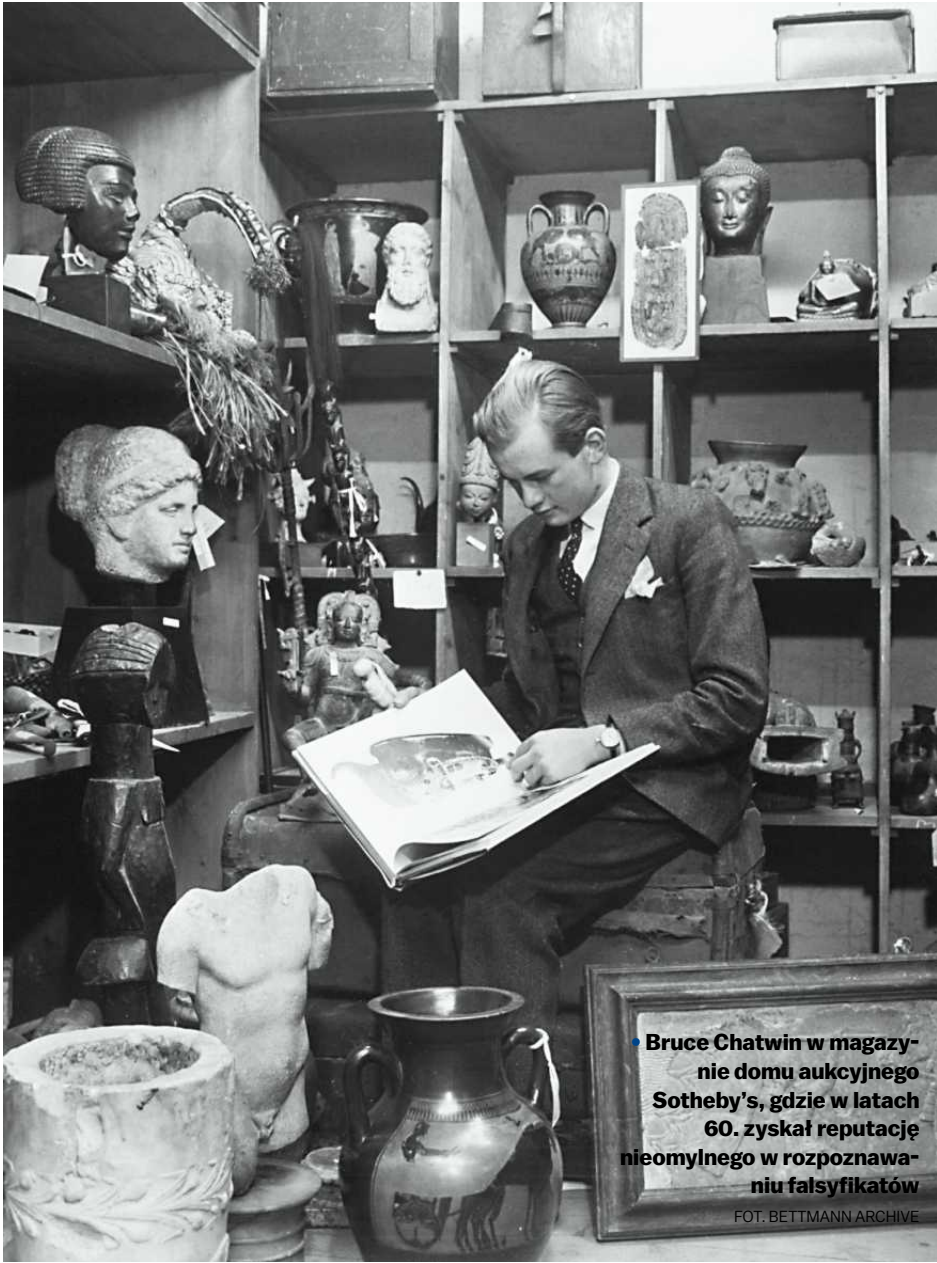
Czy miał pan okazję go poznać?

– Owszem, miałem wtedy 21 lat. W tym czasie pisały o mnie gazety, bo właśnie wróciłem z Azji, gdzie podążałem szlakiem Marco Polo do Xanadu. Wspólny znajomy zaprosił mnie na lunch do St James’s Club w Londynie. Przyjechałem, a Chatwin już tam był. To był ekscytujący moment, wręcz przełomowy. Bruce był bardzo uprzejmy i hojny. Szczególnie utkwiła mi w pamięci rada dotycząca mojego pierwszego kontraktu wydawniczego, do której jednak się nie zastosowałem, bo nie było mnie wtedy na to stać: „Nie przyjmuj zaliczki od wydawcy, bo

William Dalrymple:

Chatwin uczy, jak podróżować właściwie

– Bruce powiedział mi: kiedy piszesz książkę, nigdy się nie śpiesz



będziesz mu dłużny. Jeśli możesz, napisz swoją książkę, w swoim własnym tempie, a kiedy będziesz gotowy, opublikuj ją. Nigdy nie należy się śpieszyć, liczy się tylko to, żeby książka była jak najlepsza według ciebie”.

U szczytu sukcesu sława Chatwina i uznanie dla niego były ogromne. A jak jest dziś, ponad 30 lat po jego śmierci?

– Jedną z najgorszych rzeczy, jaka może się przydarzyć pisarzowi, jest śmierć. Bo kiedy nie tworzysz już nowych książek, przestają o tobie pisać, pamięć o tobie zanika. Oczywiście, jeśli jesteś świetnym pisarzem, książki przetrwają i nadal będą drukowane, ale odbywać się to będzie w trybie bardziej „low profile”, bez maszyny reklamowej. Z tym że wśród tych, którzy czytają literaturę podróżniczą, Chatwin cieszy się niesłabnącą po-

pularnością. Ale to gatunek dziś mniej popularny niż 30 lat temu. Kto wie, co by dziś pisał Bruce, gdyby nadal żył. Myślę, że w chwili przedwczesnej śmierci na AIDS był dopiero na początku swojej drogi, zaczynał tworzyć wielkie książki. Mogło ich powstać jeszcze wiele. To, że nigdy nie zostały napisane, jest wielką stratą naszej kultury.

Którą z jego pięciu książek ceni pan najbardziej?

– Moją ulubioną pozostaje jego debiutancka „W Patagonii”. Ta książka przetrwała jako jedna z najwspanialszych książek podróżniczych wszech czasów. Była w chwili premiery nieprawdopodobnie oryginalna i nowatorska – i taka pozostaje do dziś. Pięknie napisana i precyzyjnie oszlifowana – tajemnicze arcydzieło, przedziwny klejnot. Napisana oszczęd-

nie, w czym przypomina mi dzieła Itala Calvina. Dzieli z nimi zalety zwięzłości, zaskoczenia, ekscentryczności. Geniuszu po prostu.

Czy pana również dotyka ten rodzaj niepokoju, który – jak twierdził on sam – trapił Chatwina?

– Nie. Już jako młody człowiek nie zgadzałem się z nim w tej kwestii. Podróżuję, bo pociągają mnie miejsca. Chatwin mówił, że boi się pozostać w jednym miejscu, napędzała go raczej potrzeba opuszczenia domu niż poczucie, że przyciąga go jakiś konkretny punkt na mapie.

Jak to jest być pisarzem zawieszonym między dwiema postaciami: historyka i uczonego?

– Nim zostałem ojcem, pisałem książki podróżnicze, bo cały czas byłem w drodze. Od ukończenia 35. roku życia piszę prawie wyłącznie książki historyczne, ale w końcu żeby je stworzyć, dużo podróżowałem, odwiedzając wszystkie miejsca, o których piszę, w Afganistanie, Indiach i Pakistanie. Ale to nie są książki o mnie, o moich problemach, to są teksty o postaciach z przeszłości. Nie piszę już w pierwszej osobie, a jedyną książką podróżniczą, jaką napisałem po pięćdziesiątce, jest „Dziwięć żywotów”, w której pojawiają się tylko kilka razy, dyskretnie, mimochodem, między wierszami. W pewnym sensie jest to postawa „antychatwinowska”, przeciwieństwo tego, co on robił. Bo w swoich książkach podróżniczych Bruce jest zawsze obecny, to w istocie jego pogłębiany nieustannie autoportret, jego wielkie tournée po własnych idiosynkrazjach i analiza własnego postrzegania świata.

Przeszkadza panu przekraczanie granicy między faktami a fikcją? Niektórzy krytycy twierdzą, że Chatwin czasem wymyślał.

– Jako historyk uważam, że precyzja jest najważniejsza. Nie można igrać z prawdą. Wierność faktom jest podstawowa. Oczywiście, staram się opowiedzieć historię w sposób, który jest atrakcyjny, ale to nigdy nie jest fikcja. Wymyślanie nie wchodzi w grę. I myślę, że Chatwinowi niesłusznie przypisuje się „wymyślanie prawdy”. On raczej pomijał pewne informacje, wyłączał niektóre kwestie, na przykład nigdy nie podkreślał i nie pisał o swoim homoseksualizmie. Albo spójrzmy na „W Patagonii”: między poszczególnymi rozdziałami zdarzają się setki pokonanych mil, ale Chatwin nie opisuje z detalami, co się w czasie tej podróży wydarzyło. Intensywnie wybierał, redagował surowo, ale nie jest to równoznaczne z wymyślaniem.

Czy w dobie Instagrama i Google Earth literatura podróżnicza w ogóle ma jeszcze jakąś rolę do odegrania?

– Ogromną, bo dobra literatura podróżnicza jest po to, by interpretować odległe od nas miejsca. Jeśli chcesz zrozumieć Indie, możesz przeczytać rozmaite raporty na temat PKB, struktury gospodarczej, średniej płacy i tak dalej, ale nie sprawi to, że poznasz prawdę o Indiach. Co najwyżej jakąś jej część. Za to dobra książka podróżnicza pozwala lepiej zrozumieć złożoność kultury, a także zwykłego życia ludzi nawet najbardziej egzotycznego z punktu widzenia Europejczyka kraju. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz

„Nasza Europa” to projekt opisujący idee i procesy kształtujące Unię Europejską, realizowany przy wsparciu Parlamentu Europejskiego. Publikacje w ramach projektu odzwierciedlają jedynie stanowisko ich autorów, Parlament Europejski nie ponosi odpowiedzialności za wykorzystanie zawartych w nich informacji.



Adam Michnik poleca

PUTINIZM JAKO NAJWYŻSZE STADIUM KACZYŹMU

Dziś w Europie się nie wygra kwintalem buraków, toną węgla i kotлетem mielonym z polskiej wieprzowiny

Jarosław Bratkiewicz*

Przy jurajskim ogromie putinizmu kaczyzm ledwie odstaje od ziemi. Jak każdy mialki epigonizm. Oba zaś zjawiska czerpią z paleopolityki Rosji samodzierżawnej i Polski sarmackiej.

••

HISTORIA I CYWILIZACJA. W książce „Eurazjatyzm na wspak” pisałem, że Polska od czasów jagiellońsko-sarmackich zatracala swój europejski – utwierdzany przez Piastów – charakter i przeobrażała się w państwo eurazjatyckie. Działo się tak, odkąd przez unię dynastyczną z Jagiellonami wkroczyła na rozległe, ale zdewastowane przez podbój mongolsko-tatarski i wyprane z cywilizacji terytorium ruskie.

Intensywnie rozwijająca się za ostatniego Piasta, Kazimierza Wielkiego, Polska w epoce jagiellońsko-sarmackiej rozlała się na olbrzymich obszarach, rozleniwiła się i zgnuśniała. W oświeceniowy wiek XVIII weszła jako kraj wsteczny, targany paroksyzmami anarchii. Który, przestając być funkcjonalnym państwem, a stając się obszarem objętym przez chaos konfederacji, rokosz, zjazdów oraz pijaństwa i modłów, wręcz prosił się o rozbiory.

Mimo tragicznych doświadczeń z epoki jagiellońsko-sarmackiej wielu Polaków nadal rozmiłowyje się w ogromie terytorialnym I Rzeczypospolitej. Tyle że monstrualne terytorium żadną miarą nie świadczy o realnej sile cywilizacyjnej. Ogromem terytorialnym własnego państwa upajają się ci, którzy bezwiednie patrzą na otoczenie oczami Czyngis-chana i innych twórców wielkiego imperium eurazjatyckiego.

Doktryną rosyjską od stuleci jest właśnie eurazjatyzm. Ileż zakarbiła sobie imperialna Rosja egzaltowanych słów, które padały z ust jej władców (Katarzyna II: „To nie kraj, to wszechświat”), liżusowskich propagandystów XIX-wiecznego caratu (Michail Pogodin: „Rosja! Myśl się wstrzymu-

je, dech zapiera! Dziewiąta część ziem zamieszkałych w świecie”), usłużnych twórców doby stalinowskiej, jak autorzy „Pieśni o Ojczyźnie” (Wasilij Lebediew-Kumacz i Izaak Dunajewski), zachynającej się od słów: „Szyroka strona moja rodnaja...”.

Maniackiej krzątaniu Rosjan wokół terytorialnego stanu posiadania, osadzonej w mentalności agrarnej i ekstensywnej, nieodmiennie towarzyszyła despotyzacja władzy.

Od czasów Monteskiusza wiadomo, że wymóg kontroli rozległej przestrzeni państwa nieuchronnie rodzi potrzebę władzy scentralizowanej, despotycznej. A Rzeczpospolita jagiellońsko-sarmacka swoją osobliwą inwolucją ku wtórnemu feudalizmowi i swobodom szlacheckim pokazała język temu prawidłu państwowotwórstwa, przeistaczając się w dość luźną federację sejmików i domen magnackich na ogromnym obszarze. Za co zapłaciła cenę wysoką.

••

PRZYMIARKI USTROJOWE. Polska myśl polityczna na przełomie XIX i XX wieku wyciągnęła zupełnie nietrafione i ułomne wnioski z doświadczeń przedrozbiorowych. II RP przekornie symulowała Rzeczpospolitą jagiellońsko-sarmacką – zamiast pijacko-dewocyjnej anarchii rej w Polsce sanacyjnej wiódł nieudolny autorytaryzm, który z trudem rozdził sobie z biedą i zacołaniem, a dowartościowywał się po sarmacku na „balu w operze” (jak u Tuwima).

Dzisiaj PiS adoruje II RP, a Prezes rozczula się, gdy się go tytułuje „Panie Naczelniku”. I po wznieśieniu zaporowego muru na granicy polsko-białoruskiej – porównywalnego przecież z bitwą warszawską 1920 r. – Jarosławowi Kaczyńskiemu „od spraw bezpieczeństwa” należy wręczyć buławę marszałkowską i stukać przed nim obcasami. Co prawda wyprawa kijowska Prezesowi, z jego ideą operacji „wymuszenia pokoju” w Ukrainie (z pominięciem Rady Bezpieczeństwa ONZ), zupełnie się nie powiodła.

Na modłę piłsudczyków PiS ukochał Polskę mocarstwową, która rusza ze skrzydłem husarskim (wspinała scena z filmu Andrzeja Wajdy „Wszystko na sprzedaż”, gdy statysta z takim skrzydłem biega wokół kamery, aby stworzyć na nagraniu filmowym wrażenie setek galopujących husarzy) na znak da-

ny przez Prezesa. Który po ojcowsku rozumie, czego ludziskom spożywającym boczek z grilla pod piwo w plastiku, pomstującym na przedsiębiorczych i bogatszych sąsiadów, lasym na fuchę i lewiznę, naprawdę potrzeba – na czym polega „interes polskich rodzin”.

Naród należy ubrać w rygor patriarchalnej rodziny – wszystko to, co ponad ów rygor będzie wystawać, to „gorszy sort”. PiS mentalnie tkwi w przednowoczesnym pojmowaniu narodu jako wspólnoty wyrosłej ze stadnego bytowania ludzi prehistorycznych. Wspólnota scalona czynnikiem rodowym i terytorialnym przewinęła się przez tysiącletnie dzieje kolektywizmu, a w czasach współczesnych wyartykułowała się w kolchozach sowieckich i komunach ludowych za Mao.

Niemiecki socjolog Ferdynand Tönnies określał ten typ zbiorowości ludzkiej, którą łączą emocjonalne więzy rodowe i bezrefleksyjność ideologiczna, jako Gemeinschaft (wspólnota) – w odróżnieniu od nowoczesnego narodu opartego na prawnopolitycznym porozumieniu (Gesellschaft, czyli zrzeszenie).



Polska od czasów jagiellońsko-sarmackich zatracala swój europejski, utwierdzany przez Piastów charakter.

Przeobrażała się w państwo eurazjatyckie

Wspólnota zwija w jedno jednostki odpodmiotowane, które boją się decydować o sobie. Gromadzi ludzi uciekających od wolności – a więc i pierzchających przed odpowiedzialnością. To zbiorowisko osobników infantylnych, upatrujących wzorca relacji politycznych w tradycyjnej rodzinie i rozglądających się za twardą „ojcowską” ręką. Wzorec takiej rodziny przenoszony jest na państwo: „wielką rodzinę”, „wspólnotę narodową”. Tak powstaje despotyczny system władzy („despotes” w grece starożytnej oznaczał patriarchę, „pana” i „właściciela” wszystkich członków rodu i domowników).

W Polsce dzisiaj wspólnotowość wyraża się w prowincjonalizmie, bylejakości i pośledniości, z której PiS lepi kadry państwowe. A te nie suszą sobie głowy dyrdymałami o demokracji i wolności, lecz prężą się, by wykonać każde polecenie zwierzchników. Matryca państwowotwórstwa pisowskiego odwzorowuje poniekąd stempel rosyjskiej autokracji.

••

MOCARSTWOWOŚĆ. Po II RP (ale też i po pierwszej) Polska pod rządami PiS-u odziedziczyła apetyty mocarstwowe, co uwyrażnia się w podejściu do dawnych Kresów, dziś państw poradzieckich. Z podejścia tego wylewa się paternalizm. Państwa te potrzebne są władzom pisowskim tyleż jako dowód dominacji w regionie, ile też w roli świadectwa jej przewagi nad Rosją. Ta zaś, podobnie jak pisowcy, reaguje neurastenicznie na to, kto kontroluje „międzyprzestrzeń” pomiędzy Rosją a Polską.

Owo przeciąganie liny o zwierzchnictwo nad „międzyprzestrzenią” wschodnioeuropejską ujawnia eurazjatycką naturę rządów kaczyzowskich. PiS nie zaprzata sobie głowy modernizacją Ukrainy i innych państw wschodnich – chodzi mu o wciągnięcie ich do Unii jako wiernopoddańczych klientów Polski Kaczyńskiego, aby dali jej „więcej kresek” w Radzie UE. Co dowodzi, iż PiS nic a nic nie rozumie z mechanizmu decyzyjnotwórczego w Unii, który tak się różni od sejmikowego zbierania kresek jak kwarcowy chronometr od zegara słonecznego. Raban i obstrukcje czynione przez Lecha Kaczyńskiego w sprawie sposobu głosowania w Radzie podczas szczytu w Brukseli w czerwcu 2007 r., kiedy ważył się los traktatu lizbońskiego – to malowniczy tego przykład.

Wedle podobnej logiki instytucje świata zachodniego ostrzega Rosja. Jako sferę dominacji USA, których przywódcy obso-baczają roztrzęsionych liderów unijnych, a generałowie amerykańscy nonszalancko gaszą cygara w filiżankach herbaty, którą raczą się dowódcy europejscy. Żeby od razu było widać, kto tu jest „główny”.

Współbieżnie układa się pisowskie pojmowanie polityki zagranicznej i w ogóle Zachodu. Jarosław Kaczyński od dawna z mentorską miną kładzie Polakom do uszu, że dyplomacja to „gra dla twardzieli”, jak gdyby od



czasów harcerskich współzawodniczył z Rambo w trudnej szkole przeżycia w lesie i na mokradłach. A w rzeczywistości „twardo granie” PiS-u na niwie międzynarodowej to tylko przyparafałny teatr grozy: strojenie gniewnych min, terroryzujące warczenie („zdrada!”, „obcy agenci!”), plucie kalumniami. Tyle że polityka sowiecka i rosyjska robiły to i robią nieprovincialnie, z globalnym rozmachem – i realną grozą.

Kaczyzów i putinistów wspólnia głoszenie piramidalnych kłamstw. Chociaż piramida łgarstw pisowskich niczym chaotycznie złożone przeinaczenia i półprawdy – jak to na prowincji eurazjatyckiej – rozsypuje się przy byle kichnięciu. Np. Mateusz Morawiecki chojrakował z tezami o odporności i wzroście gospodarki, co sygnęło się dziś w obliczu bezprecedensowego po 1989 r. zadłużenia skarbu państwa i inflacji, która ze stępa przechodzi w galop.

W Polsce szczęśliwie zachowało się wiele mechanizmów kontroli i przejrzystości demokratycznej – przekrętów i zaniedbań nie da się ukryć w przestrzeni unijnej. A Rosja jako arcy-suwerenne mocarstwo – jakże tego musi jej zazdrościć Kaczyński! – we wszystkich sferach aktywności cygani i lże jak z nut.

Arcydziełem w tej mierze jest przerzucanie przez Moskwę winy za zbrodnie w Buczy czy Mariupolu na stronę ukraińską: ponoć same siły zbrojne Ukrainy po-mordowały setki własnych cywilów. Te łgarstwa zasługują już na pióro Mikołaja Gogola, który w „Rewizorze” każe Horodniczemu kajać się przed zwierzchnością takimi słowy: „Nie wiercie, że kazalem wychłostać wdo-

• Jarosław Kaczyński podczas uroczystości nadania drodze ekspresowej S19 nazwy „Via Carpatia im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego” i oddania jej czterech odcinków. Janów Lubelski, 16 grudnia 2021 r. FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.



wę podoficerską. Ona sama się wychłostała!”.

••

SYSTEM AUTORYTARNY I ETATYZM. Rosyjski despotyzm przez kilka stuleci zakumulował już wiedzę co do sterowania masami poddańczymi. W erze stalinowskiej doszedł do perfekcji w tej mierze. Polska poszczycić się może stuleciami anarchii, której szczególnym przypadkiem były chaotyczne powstania narodowe.

Anarchia to antytezowy dopełniacz tyranii, ta druga bowiem może uśmierzyć rozpasanie anarchiczne. Z kolei sanacyjny autorytaryzm oraz znacznie bardziej paskudny i upierdliwy reżim PRL-owski „humanitarniej” na tle rosyjskiego i sowieckiego despotyzmu, wskutek nieudolności i tradycyjnej rozpierduchy polskiej. Stąd i pisowskie zapędy autorytarne pną się z mozołem jak odrosty z wadliwie składowanych kartofli.

Autorytaryzmy upatrują kwintesencji władzy w kontroli nad własnością prywatną środków produkcji – sferą, która redukuje niezawisłość jednostki w odniesieniu do rządzących. Sowiecki nadzór w tej mierze sięgnął himalajskich szczytów.

Putin, który oplakiwał rozpad ZSRR jako „największą katastrofę XX wieku”, położył ciężką rękę na ekonomice poradzieckiej pod pretekstem, że przenikały ją patologie kleptokratyczne. Wielki kapitał w Rosji, którym ponoć dyrygują oligarchowie, znajduje się pod faktyczną kontrolą państwa, a więc Putina. Drobnzy zaś i średni biznes, od zarania anemiczny (wskutek tradycyjnie słabego w Rosji ducha przedsiębiorczo-

ści), doświadcza dezorganizującej ingerencji ze strony pasożytniczej biurokracji.

Toteż Rosja nie jest krajem własności prywatnej i kapitalizmu. Stanowi odmianę systemu patriarchalno-kolektywistycznego, który zakłada mechanizm nakazowo-rozdzielczy w gospodarce: wszystkie dobra wytworzone i pozyskane trafiają do „patriarchy” (despoty, samodzierżcy, sekretarza generalnego, wodza lub naczelnika państwa), który je racjonuje wedle uznania pomiędzy poddanymi. Redystrybucja zakłada więc zwierzchność władzy politycznej nad wszystkimi liczącymi się zasobami zbiorowości – system ten funkcjonuje od kilku tysięcy lat, poczynając od Egiptu faraonów i kończąc na ZSRR/Rosji.

Także kaczysz, który podpatrzył, że redystrybucja i rozdawnictwo zapewniły peerelowskiemu rządcom cztery dekady panowania, mimo że była to władza „nierdzenna”, kroju sowieckiego, uznał, że jeśli rządy pisowskie będą rzucać w masy ludowe 500+, trzynastki i czternastki, przetrwają w dwójnasób dłużej. Tym bardziej że redystrybucji będą dokonywać jako „swojacy”, pod flagą biało-czerwoną, w kontuszach i sukmanach.

••

RYTUAŁ PONAD PRACĄ. Putinizm i kaczysz ubóstwiają polityczny obrzęd i liturgię państwową. Mowy i przecinanie wstęg, przemarsze i defilady, „dwie minuty nienawiści” wobec wrogów i godziny sakralnej miłości do przywódców wypełniają niemalą część harmonogramu „ojców narodu” pokroju Kaczyńskiego czy

Putina. Obrzędowością pozoruje się potęgę i zasobność, chociaż i Polska, i Rosja mają jeszcze dużo do zrobienia.

Polska pozostaje krajem rolniczo-przemysłowym, któremu nadal trzeba pokonać znaczny dystans, aby się stać krajem produkcji ponowoczesnej. Mający przed nim „pułapka średniego wzrostu”, która usidli Polskę w odwiecznym wytwarzaniu wieprzowiny i buraków oraz prefabrykatów i podzespołów dla firm zachodnich.

Rosja – kraj bogaty, ale tymczasowo biedny – żyje z wyprzedaży surowców oraz broni, ustępującej technologicznie odpowiednikom zachodnim. Pod rządami Putina narkotyzuje się przedwiecznym, obok wódki, specyfikiem – agresywnym „zbieraniem ziem ruskich”. Mimo że Rosja w dzisiejszych granicach pozostaje największym krajem świata, gdzie wszystko prosi się o rekułtywację i odbudowę. Zamiast podkasać rękawy i ucywilizować interior eurazjatycki, putinizm szuka glorii, atakując Ukrainę.

Polska pisowska oczywiście przebiera nogami, żeby się zetrzeć z Ruskimi. Moralnie natężyć się, rzucić Putina na kolana przed ikoną Matki Boskiej Częstochowskiej. Ma to znikomą moc rażenia, aliiści drzemie w tym moc cudu.

A przecież realna siła Polski tkwi nie w modlach i zaklęciach, ale we wzmożonej pracy twórczej: odkryciach, wynalazkach, kreatywności, innowacjach. W naukach podstawowych i stosowanych, w najnowszych technologiach. Dziś w Europie kwintalem buraków, toną węgla i kotłem mielonym z polskiej wieprzowiny się nie wygra.

••

PARALOGIZMY. Propaganda kaczystowska oraz putinowska przekrzykują się w eterze, ile sił w płucach. Pisowcy tropią ślady Kremła na Zachodzie, stale twierdzą, że Niemcy (a więc i Unia, nad którą „panują”) jeśli nie wspomagają zbrodniczej Rosji, to jej nie uprzykrzają życia – a powinni. Wygląda więc na to, że Polska kaczystowska, choć sama odzwierciedla putinizm w wersji niedorobionej i tandetnej, uzurpuje sobie prawo arbitra moralności w UE. Nowogrodzka patronuje najbardziej niestworzonym ideom i podejrzeniom, którymi bujnie plonuje gleba pisowska. O światowych spiskach i „zdradzie o świecie”, jak w Smoleńsku. Globalna bywałość Rosji zakasowuje tę parafianską konspirologię; Kreml donośniej wykłina światowe prze-niewierstwo Zachodu i zdradę Ukrainy.

Z oficjalnych mediów rosyjskich wysypuje się czarna abrakadabra: że kijowscy naziści i narkomani zamierzali napasać na Rosję, zawczasu trenując się w ludo-bójstwie na rosyjskojęzycznych z „ludowego” Donbasu, ale Rosja ich ubiegła, dokonując „specoperacji”. Która się udała, dlate-go wojska rosyjskie spod Kijowa można było wycofać. A w sposób zbrodniczy odpierając „misję pokojową” wojsk rosyjskich, „banderonaziści” dowiedli, że Ukrainę trzeba zetrzeć z powierzchni ziemi.

Te wszystkie łamigłówki oblednieją jednak w narracji rosyjskich bab z siatkami i lumpów, a nawet Rosjan z jakąś skazą inteligencji na twarzy, którzy zbiorczo nurzają klisze oficjalnej propagandy w tradycyjnych dubach smalo-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Georgij Iwanow*

*Jak dobrze, że nie ma Cara.
Jak dobrze, że nie ma Rosji.
Jak dobrze, że nie ma Boga.*

*Tylko zorza żółtoszara,
Tylko ten firmament mroźny,
Tylko pusta Mleczna Droga.*

*Dobrze, że nikogo nie ma.
Dobrze, że niczego nie ma.
Czarna przepaść, martwa ziemia,*

*Że czarniejsza być nie może,
Bardziej martwa, bardziej naga,
Że już nikt nam nie pomoże
I nie trzeba nam pomagać.*

***Georgij Iwanow** – 1894–1958, rosyjski poeta, prozaik i krytyk, akmeista. Od 1923 r. na emigracji w Niemczech i Francji, gdzie zmarł w nędzy. W wielu swoich wierszach wyrażał tęsknotę za Rosją (do której nigdy nie wrócił), co dzisiaj czyni jego poezję bliską Rosjanom zmuszonym do opuszczenia kraju. Wiersz za: Wiktor Woroszyłski, „Moi Moskale. Wybór przekładów z poezji rosyjskiej od Puszkina do Ratuszyńskiej”, Biuro Literackie, Wrocław 2006.



nych o zgnilym Zachodzie. Atoli zauważmy, że i u nas wielu belkocze podobne farmazony, tyle że ze znakiem antyrosyjskim.

No dobrze, powie ktoś, ale Polska pisowska stoi murem za Ukrainą. Toteż atak na pismo to wspieranie putinizmu.

Jednak nie. Relacje między kaczyszmem a putinizmem przewodzą na myśl dialektykę stosunków między stalinowskim ZSRR a hitlerowska Rzeszą. Dwa jaszczury totalitarne, bliźniacze niczym tyranozaur i tarbozaur, po dwóch latach umizgów wzajemnych (po pakcie Ribbentrop-Mołotow) starły się na cztery lata w walce na śmierć i życie. Mimo podobieństw. ●



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jarosław Bratkiewicz

• ur. w 1955 r., politolog, był dyplomata. Działal w podziemnej „Solidarności”. Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996–2001 ambasador na Łotwie, 2010–15 – dyrektor polityczny ministerstwa. W zeszłym roku wydał książkę „Eurazjyzm na wspak. Polscy tradycjonałści przeglądają się w zwierciadle Eurazji i udają, że to nie oni” (Universitas)



weekendówka
7

Gangsterskie porachunki

Autorem wielu haseł jest **Maciej Siembieda**

FOT. RENATA DĄBROWSKA

Dokładnie ćwierć wieku temu, 25 czerwca 1997 roku Sejm przyjął ustawę o świadku koronnym. Oznaczała ona, że osoba podejrzana – aby zostać świadkiem koronnym trzeba najpierw mieć postawione zarzuty – w zamian za złagodzenie kary bądź jej całkowite anulowanie składa zeznania obciążające innych sprawców bądź współsprawców przestępstwa.

Świadek koronny nie ma prawa odmówić zeznań, ale sąd może wyłączyć jawność podczas jego przesłuchania. Ponadto, gdy jest podejrzenie zagrożenia jego życia, może dostać ochronę osobistą, zmienić miejsce zamieszkania, a nawet dane osobowe.

Dane co do liczby świadków koronnych w Polsce nie są publikowane. Wiadomo na pewno, z raportu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, która uzyskała informacje od komendanta głównego policji, że do 2009 r. było 80 takich osób.

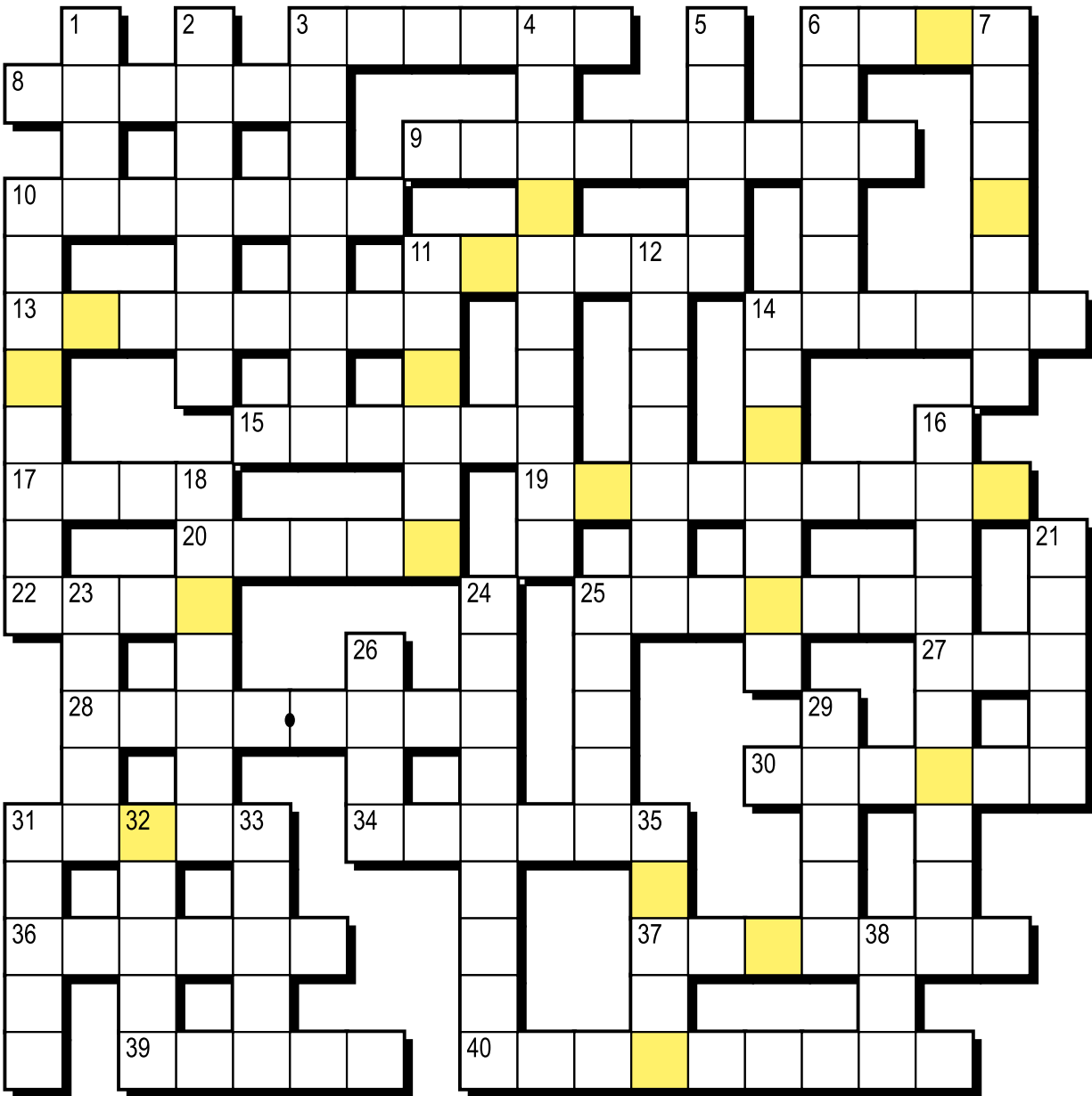
Instytucja świadka koronnego wywodzi się z XVI-wiecznej Anglii. Według prawa brytyjskiego taki świadek nazywany jest „King’s/Queen’s evidence”, czyli świadkiem Jego czy Jej Królewskiej Mości. Stąd właśnie określenie „koronny”. Na polski grunt przeszczepiono więc błędnie nazwę – koronny nie oznacza bowiem w tym przypadku „najważniejszego, decydującego”, a „należącego do korony”. Ale tak świadek Ich Królewskich Mości został świadkiem koronnym nad Wisłą.

W dzisiejszej „Weekendówce” proponujemy zatem temat gangsterski, choć bardziej skupimy się na gangsterach filmowych. A autorem aż 12 haseł jest Maciej Siembieda, reporter i autor powieści sensacyjnych i kryminalnych, trzykrotny nagradzany „polskim Pulitzerem” Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Twórca postaci prokuratora Jakuba Kani, z którym czytelnicy spotkali się w książkach „444”, „Miejsce i imię”, „Wotum” oraz „Kukły”. W maju ukazała się jego najnowsza powieść „Katharsis”.

Nasz gość sprawdzi Państwa wiedzę o „Honorze Prizzich”, „Kilerze” czy pewnym pechowym duńskim gangsterze, który zawsze miał plan, ale zapyta też o gangsterów jak najbardziej prawdziwych. Powodzenia! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 6 z 18.06:
COME TOGETHER



GANGI

Hasła **Macieja Siembiedy** oznaczono inicjałami **(MS)**. Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziamo:

- 3)** inaczej haracz (MS)
- 6)** prezes gangu
- 8)** słynny AI, boss mafii chicagowskiej (MS)
- 9)** „Baranina” albo „Masa”
- 10)** mafia neapolitańska (MS)
- 11)** gruba ryba, figura
- 13)** „Siara” z komedii Juliusza Machulskiego (MS)
- 14)** film gangsterski z Sharon Stone i Robertem De Niro
- 15)** ...narkotykowy, niejeden w Kolumbii, Meksyku

- 17)** porwaniowie (zapłacie – uwolnicie)
- 19)** odtwórca roli Charleya Partanny w „Honorze Prizzich” (MS)
- 20)** szybka policji
- 22)** imię gangstera nieudacznika ze słynnego cyklu duńskich komedii kryminalnych (MS)
- 25)** „Chłopcy z ...”, z Joem Pescim w roli Tommy’ego DeVito (wpisujemy w mianowniku)
- 27)** ... działań gangu: czerpanie zysków z działalności przestępczej
- 28)** miasto pięciu mafijnych rodzin (MS)
- 30)** niegrzeczniaki
- 31)** komedia z gangsterami Lipskim i Wąskim
- 34)** „Zobaczyć ... i umrzeć” (mafia wydała wyrok?!)

- 36)** mało ważny gangster; jego przeciwieństwo to 33 pionowo
- 37)** wyspa jak mafia gorąca
- 39)** imię kompozytora muzyki do „Nietykalnych” i „Dawno temu w Ameryce” (MS)
- 40)** ... Jarzyna ze Szczecina, szef wszystkich szefów

Pionowo:

- 1)** najlepsze miejsce dla gangsterów (na odsiadkę)
- 2)** królestwo „Dziada” (MS)
- 3)** „... gangstera” z komedii z Robertem de Niro (MS)
- 4)** film Briana De Palmy (Costner, De Niro, Connery, Garcia...)
- 5)** ... milczenia (gdy oskarżeni lub świadkowie nie chcą zeznawać)

- 6)** „Człowiek z ...”, z Alem Pacino w roli Tony’ego Montany (wpisujemy w mianowniku)
- 7)** rodzina mafijna z serialu z Jamesem Gandolfinim (MS)
- 10)** Vito ... („Ojciec chrzestny”)
- 11)** szpiegowska lub handlarzy bronią
- 12)** wpływy z wymuszeń
- 14)** chętnie obejrzy „Bonnie i Clyde”, „Dawno temu w Ameryce”, „Pulp Fiction”
- 16)** gangsterskie... (vendetty)
- 18)** smutni ... w garniturach, żartobliwie o agentach FBI lub policyjnych tajniakach
- 21)** „Donnie Brasco”, „Życie Carlita”, „Ojciec chrzestny” i „Prawo Bronxu”
- 23)** zorganizowane grupy przestępcze

- 24)** kidnaperzy wolą, by nie został odbity
- 25)** serial kryminalny lub tytuł filmu braci Coen
- 26)** ... Travolta, gangster Vincent Vega w filmie „Pulp Fiction”
- 29)** ... gangów (starcia)
- 31)** inaczej konfident (MS)
- 32)** Sergio, reżyser filmu „Dawno temu w Ameryce”
- 33)** wpływowy potentat bezwzględny w interesach
- 35)** ... gończe
- 38)** skrócona forma imienia DiCaprio, aktora z „Infiltracji” i filmu z pozycji 28 poziomo

Byle do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play